

WIELKIE SERIE FANTASY

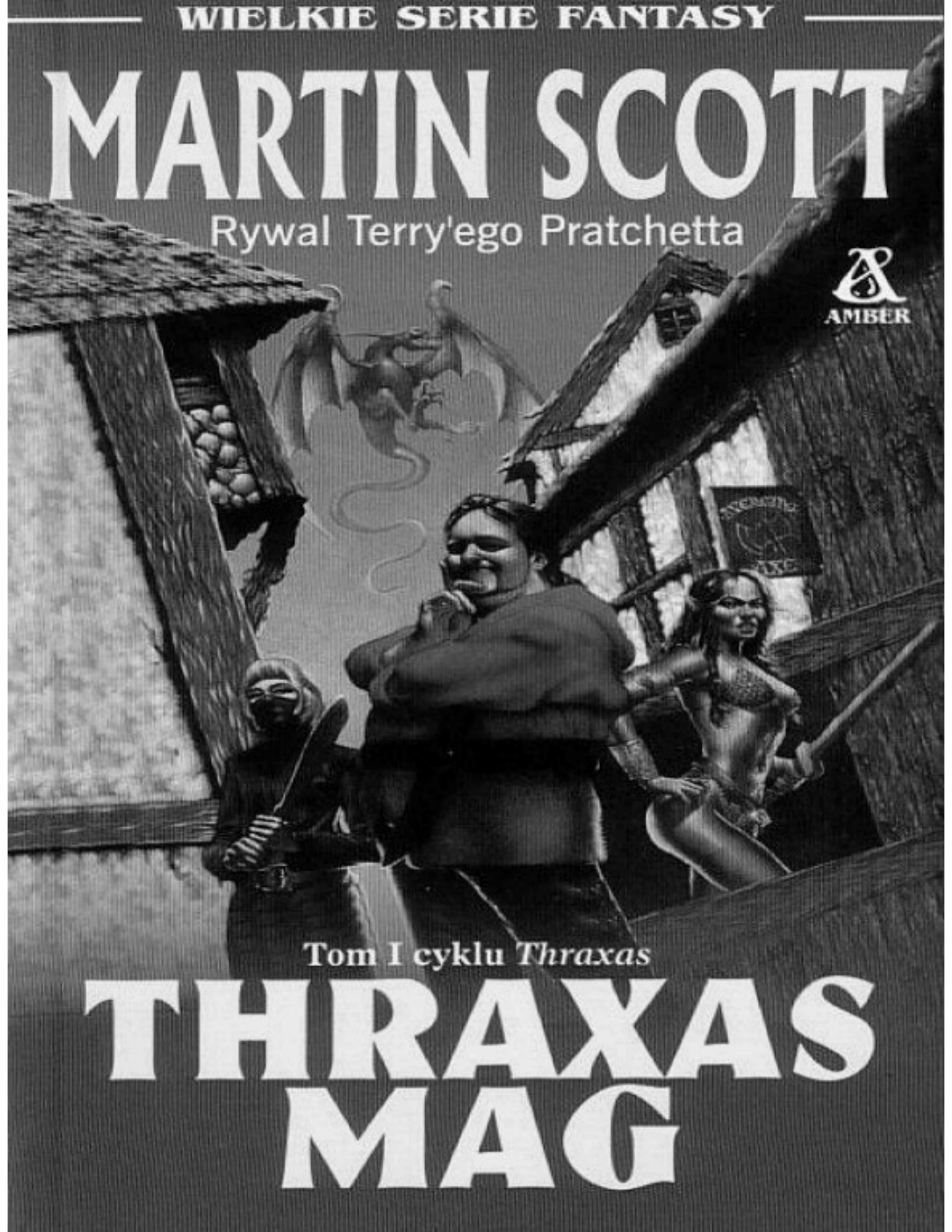
MARTIN SCOTT

Rywal Terry'ego Pratchetta


AMBER

Tom I cyklu *Thraxas*

THRAXAS MAG



MARTIN SCOTT

Thraxas #1 Thraxas mag

AMBER 2000

I

Turai jest magicznym miastem. Od doków przy Dwunastu Morzach po Park Zaćmienia Księżyca, od cuchnących dzielnic nędzy po Pałac Imperialny, wędrowiec może spotkać najrozmaitsze zdumiewające osoby, znaleźć zadziwiające rzeczy i jedyne w swoim rodzaju usługi. Może upić się i pogawędzić z barbarzyńskimi najemnikami w portowych tawernach, przypatrywać się ulicznym grajkom, żonglerom i kuglarzom, poswawolić z dziewczkami w Kushni, ubić interes z Elfami w “Złotym Półksiężycu”, naradzić się z czarnoksiężnikiem w Alei Prawda jest Pięknem, postawić na rydwany i gladiatorów na Stadionie Superbiusza, wynająć zabójcę, najeść się, napić, zabawić i wstąpić do apteki po lekarstwo na kaca. Jeśli znajdzie tłumacza, może nawet pogwarzyć z delfinami na plaży. A gdyby jeszcze szukał nowych wrażeń, może sobie obejrzeć nowego smoka w królewskim zoo.

Jeśli ma problem, a brakuje mu forsy, powinien wynająć mnie. Nazywam się Thraxas. Skosztowałem wszystkiego, o czym była tu mowa. Nie widziałem tylko nowego królewskiego smoka. Nie czuję takiej potrzeby. Dość napatrzyłem się na smoki podczas ostatnich Wojen Orków.

Mam czterdzieści trzy lata, nadwagę i upodobanie do długotrwałych popijaw. Nie mam wygórowanych ambicji. Na szyldzie na moich drzwiach widnieje słowo “mag”, ale moja moc jest niższego gatunku – to zwykle sztuczki w porównaniu z umiejętnościami największych mistrzów w Turai. Tak naprawdę jestem prywatnym detektywem. Najtańszym czarodziejskim detektywem w całym magicznym mieście.

Posłuchaj, wędrowcze! Kiedy wpadasz w kłopoty, a Straż Obywatelska nie chce ci pomóc, możesz przyjść do mnie. Gdy potrzebujesz pomocy potężnego czarnoksiężnika, ale nie stać cię na niego, zapraszam do siebie. Kiedy zabójca siedzi ci na ogonie i przydałby się ktoś, kto za ciebie nadstawi karku, wstąp w moje progi. Jeśli konsul nie jest zainteresowany twoją sprawą i zostałeś wyrzucony z biur detektywów wyższej klasy, ja jestem tym, kogo szukasz. Przychodzą do mnie wszyscy, którzy wyczerpali już wszelkie inne możliwości i których nie stać na nic lepszego. Czasami mogę im pomóc. Czasami nie. Tak czy inaczej, jestem stale w finansowym dołku.

Kiedyś pracowałem w Pałacu Imperialnym. Byłem starszym inspektorem śledczym w Ochronie Pałacowej, ale przepiłem swoją pracę. To było bardzo dawno temu. Teraz nikt z pałacu nie chce mnie widzieć na oczy.

Mieszkam w dwóch pokojach nad portową tawerną "Pod Mściwym Toporem", prowadzoną przez Gurda, podstarzałego barbarzyńcę z północy, który walczył dla Turai jako najemnik. Był dobrym wojownikiem. Podobnie jak ja. Walczyliśmy ramię w ramię przy licznych okazjach, ale mieliśmy wtedy o wiele mniej lat. Lokum nad tawerną i cała dzielnica są wszawę, ale nie stać mnie na nic lepszego. Obecnie w moim życiu nie ma kobiet, chyba że policzy się Makri. Pracuje tutaj jako barmanka i od czasu do czasu bywa moją asystentką. Makri, osobliwe połączenie człowieka, Elfa i Orka, jest pierwszorzędną w walce na miecze i nawet pijani rozpustnicy, często goszczący w tawernie Gurda, nie są na tyle głupi, by z nią zadzierać.

Na ile mi wiadomo, Makri nie jest romantyczką, chociaż kilka razy przyłapałem ją na wpatrywaniu się z nabożeństwem w przystojnych, wysokich Elfów, którzy czasami przechodzą tędy z portu do "Złotego Półksiężyca". Ale nie ma u nich szans. Mieszane pochodzenie czyni z niej wyrzutka praktycznie wszędzie. Żaden czystej krwi Elf nie spojrzy na nią dwa razy, choć jest młoda i śliczna.

Starannie unikam wszelkich komplikacji w życiu prywatnym, szczególnie od czasu, gdy moja żona uciekła na Czarowną Polanę z młodszym ode mnie o połowę uczniem czarnoksiężnika. To wystarczy, by każdego faceta zniechęcić do związków uczuciowych. Ale nie miałbym nic przeciwko układom finansowym. Przydałby się jakiś klient. Kończy mi się forsa, a Gurd Barbarzyńca nie lubi, gdy spóźniam się z zapłatą.

Pałac powinien wynająć mnie do odnalezienia zaginionej Czerwonej Tkaniny Elfów. Ostatnio ta sprawa jest bardzo głośna w Turai, choć pałac próbuje ją wyciszyć. Czerwona Tkanina Elfów jest cenniejsza niż złoto. Dostałbym sowitą nagrodę, gdybym ją odnalazł. Niestety, nikt nie potrzebuje moich usług. Ochrona Pałacowa i Straż Obywatelska, zajmujące się tą sprawą, są głęboko przekonane, że wkrótce ją odnajdą. Jestem pewien, że to im się nie uda. Ktoś, kto był na tyle sprytny, by ukraść pilnie strzeżoną belę Czerwonej Tkaniny Elfów w drodze do miasta, będzie dość cwany, by ukryć ją przed Strażą.

Wiosna w Turai jest łagodna i przyjemna, ale krótka. Długie lato i jesień są nieznosnie gorące. Każdej zimy przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy leje deszcz. Potem nadchodzą mrozy tak srogie, że żebracy mrą na ulicach. To tyle, jeśli chodzi o klimat.

Krótką wiosną dobiegła końca i temperatura zaczyna rosnąć. Czuję się szczególnie i zastanawiam się, czy nie jest za wcześnie na pierwsze piwo. Pewnie tak. Ale chyba ulegnę pokusie. Od tygodnia nie miałem klienta. Można by pomyśleć, że przestępczość maleje, tylko że w Turai to niemożliwe. Zbyt wielu kryminalistów, zbyt wielka nędza, mnóstwo bogatych kupców wprost proszących się o obrabowanie albo zaplątanych w nielegalne interesy. Jednak ja nie mam z tego żadnych korzyści. Co prawda ostatnio udało mi się rozwiązać pewną sprawę – odnalazłem magiczny amulet, który stary mag Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd zapodział podczas hulanki w burdelu. Odzyskałem drobiazg i zdołałem zatuszować całą aferę. Reputacja maga w pałacu zostałaby znacznie nadwątlona, gdyby wyszła na jaw jego słabość do młodych prostytutek.

Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd obiecał mi w zamian podesłać paru klientów, ale nic z tego. Nie można liczyć, że pałacowy mag odwdzięczy się za uprzejmość. Jest zbyt zajęty wspinaniem się po szczeblach kariery, stawianiem horoskopów dla młodych księżniczek i podobnymi sprawami.

Zdażyłem dojść do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak zejść na dół i łyknąć piwko, nawet jeśli na to za wcześnie. Wtedy usłyszałem pukanie do moich drzwi. Mam dwa pokoje i pierwszy służy mi za biuro. Prowadzą do niego schody prosto z ulicy, każdy więc, kto chce zasięgnąć mojej porady, nie musi przechodzić przez tawernę.

–Proszę.

W obu pokojach panuje bałagan. Boleję nad tym. I nie robię nic, by to zmienić.

Wchodzi młoda kobieta. Wygląda tak, jakby miała w pogardzie wszelkie pomieszczenia mniejsze niż komnaty w pałacu. Zdejmuje kaptur. Widzę długie złociste loki, błękitne oczy i nieskazitelne rysy. Jednym słowem śliczna jak malowanie.

–Thraxas, prywatny detektyw?

Kiwam głową i proszę, by usiadła. Robi to po zrzuconiu jakichś kłamek z krzesła. Patrzymy na siebie nad stołem, na którym walają się resztki wczorajszej czy też przedwczorajszej kolacji.

–Mam kłopot. Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd powiedział, że będziesz mógł mi pomóc. Stwierdził też, że jesteś dyskretny.

–Jestem. Ale przypuszczam, że już zwróciłaś na siebie uwagę, przychodząc tutaj.

Nie myślę wcale o jej urodzie. Dawno temu przestałem prawić kobietom komplementy, szczególnie od czasu, kiedy mój brzuch powiększył się na tyle, że gra stała się niewarta świeczki. Ale ona jest wyjątkowo ubrana, zbyt kosztownie, jak na tę żalną część miasta. Ma na sobie lekki czarny płaszcz oblamowany futrem, a pod spodem długą suknię z niebieskiego aksamitu, bardziej stosowną do tańca z dworzanami w sali balowej, niż do lawirowania między stertami gnijących rybich łbów, które tarasują tutejsze ulice.

–Służący przywiózł mnie powozem. Zamkniętym. Nie sądzę, że ktoś widział, jak wchodziłam po schodach. Nie byłam całkowicie przygotowana na...

Ruchem ręki daje do zrozumienia, że ma na myśli stan mojego pokoju i ulicy przed tawerną.

–Świetnie. W czym mogę pomóc?

Kiedy odwiedza mnie najwyraźniej bogata młoda dama, co zdarza się nadzwyczaj rzadko, spodziewam się, że będzie małomówna. To normalne, ponieważ taka osoba zasięga mojej porady jedynie wtedy, gdy nie chce, żeby o jej kłopotach dowiedzieli się ludzie równi stanem i nie śmie zaryzykować konsultacji u detektywa w Thamlinie z obawy przed plotkami. Moja klientka daleka jest jednak od powściągliwości i nie marnując czasu, przechodzi do rzeczy.

–Chcę, żebyś odzyskał moją szkatułkę. Małe pudełko wysadzone klejnotami.

–Ktoś je ukradł?

–Niezupełnie.

–Co w nim jest?

Waha się przez chwilę.

–Musisz to wiedzieć?

Przytakuję.

–Listy.

–Jakie listy? – pytam.

–Miłosne. Ode mnie. Do młodego attache przy niojskiej ambasadzie.

–A ty kim jesteś?

Milczy przez chwilę, trochę zaskoczona.

–Jestem księżniczką Du-Akai. Nie poznałeś mnie?

–Ostatnio nie bywam w wytwornym towarzystwie.

Fakt, powinienem ją rozpoznać z czasów mojej pracy w pałacu, lecz kiedy ją widziałem, miała dziesięć lat. Nigdy bym nie przypuścił, że do mojego biura wpadnie osoba trzecia w kolejce do imperialnego tronu. Wyobraźcie sobie tylko. Gdyby król Reeth-Akan, książę Frisen-Akan i książę Dees-Akan padli trupem dokładnie w tej chwili, siedziałbym tutaj i gadał z nową władczynią państwa-miasta Turai. Nad talerzem gulaszu sprzed trzech dni. Może powinienem częściej sprzątać to miejsce.

–Zakładam, że twoja rodzina nie będzie zadowolona, jeśli wyjdzie na jaw, iż pisałaś listy miłosne do młodego niojskiego attache?

Kiwa głową.

–Ile listów?

–Sześć. Trzyma je w ozdobionej klejnotami szkatułce, którą mu dałam.

–Dlaczego po prostu nie poprosiłaś o ich zwrot?

–Attilan, to jego imię, odmawia. Jest zły, od kiedy z nim zerwałam. Ale musiałam to zrobić. Dobrze wiem, co powiedziałby mój ojciec, gdyby dowiedział się o tym romansie. Rozumiesz, to bardzo delikatna sytuacja. Nie mogę zwrócić się o pomoc do Ochrony Pałacowej. Rodzina królewska od czasu do czasu korzysta z usług prywatnych detektywów w... innych sprawach, ale ja nie mogę ryzykować i iść tam, gdzie mnie znają.

Przyglądam się jej bacznie. Jest bardzo opanowana, co mnie dziwi. Młode księżniczki nie powinny pisywać miłosnych listów. A już na pewno nie do niojskich dyplomatów. Chociaż od pewnego czasu panuje pokój, Turai i nasz pomocny sąsiad Nioj są odwiecznymi wrogami. Nioj jest bardzo silne i bardzo agresywne i nasz król połowę swego czasu spędza na desperackich próbach utrzymania pokoju. Sprawę komplikuje fakt, że Niojańczycy to ogromnie purytańska rasa, a ich Kościół szczególnie kąśliwie wyraża się o stanie Prawdziwej Wiary w Turai, co rusz krytykując to czy tamto. Niojańczycy nie cieszą się u nas zbyt dużą sympatią.

Gdyby chociaż jedno słowo o romansie wydostało się na zewnątrz, wybuchłby

okropny skandal. Mieszkańcy tego miasta uwielbiają skandale. Nadal orientuję się w polityce pałacowej na tyle, żeby domyślać się, co niektóre frakcje mogłyby z tym zrobić. Senator Lodiusz, przywódca opozycyjnej partii Popularzy, natychmiast wykorzystalby okazję do skompromitowania króla. Z tego względu zastanawia mnie zdumiewający spokój księżniczki. Być może członkowie naszej rodziny królewskiej od małego są uczeni panowania nad emocjami.

Wypytyuję o szczegóły. Podaję swoją dzienną stawkę. Po minie księżniczki poznaję, że jest wstrząśnięta znikomością sumy. Mogłem zażądać więcej.

—Nie sędzę, żeby to było zbyt trudne, księżniczko. Masz coś przeciwko temu, by wydać trochę pieniędzy na odzyskanie listów? Przypuszczam, że Attilanowi zależy właśnie na gotówce.

Księżniczka nie zgłasza zastrzeżeń.

Prosi, żebym nie czytał jej listów. Obiecuję nie czytać. Zakłada kaptur na głowę i wychodzi.

Mój nastrój ulega poprawie. Dość łatwa sprawa, według wszelkiego prawdopodobieństwa, i dostałem już zaliczkę. Jest pora obiadowa. Schodzę na dół po piwo. Nie ma ku temu żadnych przeciwwskazań, bo cóż innego można zrobić po ciężkiej porannej pracy?

W barze tłoczą się robotnicy portowi i barbarzyńscy najemnicy. Dokerzy piją tutaj zawsze w porze obiadu, a barbarzyńcy wstępują po drodze, gdy idą zaciągnąć się do armii. Całe to napięcie pomiędzy Turai i Nioj ostatnio doprowadziło do wzmożonej rekrutacji.

Są też kłopoty na pomocy, na granicy z Matteshem. Jakieś nieporozumienia wokół kopalń srebra. Turai wraz z Matteshem i innymi miastami-państwami tworzy ligę dla obrony przed większymi potęgami, ale przymierze rozpada się. Przekłęci politycy. Jeśli doprowadzą do kolejnej wojny, znajdę się na grzbiecie pierwszego konia opuszczającego miasto.

Gurd marszczy czoło na mój widok. Daję mu część należności. Od razu się rozpromienia. Ten Gurd to nieskomplikowany facet. Rozglądam się za Makri, żeby zapytać, czy przysiadzie ze mną przy piwie, ale jest zbyt zajęta – biega z tacą wokół stołów, zbiera kufle i przyjmuje zamówienia. Nosi w pracy skąpe bikini z metalowych kółek, pasujące do ogólnego stylu wczesnobarbarzyńskiego, w jakim Gurd urządził wnętrze. Makri ma wyjątkową figurę i skąpy strój prawie tego nie przysłania, co zresztą korzystnie wpływa na wysokość napiwków.

Makri jest urodzoną wojowniczką i gdy staje do walki, raczej nie ujrzałbyś jej w tej minikolczudze. Ubrana w pełną zbroję ze skóry i stali, z mieczem w jednej dłoni i z toporem w drugiej, jest groźnym przeciwnikiem. Zdjęłaby przeciwnikowi głowę z ramion, zanim zdążyłby ocenić wady czy zalety jej figury. Tutaj, “Pod Mściwym Toporem”, skąpa kolczuga uszczęśliwia klientelę. Makri ma długie czarne włosy, które spływają po smagłych, czerwonych ramionach. Ta niezwykła karnacja jest spuścizną po jej orkijskich, elfich i ludzkich przodkach.

Prawdę mówiąc, połączenie w sobie krwi tych trzech ras powszechnie uważane jest za niemożliwe. Nieliczni, którzy odbiegają od tej reguły, poczytywani są za odmieńców i społecznych wyrzutków. W bardziej eleganckich dzielnicach Turai Makri nie zostałaby nawet wpuszczona do tawerny. Tutaj też słyszy wiele obelżywych uwag o swoim pochodzeniu. Na ulicach dzieciaki wyzywają ją od “mieszkańców”, “podwójnych mieszkańców”, “orkijskich bękartów”. To najłagodniejsze inwektywy.

Zauważam, jak dyskretnie przemycą z za baru chleb dla Palaxa i Kaby, młodej pary wędrownych grajków, którzy niedawno osiedlili się w sąsiedztwie. Są dobrymi muzykami, ale chałturzenie w takiej biednej dzielnicy przynosi niewielkie zyski i stale wyglądają na niedożywionych.

–Nie znoszę widoku samotnie pijącego faceta – rzecze Partulax, siadając przy moim stole.

Kiwam głową. Nie mam nic przeciwko picciu we własnym towarzystwie, ale jego obecność też mi nie przeszkadza. To wielki rudzielec, niegdyś woźnica przewożący towary między portem a magazynami na Ulicy Koota. Teraz ma posadkę w Cechu Przewoźników. Raz czy dwa zlecił mi drobne sprawy.

–Jak praca? – pytam.

–W porządku. Lepsze to niż wiosłowanie na niewolniczej galerze.

–A jak tam w cechu?

–Handel idzie dobrze, wozy są pełne, ale mamy problemy z utrzymaniem Bractwa na dystans.

Kiwam głową. Bractwo, najważniejsza organizacja przestępców w południowej części miasta, stale nęka cechy skupiające robotników. Rzemieślników pewnie też. I z tego, co wiem, być może nawet Czcigodne Stowarzyszenie Kupców. Ostatnio Bractwo coraz bardziej rośnie w siłę i staje się coraz bardziej kłopotliwe. Stale dochodzi do utarczek między nimi a Towarzystwem Przyjaciół, kryminalną organizacją operującą w pomocnej części miasta. W większości wypadków chodzi o kontrolę nad handlem dwa. Dwa jest silnym i popularnym narkotykiem i można zrobić na nim duże pieniądze. Bractwo i Towarzystwo Przyjaciół nie są jedynymi chętnymi do czerpania zysków. Wielu skądinąd szacownych obywateli dobrze sobie żyje dzięki dwa, mimo że handel narkotykami jest sprzeczny z prawem. Straż Obywatelska nic w związku z tym nie robi. W Turai kwitnie łapówkarstwo.

–Słyszałeś o tym nowym smoku? – pyta Partulax.

Przytakuję. Czytałem o nim w gazecie.

–Wiozłem go do pałacu.

–Jak?

–Ostrożnie – mówi i parska rubasznym śmiechem. – Spał przez większą część drogi. Orkowie przysłali dozorcę, który go otumanił.

Marszczę czoło. Kiedy się nad tym zastanowić, ta historia ze smokiem wydaje się trochę dziwna. Król ma już jednego w swoim zoo, a Orkowie pożyczają mu drugiego, żeby się sparzyły. To miło ze strony Orków. Tylko że Orkowie nie wyświadczyają ludziom żadnych uprzejmości. Nienawidzą nas tak samo mocno jak my ich, nawet jeśli pozornie panuje obecnie pokój. Partulax, jeszcze jeden weteran ostatniej wojny, też nie wie, co o tym myśleć.

–Nie można ufać Orkom.

Przytakuję. Tak samo jak nie można ufać większości ludzi, a i Elfy nie są dużo lepsze, jeśli o to chodzi, ale my, starzy wojacy, lubimy manifestować swoją stronniczość.

Bar pustoszeje, gdy dokerzy w swoich czerwonych chustach idą na popołudniową szychtę w ładowniach, rzucając parę ostatnich spojrzeń na przewiewnie odzianą Makri. Dziewczyna ignoruje ich spojrzenia i komentarze. Podchodzi do mojego stolika.

–Coś ruszyło do przodu?

–Tak – mówię. – Dostałem sprawę. Zapłaciłem Gurdowi czynsz.

Ściąga brwi.

–Nie o to mi chodzi.

Wiem, że nie o to, ale jej problem jest wyjątkowo kłopotliwy. Makri pragnie studiować na Uniwersytecie Imperialnym i chce, żebym jej pomógł. Co, jak podkreślałem przy niezliczonych okazjach, jest niemożliwe. Uniwersytet Imperialny to instytucja nad wyraz konserwatywna i nie przyjmuje kobiet. A gdyby nawet, i tak nie przyjmie studentki z orkijską krwią w żyłach. To absolutnie nie wchodzi w rachubę. Arystokraci i bogaci kupcy, którzy wysyłają tam swoich synów, podnieśliby jednogłośnie, może nawet zbrojny sprzeciw. Sprawa trafiłaby do senatu. Turajskie gazety zrobiłyby z tego aferę. Poza tym, Makri nie posiada nawet podstawowego wykształcenia, by starać się o przyjęcie.

Makri ma w nosie te przeszkody. Twierdzi, iż doskonale wiadomo, że każdy może dostać się na uniwersytet niezależnie od zasobu wiedzy – wystarczy mieć odpowiednie koneksje w pałacu albo bogatego ojca, który zapłaci chesne.

–A poza tym, zamierzam studiować wieczorowo filozofię w Kolegium Czcigodnej Federacji Gildii. Zdobędę kwalifikacje.

–Uniwersytety nie kształcą kobiet.

–Ani kolegium, na które się uparłam. I nie wspominaj mi o pochodzeniu. Dość się dzisiaj nasłuchałam od klientów. Obiecałeś poprosić o pomoc Astratha Potrójnego Księżyca.

–Byłem wtedy zalany – przypominam. – Tak czy owak, Astrath nie może ci pomóc.

–Jest magiem. Musi znać właściwych ludzi.

–Ale znalazł się w niełasce. Żaden z jego kolegów nie zechce wyświadczyć mu

przysługi.

–Może jednak byś spróbował – mówi Makri z miną kobiety, która nie przestanie mnie nękać, dopóki nie ustąpię. Ustępuję.

–Zgoda, Makri. Pogadam z nim.

–Słowo?

–Słowo.

–No to się postaraj, bo inaczej rzucę na ciebie zły czar.

Pytam, czy się ze mną napije. Odmawia, bo nadal ma wiele stołów do posprzątania, zabieram więc piwo na górę i kończę je, jednocześnie ubierając się do wyjścia. Wkładam swoją najlepszą czarną tunikę, która jest połatana, ale wygląda dość profesjonalnie, i najlepsze buty nie pierwszej już młodości. Jedna pięta ma ostatnio ochotę wyrzeć na światło dzienne. Nie jest to strój zbyt imponujący, jak na wizytę u niojskiego dyplomaty. Gdy przeglądam się w lusterku z brązu, muszę przyznać, że wyglądam trochę niechlujnie. Fakt, włosy mam niezłe, nadal ciemne i długie, a wąsy zabójcze jak dawniej, ale ostatnio przybrałem na wadze. W dodatku oprócz powiększającego się brzucha zaczyna mi rosnać podwójny podbródek. Wzdycham. Wiek średni zawsze niesie ze sobą kłopoty.

Splatam włosy w warkocz i zaczynam szukać miecza. Przypomina mi się, że zastawiłem go w zeszłym tygodniu, żeby kupić jedzenie. Na miłość boską, który prywatny detektyw zastawia własny miecz? Najtańszy w Turai, oto smutna prawda.

Zastanawiam się, czy nie spojrzeć w kałużę kuriyi. Rezygnuję z pomysłu. Korzystanie z kuriyi jest jedną z moich nielicznych umiejętności, które pozwalają mi rościć sobie prawo do posiadania czarnoksięskich mocy. Polega na wchodzeniu w trans i wpatrywaniu się w małą porcję kuriyi, trudno dostępnego, ciemnego płynu, w którym mogą pojawiać się mistyczne obrazy. W spodku wypełnionym kuriyą niekiedy znajdowałem rozwiązanie sprawy – zaginionego męża, bratanka-złodzieja czy współnika kantującego w interesach. Bardzo wygodne jest takie rozwiązywanie zagadek w luksusie własnego pokoju. Na nieszczęście rzadko działa. Używanie magii do odtworzenia przeszłości jest wyjątkowo trudne. Nawet czarnoksiężnikom z mocą dużo większą od mojej nieczęsto się to udaje. Wymaga precyzyjnego obliczenia faz trzech księżyców i innych podobnych zabiegów, a wprawienie się w wymagany trans to nie byle jaka sztuka. Magowie śledczy ze Straży Obywatelskiej zasięgają porady kuriyi tylko w przypadku spraw największego kalibru i, na szczęście dla przestępców z Turai, efekty najczęściej są minimalne.

Innym problemem jest cena kuriyi. Ten czarny płyn pochodzi z dalekiego zachodu i jedyny kupiec, który go sprowadza, narzuca wysoką cenę. Twierdzi, że to smocza

kwę, ale ja tam mu nie wierzę. To urodzony łgarz.

Umieszczam w pamięci zaklęcie snu. Ostatnio mogę nosić tylko jeden czar na raz, a i to kosztuje mnie sporo wysiłku. Główne zaklęcia wylatują z pamięci zaraz po ich użyciu, tak więc trzeba uczyć się ich od nowa. Jeśli prowadzę jakąś sprawę i przypuszczam, że będę potrzebować niewielkiej pomocy z zewnątrz, zwykle zapamiętuję właśnie zaklęcie snu, lecz ten proces staje się coraz bardziej męczący. Marny ze mnie mag. Nic dziwnego, że muszę ciężko pracować na utrzymanie. Dobry czarnoksiężnik może spamiętać dwa główne czary na raz. Naprawdę wielki potrafi przez cały dzień chodzić z trzema lub nawet czterema zaklęciami w pamięci i użyć ich w dogodnej chwili. Powinienem bardziej się przykładać, kiedy byłem uczniem.

Wychodzę i zabieram się do pracy. Za drzwiami mruczę swoje standardowe zaklęcie zamykające – to pomniejszy czar, którego mogę używać do woli. Sporo ludzi umie używać tych pomniejszych czarów. Nie wymagają długich studiów.

–Nie na wiele ci się to przyda, jeśli nie oddasz Yubaxasowi tego, co jesteś mu winien – informuje mnie zgrzytliwy głos z dołu schodów.

Spoglądam wściekle na wielkiego osobnika, który tam na mnie czeka. Jest bardzo wysoki i odpowiednio szeroki, i ma paskudną bliznę po mieczu od skroni po obojczyk. Ze swoją ogoloną głową jest szpetnym indywiduum, niezależnie od przyjętych kryteriów, i wołałbym, żeby tu się nie plątał. Schodzę na dół i zatrzymuję się na trzecim stopniu od dołu. Dzięki temu zabiegowi możemy spojrzeć sobie prosto w oczy.

–Czego chcesz, Karlox? – pytam ostro.

–Przychodzę z wiadomością od Yubaxasa. Forsa ma być w ciągu pięciu dni.

Pamiętam o tym aż za dobrze. Yubaxas to lokalny szef Bractwa. Jestem mu winien pięćset guranów; zadłużyłem się w efekcie nieprzemyślanych spekulacji na temat zwycięzcy wyścigów rydwanów.

–Dostanie swoje pieniądze – warczę. – Tacy goryle jak ty nie muszą mi o tym przypominać.

–Lepiej je przynieś, Thraxas, bo inaczej poznasz moc naszych złych czarów.

Przeciskam się obok niego. Karlox wybucha śmiechem. Jest egzekutorem Bractwa, a na domiar złego to porywczy i mało sympatyczny facet. I głupi jak Ork. Nie wątpię, że czerpie przyjemność ze swojej pracy. Odchodzę, nie oglądając się za siebie. Dług z hazardu mnie trapi, ale nie pozwolę, by taki wół jak Karlox to dostrzegł.

Powietrze cuchnie gnijącymi rybami. Jest goręcej niż w orkowym piekle. Wykupuję

swój miecz z lombardu Prisa. Przydałaby się też nowa para butów, ale mnie na to nie stać. Podobnie jak na wykupienie świecącej laski czy zaklęcia ochronnego. Przygnębia mnie moje ubóstwo. Co mnie podkusiło, żeby brać się do hazardu? Powinienem zostać w pałacu, rozbijać się służbowymi zaprzęgami i brać w łapę. Byłem głupi, rezygnując z tylu dobrodziejstw. A dokładniej, byłem głupi, kiedy upiłem się na weselu szefa Ochrony Pałacowej i obłapiałem pannę młodą. Nikt w pałacu nie pamięta detektywa, który zostałby tak gwałtownie i bezceremonialnie wywalony z roboty. Nawet szpiedzy i zdrajcy cieszą się jakimiś względami. Przeklęty wicekonsul Rycjusz, pies z nim tańczył. Zawsze mnie nienawidził.

Wstępuję po trochę chleba do piekarni Minarixy. Minarixa wita mnie przyjaźnie, ponieważ jestem jej częstym klientem. Widzę, że rozwiesiła plakat wzywający do złożenia datku na rzecz Ligi Kobiet Wyzwolonych. Bardzo śmiały ruch z jej strony; wielu ludzi nie pochwała Ligi Kobiet Wyzwolonych, nieoficjalnej organizacji mocno nie lubianej przez króla, pałac, senat. Kościół, cechy i praktycznie przez każdego mężczyznę w mieście.

–Grzeszna rzecz – mówi ktoś przy moim boku.

To Derlex, miejscowy pontyfik, czyli kapłan Prawdziwego Kościoła.

Pozdrawiam go uprzejmie, chociaż bez przekonania. W towarzystwie Deriexa zawsze robię się nerwowy. Mam wrażenie, że mnie potępia.

–Nie sympatyzujesz z ich poglądami, pontyfiku Derlexie?

Nie sympatyzuje. Organizacje kobiece są obłożone klątwą przez Prawdziwy Kościół. Młody pontyfik jest wzburzony. Nie dość, że w piekarni wisi plakat reklamujący bluźnierczą Ligę, to jeszcze sama piekarnia należy do Minarixy.

–Kobiety nie powinny zajmować się interesami – oświadcza.

Ponieważ Minarixa ma najlepszą piekarnię w całych Dwunastu Morzach, absolutnie się z nim nie zgadzam, ale trzymam język za zębami. Nie chcę spierać się z Kościołem – jest zbyt potężny, żeby z nim zadzierać.

–Ostatnio nie widuję cię w kościele – mówi Derlex, biorąc mnie z zaskoczenia.

–Mam dużo roboty – odpowiadam, głupio zresztą, bo narażam się na wysłuchanie kazania o niewłaściwości stawiania swojej pracy nad Kościołem. – Zrobię wszystko, by nadrobić to w tym tygodniu – zapewniam z jak największym przekonaniem i sphywam. Pontyfik nie jest z gruntu zły, pod warunkiem że zostawia człowieka w spokoju, ale nie będzie zabawnie, jeśli nagle zacznie troszczyć się o moją duszę.

Omijam starannie trzech młodych nałogowców dwa, którzy leżą bez przytomności w uliczce. Wzdycham. Otwarcie południowego szlaku handlowego przez Mattesh nasz król okrzyknął triumfem dyplomacji. Faktycznie, handel zaczął kwitnąć, ale głównym sprowadzanym towarem stało się dwa. Zażywanie tego potężnego narkotyku jest teraz rozpowszechnione w całym mieście, a efekty bywają dramatyczne. Nałogowi ulegają żebracy, żeglarze, bogaci i znudzeni młodzi dandysi – ludzie najrozmaitszych profesji i stanów. Niegdyś wystarczało im kurowanie wszelkich dolegliwości piwem i od czasu do czasu dawkami umiarkowanego narkotyku thazis, teraz spędzają dni zatraceni w mrzonkach wywołanych przez dwa. Na nieszczęście dwa jest równie drogie, co uzależniające. Kiedy ktoś raz zażyje działkę, jest szczęśliwy jak Elf w drzewie, ale kiedy narkotyk przestaje działać, czuje się strasznie. Zagorzali narkomani jedną część życia spędzają w rozkosznych objęciach dwa, drugą zaś muszą poświęcać na zdobywanie pieniędzy, aby zakupić zapas na następny dzień. Od kiedy dwa pojawiło się w Turai, różnorakie przestępstwa rozpleniły się jak grzyby po deszczu. W wielu dzielnicach miasta niebezpiecznie jest pokazywać się w nocy, ponieważ wiąże się to z ryzykiem napaści. Domostwa bogaczy otoczone są murami i strzeżone przez wynajętych członków Gildii Ochroniarzy. W dzielnicach nędzy szaleją bandy uliczników, którzy niegdyś zadawalali się świśnięciem jabłka ze straganu. Teraz wyprawiają się na rozboje z nożami i zabijają ludzi dla paru guranów.

Turai rozkłada się za życia. Biedni są zrozpaczeni, a bogaci pogrążają się w dekadencji. Pewnego dnia z północy nadciągnie niojski król Lamachos i zetrze nas z powierzchni ziemi.

Czuję się dużo lepiej, gdy z mieczem u pasa jadę Bulwarem Księżycy i Gwiazd konną dorożką, inaczej landusem. Bulwar to główna ulica biegnąca z pomocy na południe, z doków Dwunastu Mórz przez Pashish, biedną, choć zwykle spokojną dzielnicę, do Drogi Królewskiej. Droga Królewska ciągnie się na zachód przez Thamlin, osiedle bogaczy, do Pałacu Imperialnego. Attilan, niegdysiejszy kochanek księżniczki krwi, mieszka tutaj przy cichej uliczce, chętnie nawiedzanej przez młodych ludzi.

Z góry zakładam, że facet nie przypadnie mi do gustu. Niojańczycy nigdy nie są przyjaźnie nastawieni do prywatnych detektywów. Działalność prywatnych detektywów w Nioj jest zakazana. Zresztą w Nioj robienie większości rzeczy jest sprzeczne z prawem. To ponure miejsce. Thamlin jest zupełnie inny. Nasi zasobni obywatele lubią żyć w przyjemnym otoczeniu i nie skąpią na jego urządzenie – chodniki wykładane żółtymi i zielonymi płytami, wielkie białe domy z fontannami w zadbanych ogrodach. Straż Obywatelska patroluje ulice, strzegąc ich przed nieproszonymi gośćmi. Osiedle tchnie spokojem. Kiedyś sam tu mieszkałem. Jakiś czas temu. Mój stary dom obecnie zajmuje astrolog królowej. Jest uzależniony od

dwa, ale trzyma to w tajemnicy.

Jakiś młody pontyfik wita mnie grzecznie, gdy skręcam na ścieżkę wiodącą do siedziby Attilana. Niesie torbę ze znakiem Prawdziwego Kościoła. Przypuszczam, że jest zajęty kwestowaniem wśród naszych bogatszych obywateli. W drzwiach pojawia się służący. Attilana nie ma w domu i nie będzie go w najbliższej przyszłości. Sługa zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. To nigdy mnie nie bawiło. Ruszam na tyły domu. Nikt mnie nie zaczepia, gdy spaceruję po niewielkim ogrodzie, kończącym się patiem z posążkiem świętego Kwantyniusza i mnóstwem przystrzyżonych krzewów. Drzwi na tyłach są dość solidne i zamknięte na klucz. Mruczę zakłęcie otwierające, inny pomniejszy czar, którego mogę używać wedle woli, i droga staje otworem. Wchodzę. Domyślam się, jaki jest rozkład domu. Wszystkie są podobne, z centralnym dziedzińcem zawierającym ołtarz i z prywatnymi pokojami na tyłach. Jeśli, jak podejrzewani, Attilan ma tylko jednego czy dwóch służących, a oni pod jego nieobecność wałkonią się w swoich kwaterach, być może zdołam przeprowadzić przez nikogo nie zakłócone śledztwo.

Gabinet Attilana jest schludny, wszystko leży na swoim miejscu. Sprawdzam półeczkę na listy. Ani śladu korespondencji księżniczki. Sejf za obrazem długo opiera się mojemu zakłęciu otwierającemu, ale wreszcie skrzypi niechętnie. Mógłbym być doskonałym włamywaczem, choć każdy, kto posiada coś naprawdę cennego, zabezpiecza swój sejf porządnym zakłęciem od kwalifikowanego maga. W sejfie znajduję wysadzaną klejnotami szkatułkę, przyozdobioną insygniami księżniczki. Doskonale. Na razie idzie nieźle.

Mam zamiar wsunąć ją do torby, kiedy górę bierze ciekawość. Księżniczka wyraźnie zaznaczyła, żebym nie otwierał szkatułki i nie czytał jej listów. Prośba ta wzbudza we mnie nieodparte pragnienie, aby to właśnie zrobić. Niekiedy po prostu nie mogę się powstrzymać.

Szkatułka, jak się wydaje, nie zawiera żadnych listów. Znajduję tylko pergamin z wypisanym zakłęciem. Marszczę czoło w zadumie. Nie mogę się mylić – księżniczka zleciła mi odzyskanie dokładnie tej szkatułki; są na niej jej insygnia. Formułka nie jest mi znana, nie pochodzi z Turai. Po przeczytaniu jestem jeszcze bardziej zaintrygowany. To mi wygląda na zakłęcie układające smoka do snu. Czyżby księżniczka chciała uśpić smoka? Z jakiego powodu? Wsuwam szkatułkę do torby i ruszam do wyjścia. W ogrodzie nie powinno być problemów, ale gdy brnę przez krzaki, nagle potykam się o coś i mimowolnie krzyczę z zaskoczenia.

–Kto tam? – pyta służący, który galopem wpada do ogrodu. Wybałusza na mnie przerażone oczy. A raczej na to, co mam pod nogami. U moich stóp leży trup.

–Attilan! – wrzeszczy.

Sprawa przybiera zły obrót. Sługa najwyraźniej uważa mnie za człowieka, który zadźgał nożem jego chlebodawcę. Podobnego zdania są strażnicy, którzy pojawiają się w niecałe pół minuty później. Nie dają mi dojść do słowa, kiedy próbuję wyjaśnić, skąd się tu wziąłem i dlaczego. Zabierają mnie. Wleczony przez ogród, wyczuwam leciuteńką aurę czegoś niezwykłego, lecz jest ona zbyt ulotna, aby ją zidentyfikować. Poza tym nie mam okazji, żeby się nad tym głębiej zastanowić. Wrzucają mnie do furgonu i chyżo wiozą do więzienia. Gdy wpychają mnie do celi, błyska mi myśl, że ze wszystkich odmian mojego losu ta z pewnością była jedną z najszybszych.

Miasto podzielone jest na dziesięć jednostek administracyjnych, a na czele każdej z nich stoi prefekt. Podlega mu między innymi Straż Obywatelska danego okręgu. Prefekt Galwiniusz, mający w swojej pieczy Thamlin, jest wielkim, nieokrzesanym osobnikiem. Z miejsca informuje mnie, że znalazłem się w poważnych tarapatach.

–Tutaj nie mamy czasu na cackanie się z prywatnymi detektywami – warczy. –
Dlaczego zabiłeś Attilana?

–Nie zabiłem go.

–W takim razie co tam robiłeś?

–Ja tylko szedłem na skróty.

Wracam z hukiem do swojej celi. W klitce jest potwornie duszno, a na domiar śmierdzi jak w ścieku. Z ciekawości wypróbuję na drzwiach swoje standardowe zakłęcie otwierające, ale nic się nie dzieje. Co było do przewidzenia. Drzwi wszystkich cel są regularnie doglądane przez magów Straży Cywilnej, posługujących się potężnymi zaklęciami zamykającymi.

Mijają godziny. Słyszę, jak obwoływacz oznajmia Sabap, porę popołudniowej modlitwy.

O tej porze wyznawcy Prawdziwego Kościoła – w teorii wszyscy mieszkańcy miasta – powinni paść na kolana i wznieść modły. Poranna modlitwa to Sabam. Nie brałem w niej udziału. Zaspąłem. Jak zwykle, od wielu lat. Postanawiam odpuścić sobie również popołudniową sesję.

Drzwi skrzypią i do celi wkracza kapitan Rallee.

–Nie wiesz, że wszyscy obywatele nakazem prawa zobowiązani są do modlitwy w czasie Sabapu? – pyta.

–Nie widzę cię na klęczkach.

–Jestem zwolniony z powodu sprawy urzędowej.

–Mianowicie?

–Muszę wydać ci rozkaz, żebyś przestał udawać głupiego i powiedział prefektowi wszystko, co chce wiedzieć.

Widok kapitana Rallee stanowi pewną, aczkolwiek niewielką pociechę. Znamy się od

dawna; walczyliśmy nawet w tym samym batalionie podczas Wojen Orków. Niegdyś łączyła nas prawdziwa przyjaźń, lecz nasze drogi rozeszły się, kiedy opuściłem pałac i założyłem własny interes. Kapitan wie, że nie jestem głupi, ale też nie musi traktować mnie ze szczególnymi względami.

–Słuchaj, Thraxas, nie chcemy cię tu trzymać. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Nikt nie sądzi, że osobiście wbiłeś nóż w Attilana.

–Prefekt Galwiniusz sądzi.

Mina kapitana Rallee świadczy o tym, że nie przejmuje się on za bardzo sądami prefekta.

–Poddaliśmy nóż badaniom. Nasz mag melduje, że nie ma na nim twojej aury. Oczywiście, niektórzy magowie potrafiliby ją usunąć, ale ty nie jesteś na to dość dobry.

–Absolutnie nie, kapitanie. W tych sprawach jestem kompletnym ignorantem.

–Ale znalazł ślady twojej aury wewnątrz domu. Co tam robiłeś?

Dalej wpatruję się w sufit.

–Zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji, Thraxasie? Attilan był niojskim dyplomatą. Ich ambasador podnosi krzyk. Pałac podnosi krzyk. Sam konsul był tutaj i zadawał pytania.

Jestem pod wrażeniem. Konsul jest najwyższym urzędnikiem w Turai, odpowiedzialnym wyłącznie przed królem. Kapitan Rallee wbija we mnie wzrok. Ja wlepiam oczy w niego. Znosi ciężar lat o niebo lepiej ode mnie. Z długimi jasnymi włosami i szerokimi barami wciąż jest przystojnym mężczyzną. Prezentuje się sztywnie w płaszczu i czarnej tunice. Zapewne nadal ma wzięcie u kobiet. Przy tym nie jest głupi. Ostry jak ucho Elfa w porównaniu z paroma tępakami, jakich mają w Straży Obywatelskiej.

–Powiesz coś wreszcie?

Milczę.

–Nie wierzę w to, że zabiłeś Attilana – mówi kapitan. – Ale myślę, że możesz być zamieszany w niewielkie włamanie.

–Nie bądź głupi.

–Głupi? Może tak. Może nie. Nigdy nie słyszałem, żebyś dotychczas kogoś

obrabował, lecz z drugiej strony, o ile mi wiadomo, nigdy wcześniej nie byłeś winien Bractwu pięciuset guranów.

Dostrzega moje zaskoczenie.

–Masz wielki problem, Thraxasie. Yubaxas każe przynieść sobie twoją głowę, jeśli nie zapłacisz. Okropnie potrzebujesz pieniędzy, co naturalnie wzbudziło naszą podejrzliwość, kiedy znaleźliśmy cię w domu bogatego człowieka, gdzie nie zostałeś zaproszony. Dlaczego więc nie powiesz mi, o co chodzi?

–Nie dyskutuję o swoich interesach ze Strażą Obywatelską. Ani z nikim innym. Gdybym to robił, straciłbym klientów.

–Kto jest twoim klientem?

–Nie mam żadnego.

–W takim razie, Thraxasie, lepiej zrewiduj swój stosunek do modlitwy. Jeśli nie powiesz nam tego, co chcemy wiedzieć, wydostanie cię z tej celi będzie wymagało boskiej interwencji.

Odchodzi. Ja zostaję. Usycham z pragnienia – to chyba właściwe określenie.

Później daję w łapę klawiszowi, żeby przyniósł mi gazetę.

“Sławetna i wiarygodna kronika wszystkich wydarzeń światowych” jest jednym z licznych szmatławców wydawanych codziennie w Turai. Nie jest ani sławetna, ani wiarygodna, cechuje ją skłonność do wcale nie aluzyjnego napomykania o skandalicznych związkach między senatorskimi córkami a oficerami Straży Pałacowej, ale dostarcza rozrywki. To jedna płachta, marnie wydrukowana i często nie zawierająca niczego prócz plotek. Dzisiaj jednak podaje sensacyjną wiadomość o śmierci Attilana, w związku z którą niojski ambasador rzeczywiście robi piekło. Wystosował do króla protest w związku z tym skandalicznym pogwałceniem przywileju dyplomatycznego. Nie bez racji. Nie ma większego pogwałcenia przywileju niż zadanie śmierci osobie uprzywilejowanej. Nasz król, który zawsze rwie się do ugłaskiwania Niojańczyków, znalazł się w paskudnej sytuacji i pałacowi zależy na jak najszybszym wyjaśnieniu morderstwa. Na tyle szybkim, żeby zwalić winę na pierwszego podejrzanego. To znaczy na mnie.

Głowię się nad tą aferą w swojej celi i nie potrafię doszukać się w niej większego sensu. Nie mam pojęcia, kto wyprawił w zaświaty Attilana. Ani dlaczego księżniczka posłała mnie po jakieś listy miłosne, które okazały się zaklęciem układającym smoka do snu. Po co to komu? W okolicy nie ma żadnych smoków, poza królewskim pupilem w zoo i tym nowym od Orków. Zastanawiam się nad tym głęboko. To interesująca historia. Ten smok, dopiero co zamknięty w królewskim zoo, został

wypożyczony. Orkowie z Gzak przysłali go królowi Reeth-Akanowi w zeszłym tygodniu, w dowód przyjaźni, żeby mógł się sparzyć z królewską bestią. Oczywiście, nie ma nijakiej przyjaźni ani między Turai a Gzakiem, ani między ludzkim i orkowym rodzajem, jednakże istnieją traktaty pokojowe. Nie jestem pewien, po co właściwie Orkowie go przysłali. Wątpię bardzo, czy zbytnio przejmują się tym, iż smok króla Reeth-Akana może się czuć osamotniony. Może chcą wprawić ludzi w złudne przekonanie, że nie planują wojny przed przywróceniem armii do stanu sprzed ostatniego lania, jakie im sprawiliśmy. Gzak jest jednym z najbogatszych państw Orków i ma własne kopalnie złota i diamentów. Odbudowa armii nie zajmie im wielu lat.

Nadal jednak pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego księżniczka Du-Akai chciałaby uspić tego czy tamtego smoka.

Przerzucam resztę doniesień. Zwykły przegląd intryg pałacowych i skandali oraz artykuł o zabójczym zwanej Sarin Bezlitosną, która jakoby dokonała szeregu morderstw i napadów w południowych krajach, i dzięki swoim wyczynom stała się najbardziej poszukiwaną przestępczynią na zachodzie. To przyprawia mnie o atak śmiechu. Dawno temu miałem do czynienia z Sarin Bezlitosną. Przepędziłem ją z miasta, jeśli chcecie wiedzieć. To tylko kolejna drobna złodziejka. Gazety lubią przydawać pospolitym złoczyńcom cechy, których ci nie posiadają. Mam nadzieję, że Sarin wróci do Turai. Nie miałbym nic przeciwko forsie otrzymanej w nagrodę.

Niżej jest wzmianka o senatorze Lodiuszu, przywódcy opozycji, który wieszka psy na konsulu za rozkwit bezprawia w Turai. Zabójstwa i rabunki wciąż są na porządku dziennym i nadal nie ma ani śladu Czerwonej Tkaniny Elfów, za którą skarb państwa będzie musiał zapłacić, nawet jeśli jej nie otrzymamy.

O wysokiej cenie tkaniny decyduje fakt, że stanowi ona nieprzenikliwą tarczę przeciwko magii. To jedyna substancja na świecie, której nie może spenetrować żadne zaklęcie. Bardzo potrzebna w świecie pełnym wrogich czarnoksiężników. Ale prawdopodobnie w tej chwili tkanina jest już daleko od miasta. Gdyby złodzieje przywieźli ją do Turai, nasi rządowi magowie z pewnością by ją wytropili. Kiedy tkanina jest gotowa, staje się niewykrywalna, ale Elfy nie są głupie. Za każdym razem, gdy wysyłają belę, znakują ją tymczasowym czarodziejskim stemplem, który tylko oni potrafią usunąć. Gdy materiał dociera do króla, elfi czarnoksiężnik usuwa znak. Tak więc ktoś musiał buchnąć towar daleko od miasta. Powszechnie wiadomo, że Orkowie od lat uganiają się za Czerwoną Tkaniną Elfów. Jeśli wreszcie ją zdobyli, to oznacza dla nas złe wieści.

Rozmyślenia przerywa mi huk. Drzwi otwierają się z impetem i dozorca wprowadza młodą kobietę. Dziewczyna przedstawia mi się i błyska przed oczami jakąś urzędową pieczęcią.

–Jestem pokojówką księżniczki Du-Akai.

–Ciszej. Ściany mają uszy.

–Księżniczka jest zaniepokojona – szepcze Jaisleti.

–Nie ma o co. Ukryłem szkatułkę przed aresztowaniem. I nie podałem nazwiska mocodawczym.

Na twarzyczce Jaisleti maluje się ulga.

–Kiedy odzyska listy?

–Gdy tylko stąd wyjdę.

–Zobaczmy, co da się zrobić. Ale nie wolno ci wspominać jej nazwiska. Po zabójstwie Attilana wybuchłby jeszcze większy skandal, gdyby ich związek wyszedł na jaw.

–Nie martw się. Uparte milczenie jest jedną z moich najsilniejszych stron.

Odchodzi, nie prostując wersji o listach miłosnych. O smokach ani słowa.

Wzwanie do Sabav, wieczornej modlitwy, tłucze się po więzieniu. Sabam, Sabap, Sabav. Trzy wezwania do modłów dziennie. To mnie stresuje. Mimo wszystko w Turai i tak mamy luksus. W Nioj modlą się sześć razy na dzień. Padam na kolana na wypadek, gdyby szpiegował mnie jakiś klawisz; dawanie władzom kolejnego pretekstu, żeby mnie tu trzymać, nie ma najmniejszego sensu. Okazało się, że modlitwa nie była złym pomysłem, bo niedługo potem wychodzę. Może teraz Bóg stoi po mojej stronie. Choć bardziej prawdopodobne, że to księżniczka pociągnęła za odpowiednie sznurki. Kapitan Rallee jest wyraźnie niezadowolony. Nie potrafi zrozumieć, jakim cudem facet mojego pokroju może nadal mieć jakieś chody w tym mieście.

–Dla kogo pracujesz, dla rodziny królewskiej? – gdera, gdy mag mamrocze zaklęcie, żeby wypuścić mnie za główną bramę. – Uważaj na siebie, Thraxasie. Prefekt ma cię na oku. Spróbuj wyciąć jakiś numer, a osiągnie cię niczym zły czar.

Uśmiecham się łaskawie w odpowiedzi i wsiadam do landusa kierującego się w stronę Dwunastu Mór. Wsiadam przy łaźniach publicznych, zmywam z siebie smród więzienia, zaliczam piwko i papu “Pod Mściwym Toporem” i zbieram się do odejścia.

–Gdzie byłeś? – pyta Makri.

–W pudle.

–Aha. Myślałam, że może ukrywasz się przed Bractwem.

Łypię na nią wściekle.

–A niby dlaczego tak myślałaś?

–Bo nie możesz spłacić hazardowych długów.

Jestem wściekły. Nawet Makri o tym wie.

–Czy każdy w Dwunastu Morzach musi wściubiać nos w moje prywatne sprawy? Najwyższa pora, żeby ludzie zajęli się swoimi własnymi przeklętymi problemami.

Wypadam jak burza na ulicę. Jakiś żebrak wyciąga pomarszczoną rękę w moją stronę.

–Weź się do roboty – warczę. Od razu czuję się nieco lepiej.

Zapada zmrok, nim docieram do domu Attilana. Tak szybki powrót jest ryzykowny,

ale trzeba to zrobić. W czasie między odkryciem ciała w ogrodzie a aresztowaniem cisnąłem szkatułkę pod krzak i teraz muszę ją odzyskać. Wydaje się, że nikogo nie ma w pobliżu, tylko młodszy pontyfik spieszy do domu po ciężkim dniu modłów. Chciałbym się stać niewidzialny, ale zaklęcie niewidzialności jest dla mnie zbyt skomplikowane. Licząc na hit szczęścia, przeciągam się nad ogrodzeniem, skradam się przez ogród i nurkuję pod krzakiem. Szkatułki nie ma. Ktoś mnie ubiegł. Dwie minuty później znowu przełażę przez ogrodzenie i pędzę na południe, rozdrażniony taką sytuacją.

Po zmroku ruch konny jest zabroniony. Upał nie zelżał ani trochę i mam przed sobą męczący spacer. Kiedy docieram do Pashish, postanawiam wstąpić do Astralna Potrójnego Księżyca. Obiecałem Makri, że zapytam go, czy może jej pomóc. Choć bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że muszę się napić.

Pashish, leżące na północ od Dwunastu Mórz, jest kolejnym biednym przedmieściem, choć trochę mniej tam przestępczości. W kamienicach czynszowych przy wąskich ulicach mieszkają głównie robotnicy portowi i inni pracownicy fizyczni. Znalazienie maga w tej okolicy zdaje się graniczyć z cudem, ale Astrath Potrójny Księżyc jest poniekąd wyrzutkiem wśród swoich kolegów po fachu. Został nim za sprawą zarzutów sprzed paru lat, kiedy był oficjalnym magiem Stadionu Superbiusza, odpowiedzialnym za pilnowanie, by wszystkie wyścigi rydwanów i różne inne przebiegały uczciwie, bez ingerencji magicznych sił z zewnątrz. Przekonanie pewnych potężnych senatorów, że ich rydwany nie jadą tak, jak powinny, doprowadziło do śledztwa pretora i oskarżenia Astratha Potrójnego Księżyca o branie łapówek.

Astrath zatrudnił mnie do znalezienia dowodów świadczących na jego korzyść. W rzeczywistości był winny jak wszyscy diabli, ale udało mi się zaciemnić sprawę w sposób wystarczający, żeby uniknął wyroku albo wykluczenia z Gildii Magów. Dzięki temu mógł pozostać w mieście, chociaż w Turai nie wolno praktykować żadnemu magowi wyrzuconemu z Gildii. Jednak przyczepiona mu etykieta kanciarza zmusiła go do porzucenia intratnej praktyki w Alei Prawda Jest Pięknem. Teraz klepie biedę w Pashish. Praktykę ma małą i ogranicza się do zaspokajania skromnych potrzeb miejscowych obywateli.

Astrath nadal jest potężnym magiem. Jak zawsze mój widok sprawia mu przyjemność. Niewielu ludzi z moim wykształceniem i obyciem odwiedza go w tych czasach. Nalewa mi piwa, a ja wychylam je duszkiem. Nalewa mi drugie.

–Gorąco jak w orkowym piekle – mówię, opróżniając kufelek.

Nalewa mi trzeci. Nie jest złym facetem, jak na maga. Rzucam płaszcz i torbę na podłogę między astrolabia, mapy, próbówki, zioła, mikstury lecznicze i księgi, które stanowią standardowe rekwizyty zapracowanego maga.

Pytam go o zaklęcie, opisując je najlepiej jak pamiętam.

–To rzadka rzecz – rzecz Astrath Potrójny Księżyc, powoli gładząc długą brodę. – O ile mi wiadomo, żaden ludzki mag nigdy nie opracował udanego zaklęcia usypiającego smoka. Najlepszym, co udało się nam osiągnąć, jest chwilowe zamroczenie.

Ma rację. Wiem to z własnego bolesnego doświadczenia. Mój pluton startł się ze smokiem w ostatniej Wojnie Orków i wypróbowałem na tym potworze swoje zaklęcie usypiające. Rzuciłem je z pełną siłą. Wtedy jeszcze moje poczynania miały większą moc, ale smok ledwie zmrużył oko. Mimo wszystko w końcu i tak go załatwiliśmy.

–Czy Orkowie mają takie zaklęcie?

–Możliwe – powiada Astrath Potrójny Księżyc. – Ostatecznie są bardziej doświadczeni w tej materii niż my. A ich czarnoksiężnicy pracują innymi metodami. Słabszymi pod pewnymi względami, ale czasem skuteczniejszymi. Nie byłbym zaskoczony, gdyby opanowali rzemiosło w stopniu wystarczającym do uśpienia bestii. Nie sądzę, żeby wypuścili takie zaklęcie z rąk. Ale, oczywiście, jest jeszcze Horm.

–Horm Martwy?

Staram się zapanować nad drżeniem. Wolałbym uniknąć wciągania mnie w sprawy dotyczące Horma Martwego. Nie jest jedynym szalonym magiem-renegatem na świecie, ale należy do najpotężniejszych i z tego, co ludzie mówią, najbardziej przerażających.

–Prowadziłeś z nim interesy?

Astrath znów gładzi swoją brodę.

–Raczej nie. Ale paru członków Gildii Magów spotkało go w swoich podróżach i opowiedziało mi o nim różne historie. Oczywiście, było to wówczas, kiedy jeszcze mogłem chodzić na zebrania Gildii. Z opowieści wynika, że bierze dwa i odlatuje.

–Tak robi większość ludzi.

–Nie, on naprawdę umie latać. Przynajmniej tak mówią. I jeździć na smokach.

–Myślałem, że tylko Orkowie to potrafią.

–Horm jest półkwi Orkiem – mówi Astrath. – I spędza czas na Pustkowiach, wymyślając sposoby połączenia magii Orków i ludzi. Ostatnio pracował nad zaklęciem zsyłającym obłąd na całe miasto. Nazwał je Ośmiomilowym Terrorem.

Przynajmniej takie doszły nas słuchy. Oczywiście, nie można ufać informatorom z Pustkowi, ale Gildia była na tyle zaniepokojona, że zaczęła pracować nad jakimś kontrzaklęciem. Powszechnie wiadomo, że Horm Martwy nie za bardzo przejmuje się ludźmi.

–Nie rozumiem jednak, jaki związek mógłby mieć z zaklęciem, które znała księżniczka.

–Ani ja – przyznaje Astrath Potrójny Księżyc. – I z tego, co zapamiętałeś z zaklęcia, nie wygląda ono na jego dzieło. Bardziej prawdopodobne, że zostało skradzione okrijskiemu czarnoksiężnikowi. Albo może ich ambasador przywiózł je tutaj na wypadek, gdyby smok postanowił wpaść w obłęd i zacząć palić miasto.

Powinienem pospieszyć do domu i rozgryźć ten problem. Robię to po następnym piwie, odrobinie klee i porcji wołowiny podanej przez służącego Astratha. Siadam w swojej obskurnej izbie i wałkuję to w myślach. Co niojski dyplomata mógłby zrobić z zaklęciem? Próbować je sprzedać? Cenny drobiazg, pewnie, każdy rząd zapłaciłby krocie za coś takiego, ale jak on je zdobył? Skąd księżniczka wzięła zaklęcie i po co jej było potrzebne? I gdzie jest teraz? Kto zabrał je z ogrodu Attilana?

Natłok pytań powoduje, że poddaję się i idę na dół na piwo. Makri przychodzi do mojego stolika. Opowiadam jej o sprawie. Jest wrażliwą kobietą, można z nią pogadać – pod warunkiem, że nie nagabuje mnie o pomoc przy wstąpieniu na Uniwersytet Imperialny.

–Nie sądzę, by Attilan kiedykolwiek pełnił służbę dyplomatyczną w krajach Orków, ale możliwe, że natknął się na ich dyplomatów w naszym pałacu. Nie pokazują się publicznie, ale przecież niekiedy muszą spotykać się z innymi ambasadorami.

–Może go nie ukradł – sugeruje Makri. – Może mu dali.

–Trudno w coś takiego uwierzyć, Makri. Wszyscy Niojańczycy to świnię, ale lubią Orków nie bardziej niż my. A gdyby nawet Attilan z nimi współpracował, to po co mu takie zaklęcie? I co ma do tego księżniczka? Wysłała mnie, żebym je odnalazł. Skąd wiedziała, że było u niego? I po co chciała je mieć?

–Może smoki w królewskim zoo działają jej na nerwy.

–Możliwe. Smoki mogą każdego wyprowadzić z równowagi.

–Kiedyś z jednym walczyłam.

–Co takiego?

–Walczyłam z jednym. U Orków, na arenie.

–W pojedynkę?

–Nie, było nas dziesięcioro. Wielka walka ku uciesze wielmożów. Pobiliśmy potwora, ale tylko ja przeżyłam. Miał twardą skórę. Nie mogłam jej przebić mieczem. Musiałam dźgać go po ślepiach.

Wytrzeszczam oczy. Nie jestem pewien, czy mówi prawdę. Kiedy rok temu dwudziestoletnia Makri przybyła do Turai, po ucieczce z orkijskiej niewoli, była co prawda zaprawionym w boju wojownikiem, ale też osobą nienawykłą do życia w cywilizacji. Innymi słowy, nie umiała kłamać. Po roku “Pod Mściwym Toporem”, w otoczeniu słynnych upiększaczy prawdy takich jak Gurd i ja, opanowała tę sztukę.

–Ja też walczyłem ze smokiem, w Wojnach Orków – mówię zgodnie z prawdą, choć niekoniecznie do rzeczy. Po prostu nie chcę, żeby Makri myślała, iż jest jedyną w okolicy osobą, która brała udział w poważnych walkach.

Jacyś klienci wołają o piwo. Makri ma ich w nosie.

–Mam nadzieję, że nie wpędzisz księżniczki Du-Akai w kłopoty – powiada.

–A bo co?

–Ponieważ jeśli wykonasz porządną robotę, księżniczka poczuje się zobowiązana i będziesz mógł ją poprosić, żeby użyła swoich wpływów i pomogła mi dostać się na uniwersytet.

Standardowy kurs magisterski na Uniwersytecie Imperialnym obejmuje retorykę, filozofię, logikę, matematykę, architekturę, religię i literaturę. Przerasta mnie znalezienie odpowiedzi na pytanie, po jakie lichy Makri chce nauczyć się tego wszystkiego.

–Słyszałam też – dodaje młoda barbarzyńska wojowniczką – że Du-Akai sympatyzuje z Ligą Kobiet Wyzwolonych.

–Gdzie to słyszałaś?

–Na zebraniu.

Wpatruję się w nią ze zdumieniem. Nie miałem zielonego pojęcia, że Makri chodzi na mityngi Ligi.

–Tylko nie przylatuj do mnie z płaczem, jeśli wszystkie zostaniecie aresztowane za uczestnictwo w nielegalnych zgromadzeniach.

–Nie przylecę.

Rozważam w duchu pomysł skonsultowania się z kałużą kuriyi odnośnie paru pytań, ale szybko z niego rezygnuję. Nie znam dokładnych dat i miejsc związanych z tym, co chciałbym wiedzieć, zatem uzyskanie dobrego połączenia z przeszłością byłoby prawie niemożliwe. Poza tym, zostało mi niewiele czarnego płynu, a nie stać mnie na więcej. Czarnoksiężski detektyw. Koń by się uśmieł. Nie mogę sobie pozwolić na kupno najbardziej podstawowych rzeczy.

–Do roboty – mówi Makri.

–Bardzo zabawne. Chcesz zagrać w niarit po pracy?

Makri kiwa głową. Mówi mi, że dzisiaj widziała paru Elfów, jadących konno z portu w eskorcie Straży Obywatelskiej.

–Pewnie poselstwo od Pana Elfów, który wysłał Czerwoną Tkaninę. Wyobrażam sobie, że nie są uszczęśliwieni jej zniknięciem.

Makri chrząka. Elfy to dla niej krępujący temat. Rzecz w tym, że przeraża ich jej orkijska krew. Makri udaje, że ma to w nosie, ale naprawdę jest inaczej. Nie przyznaje tego, lecz sam widziałem, jak z tęsknotą w oczach patrzyła na młodych Elfów, którzy przechodzili przez Dwanaście Mórz.

Poprawia bikini i wraca do pracy. Przyjmuje zamówienia od spragnionych nocnych opojów, do których i ja się zaliczam. Ruszam na górę koło drugiej nad ranem.

Na mojej niechlujnej kozetce siedzi księżniczka Du-Akai.

–Pozwoliłam sobie wejść – oznajmia. – Nie chciałam zachodzić do tawerny.

–Wpadaj o każdej porze – burczę niezbyt uprzejmie. Należałoby okazać większą grzeczność trzeciej osobie w kolejce do tronu. Nie jestem szczególnie zachwycony, gdy zastaję w swoim pokoju nieproszonego gościa, nawet gdy jest to księżniczka krwi. Narasta we mnie mocne podejrzenie, że być może przetrząsnęła pokój.

–Masz szkatułkę?

Kręcę głową.

–Wróciłem po nią. Ktoś musiał widzieć, jak ją chowałem. Zniknęła.

–Muszę mieć te listy!

Patrzę na nią ciężkim wzrokiem. Po raz pierwszy traci rezon. To dobrze. Postanawiam walić prosto z mostu.

–Tam nie było listów, księżniczko. Twoja szkatułka znajdowała się w sejfie Attilana,

to się zgadza. Śliczne pudełko. Wyborna inkrustacja. Jednak bez listów. Tylko orkijskie zaklęcie układające smoka do snu.

–Jak śmiałaś sprawdzać zawartość?!

–Niech żyje szczerowość! A jak ty śmiałaś zlecać mi sprawę, faszerując mnie fałszywymi informacjami? Dzięki tobie, księżniczko, siedzę po uszy w sprawie morderstwa niojskiego dyplomaty. Jasne, użyłaś swoich wpływów, żeby wyciągnąć mnie z pudła, ale to nie powstrzyma konsula od oskarżenia mnie o morderstwo, jeśli nie pojawi się lepszy kandydat. Wobec tego proponuję, żebyś zaczęła mówić prawdę.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Księżniczka Du-Akai nie okazuje najmniejszych skłonności do szczerych wyznań.

–Wiesz, kto zabił Attilana? – pytam.

–Nie.

–Ty?

Jest wyraźnie wstrząśnięta. Zaprzecza.

–Dlaczego chciałaś, żebym zdobył to zaklęcie? Skąd ono pochodzi? I dlaczego było w twojej szkatułce?

Księżniczka nie puszcza pary z ust. Zbiera się do wyjścia. Jestem wściekły jak wszyscy diabli. Ilekroć trafiam do celi, chciałbym przynajmniej wiedzieć, z jakiego powodu. Mówię jej parę rzeczy, które nie mają nic wspólnego z komplementami. Ona rzuca na stół niewielką sakiewkę i oznajmia mi, że nasze interesy zostały zakończone.

–Nie trzaskaj drzwiami – mówię.

Trzaska drzwiami. Liczę pieniądze. Trzydzieści guranów. Zapłata za trzy dni. Nieźle. Jeszcze czterysta siedemdziesiąt i będę miał Bractwo z głowy.

Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Wypijam jeszcze trochę piwa. Jest zbyt gorąco, żeby kłaść się do łóżka. Zasypiam na kozetce.

Makri budzi mnie o wpół do czwartej nad ranem.

–Makri, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie włąziła bez pukania do mojego pokoju? Mogę robić coś intymnego.

Wybuchła śmiechem.

–Zacznę okładać drzwi zakłębieniem zamykającym.

–Twoje zakłębienie nie wytrzymałoby piętnastu sekund, Thraxasie.

Rzeczywiście, chyba by nie wytrzymało. Makri zaczęła walczyć na arenach w wieku trzynastu lat. Siedem lat życia w roli orkijskiego gladiatora wyrabia w człowieku talent i skłonności do używania siły. Usiłuję wstać, podczas gdy Makri robi trochę miejsca na wieku starej skrzyni i rozkłada moją planszę do niarita.

–Co z tobą? – pyta. – Wyglądasz bardziej ponuro niż niojska dziwka.

Mówię jej, co zaszło między mną a księżniczką.

–Dostałem zapłatę za trzy dni, a liczyłem na dużo więcej. Przypuszczam, że po czymś takim już nigdy mnie nie wynajmie. I nie liczyłbym na jej pomoc w dostaniu się na uniwersytet.

–Chcesz powiedzieć, że ją obraziłeś?

Przyznaję, że owszem, ale nie bez racji.

Makri wyjmuje parę pałeczek thazis.

–To poprawi ci humor.

–Jeśli straż przyłapie cię na wynoszeniu ich z baru, wylecisz na zbite ucho.

Wzrusza ramionami. Zapaleni swoją pałeczkę.

–Jak studia w Kolegium Gildii? – pytam.

–W porządku. To lepsze niż wiosłowanie na galerze.

–Nie wydajesz się zbyt szczęśliwa.

–Byłoby świetnie, gdyby inni studenci nie czepiali się mnie na okrągło. Słyszałam,

jak ktoś szepnął “Orka”, kiedy wychodziłam z wykładu retoryki. Odrąbałabym mu głowę, ale za to by mnie wyrzucili. Poza tym nie pozwalają mi wносить topora do sali wykładowej.

Makri zapala drugą pałeczkę thazis i rozstawia figury na planszy. Pierwszy szereg, od lewej do prawej, składa się z piechurów i hoplitów, bieżników i trolli. Tylny rząd stanowią słonie, ciężka jazda rycerska i lansjerzy. Każdy gracz ma po swojej stronie wieżę oblężniczą, uzdrawiacza, bohatera, harfiarza, czarnoksiężnika i roznosiciela zarazy. Na samym końcu planszy stoi zamek, a celem gry jest obrona własnego zamku i zdobycie zamku przeciwnika.

–Kerk pałętał się pod twoimi drzwiami – mówi Makri.

Kerk jest moim informatorem. Ogólnie rzecz biorąc, całkowicie bezużytecznym i beznadziejnie uzależnionym od dwa.

–Musi mieć jakieś informacje. Nie wszedł, bo usłyszał, że mam klienta. Zobaczę się z nim jutro.

Otwieram butelkę piwa, nalewam kieliszek klee, zaciągam się głęboko thazis i robię standardowe otwarcie, wysyłając piechotę na flanki. Makri odpowiada tak jak zwykle: podrywa swoich lansjerów, ale zauważam też, że cichaczem przygotowuje się do wprowadzenia na planszę roznosiciela zarazy. Rzucam łuczników jako wsparcie dla piechoty i pilnuję, żeby mój czarnoksiężnik i uzdrawiacz gotowi byli do szybkiego wkroczenia do akcji.

Makri bywa w grze nieco popędliwa. Próbuje wymusić szybkie starcie: rzuca resztę ciężkiej kawalerii, a za nią słonie. Cofam się odrobinę i stosuję nowy wariant. Wysyłam harfiarza pod ochroną bohatera, żeby zagrał słoniom. Muzyka harfiarza ma moc wprawiania w trans i słonie Makri zasypiają. Może tylko przyglądać się bezsilnie, jak moi trolle wpadają między nieruchome zwierzęta i szybko je załatwiają.

Tymczasem solidna falanga moich hoplitów i bieżników odpiera jej kawalerię. Ruszam wieżą oblężniczą w górę planszy. Kawaleria Makri powoduje ofiary wśród moich hoplitów, ale mam już pod ręką uzdrawiacza, który natychmiast uzdrawia sytuację. Mój czarnoksiężnik trzyma w szachu jej bohatera.

Wskutek nieroztropnego ataku jej czarnoksiężnik zostaje wykluczony z gry i kiedy najbardziej zacięta bitwa toczy się na środku planszy, wysyłam na prawą flankę bohatera ze stadem słoni. Zaczynam się przedzierać. Nadchodzą trudne chwile dla moich sił, kiedy Makri nagle i niespodziewanie cofa swojego roznosiciela zarazy. Mór zabija mi kilka słoni, lecz bohater ściera się ze sprawcą i zmusza go do ucieczki. Tymczasem mój własny roznosiciel zarazy podkrada się z lewej flanki, osłabiając siły Makri. Nagle atakuję z obu stron. Moi trolle i ciężka jazda otaczają i zabijają jej

czarnoksiężnika i bohatera. Hoplici klinem rozrywają kawalerię i maszerują dziarsko, za nimi zaś telepie się wieża oblężniczą. Makri próbuje zebrać siły, ale jej ostatnia linia oporu pęka, kiedy mój roznosiciel zarazy zabija jej harfiarza, a potem dziesiątkuje trolle. Wkrótce pokonuję jej wojska i przysuwam wieżę oblężniczą do zamku.

W niaricie można wykaraskać się z marnego położenia, ale nie wtedy, kiedy gra się z mistrzem. To znaczy ze mną. Pozostałe siły Makri zostają otoczone i stopniowo wycięte w pień, gdy przygotowuję się do ostatecznego ataku. Mój bohater na czele piechoty wspina się na wieżę oblężniczą i wchodzi do zamku. Thraxas zwycięża.

–Bodaj to szlag – mruczy Makri, rozeźlona nie na żarty. Nie umie przegrywać. Ja też nie. Na szczęście zawsze wygrywam.

–Pokonam cię następnym razem – obiecuje.

–Wykluczone. W te klocki nadal jestem zawodnikiem numer jeden.

Makri szczyrzy zęby, jednym haustem wypija resztę klee i idzie do siebie. Wtaczam się do sypialni, gaszę świece i układam się do snu. Drzemkę przerywa mi Hanama. Najbardziej nieubłagana członkini morderczego Cechu Zabójców kłuje mnie w gardło sztyletem. Po dniu ciężkiej pracy nie ma gorszej rzeczy, niż takie przebudzenie.

Świeca mruga udając, że oświetla moją izbę. W jej nikłym blasku ledwo widzę nóż na swoim gardle i pochyloną nade mną postać zabójczym. Jestem przyszpilony do łóżka, niezdolny do wykonania ruchu. Faktycznie, koszmar, a nie pobudka. Spotkałem już kiedyś Hanamę. Jest numerem trzecim w Cechu Zabójców, bezlitosną morderczynią. A jednak, gdy przejaśnia mi się w głowie, uświadamiam sobie, że nie zostanę z miejsca ukatrupiony. Gdyby tak miało być, już bym nie żył. Zabójcy nie zwracają sobie głowy takimi formalnościami, jak budzenie swoich ofiar.

–Gdzie to jest? – syczy.

–Co? – chrypię w odpowiedzi.

–Czerwona Tkanina Elfów – powiada Hanama, co wprawia mnie w niebotyczne zdumienie.

–O czym ty gadasz?

Naciska nożem ciut mocniej.

–Dawaj ją, inaczej zdechniesz – grozi. Jej oczy są zimne jak serce Orka.

Drzwi do sąsiedniego pokoju stają otworem. Do wnętrza wlewa się światło latami. Na progu staje Makri z mieczem w dłoni.

–Puść go – warczy.

Hanama wybucha wysokim, pozbawionym cienia humoru śmiechem zabójcy.

–Ładne bikini – rzuca drwiąco i jednym błyskawicznym ruchem wyciąga krótki miecz. Lekko ugina nogi w kolanach. Jej drobne, chude ciało wydaje się mniejsze niż w rzeczywistości dzięki czarnemu ubraniu, w którym wygląda prawie jak dziecko. Zastanawiam się, czy Makri zdaje sobie sprawę, jaka jest niebezpieczna. Sprężam się, by skoczyć Makri na pomoc. Nagle z hukiem otwierają się zewnętrzne drzwi. Do biura i do sypialni wpadają jacyś ludzie. Makri i Hanama obracają się na piętach, żeby stawić czoło intruzom. Zrywam się z łóżka i chwytam miecz. Nie ma czasu do namysłu, przestrzeń też jest bardzo ograniczona, gdy banda dzikich, zbrojnych w miecze oprychów grozi zmiżdżeniem nas samą liczbą. Jakiś masywny facet macha w moją stronę równie masywną szablą. Robię zwinny unik i wbijam mu nóż w serce. Następny przeciwnik śmiga toporem w stronę mojej głowy. Odchylam się, wymierzam mu kopa w kolano i tnę nożem po gardle. Jestem w tym dobry. Podobnie jak Makri i Hanama. Wypieramy napastników do biura. Makri rzuca się za nimi z impetem, za nią pędzi Hanama, a na końcu ja.

W większej przestrzeni biura tracimy przewagę. Z zewnątrz nadciągają dalsi napastnicy. Wróg zaczyna nas okrążyć. Nie ma czasu, żeby się rozejrzeć, ale kątem oka dostrzegam, jak Makri kosi dwóch za jednym zamachem i wybija się w powietrze, aby uniknąć niskiego cięcia i strzelić butem w twarz następnego łobuza. Paruję kolejny atak, lecz zanim zdobywam się na kontrę, moje zmysły dostają kręćka. Wykrywam magię, potężną magię, bardzo blisko. Przez chwilę widzę wielką, otuloną w płaszcz figurę. Stoi w drzwiach z uniesioną ręką. Potem następuje oślepiający błysk i zostaję rzucony na ścianę razem z Makri i Hanama. Leżymy tak we troje, dysząc i brocząc krwią. Nie wiem, co to było za zaklęcie, ale całkiem skuteczne.

–Zabić ich – rozkazuje mag, wchodząc do pokoju.

Nagle przybywa z odsieczą Gurd, przebudzony tym harmidrem. Wpada do pokoju z toporem nad głową i dwaj ludzie z miejsca padają trupem. Nawet nie zdążyli krzyknąć. Podciągam się na nogi, gdy Gurd znika w wirze ostrzy i ciał. Ta przerwa daje Makri i Hanamie parę sekund, jakich potrzebują na dojdzie do siebie. Hanama rzuca nożem w jednego oprycha i w tej samej chwili wbija sztylet w plecy drugiego. Nasz zajadły atak zaczyna przynosić owoce: intruzi wykruszają się powoli. Jeszcze jeden zryw powinien załatwić sprawę. Moje zmysły znów zaczynają szaleć i uświadamiam sobie, że padam ofiarą kolejnego czarodziejskiego ataku. Niech lichy weźmie wszystkich magów!

Atak zostaje przerwany przez przeraźliwy gwizd świstawek. W uliczce na dole pojawia się Straż Obywatelska. Powstaje zamieszanie, gdy napastnicy na łeb, na szyję zmiatają po schodach. Nie kwapię się do pościgu. Ledwo mogę się wyprostować. Bitewna gimnastyka i magiczne zaklęcia sprawiły, że naprawdę opadłem z sił. Poza tym mam kaca.

–O co poszło? – pyta Gurd, gdy Straż Obywatelska wciska się do biura.

Bez słowa kręcę głową. Nie wiem. Rozglądam się, by sprawdzić stan swoich towarzyszek. Makri wyszła ze starcia bez szwanku i spokojnie wyciera krew z miecza w ubranie jednego z naszych licznych martwych przeciwników. Po Hanamie nie zostało śladu. Wymknęła się, korzystając z zamieszania.

–O co poszło? – Kapitan Rallee jak echo powtarza słowa Gurda.

–Nie mam pojęcia – sapię. – Ale cieszę się, że cię widzę.

–I tak byśmy ich na pewno pobili – powiada z przekonaniem Makri.

Makri walczy dwoma mieczami albo mieczem w jednej, a toporem w drugiej ręce. To niezwykła technika, prawie nieznaną w Turai, i jej mistrzowskie opanowanie pozwala dziewczynie zwyciężać w starciach z pospolitymi ulicznymi zabijakami.

–Patrz, kapitanie! – woła jeden ze strażników, podnosząc rękę jednego truposza i wskazując na tatuaż. Kapitan ogląda go z uwagą. Dwie zaciśnięte dłonie.

–Towarzystwo Przyjaciół – mówi. – Czym im się naraziłeś, Thraxasie? Im też jesteś winien pieniądze?

Potrząsam głową. Nie miałem pojęcia, że naraziłem się Towarzystwu Przyjaciół. Unikam jak ognia wchodzenia w drogę wielkim organizacjom przestępczym.

W moim pokoju leży dziewięć martwych ciał, a mimo to Straż Obywatelska robi zaskakująco mało ceregieli. Tatuaże intruzów potwierdzają, że wszyscy byli członkami Towarzystwa Przyjaciół, a Towarzystwo niewiele ma do powiedzenia tutaj, na terytorium Bractwa. Straż Obywatelska nie zamierza tracić czasu na tę sprawę, zwłaszcza że ofiara napaści, czyli ja, jest prywatnym detektywem. Kapitan Rallee zauważa, że niezależnie od przyczyny ataku, prawdopodobnie na niego zasłużyłem.

Zniszczenia w pokoju bardzo martwią Gurda, ale skądinąd jest umiarkowanie zadowolony z całej afery. Od dawna nie brał udziału w przyzwoitej bijatyce.

–Kim była ta kobieta?

–To Hanama. Wysoko postawiona członkini Cechu Zabójców.

Makri szeroko otwiera oczy.

–Istnieje Cech Zabójców? Nie wiedziałam, że są tak zorganizowani.

–No, nie jest to oficjalny cech. Nie uczestniczy w zebraniach innych cechów ani nie wysyła reprezentantów do senatu. Jednak istnieje. To czereda bezwzględnych zabójców. Są odpowiedzialni za większość popełnianych tu mordów politycznych i pracują dla każdego, kto im płaci.

–Ale ona nie próbowała cię zabić, prawda?

Potrząsam głową.

–Podejrzewała chyba, że mam trochę Czerwonej Tkaniny Elfów.

–Że co?

Znów potrząsam głową. Ja też nie widzę w tym sensu.

–Belę, która zaginęła w drodze do Turai – wyjaśniam. – Ale pozostaje tajemnicą, co tkanina ma wspólnego z zabójcami albo czemu Hanama myśli, że ja ją mam.

Pod tawernę podjeżdża miejski furgon i paru robotników komunalnych zaczyna

wynosić ciała. Tholiusz, prefekt zawiadujący Dwunastoma Morzami, nie trwoni królewskich pieniędzy na utrzymanie tego miejsca w czystości, ale przynajmniej usuwa zwłoki.

–Co to za tkanina? – pyta Makri.

Nalewam sobie piwa, żeby ochłoniąć po walce.

–Najcenniejszy materiał na zachodzie. Cenniejszy od złota i dwa, ponieważ jest całkowicie odporny na czary. Elfy strzegą go jak źrenicy oka. Wyrabiają tę tkaninę z korzeni jakiegoś krzaka, który kwitnie tylko raz na dziesięć lat. A może na dwadzieścia. Niezbyt dobrze pamiętam, w każdym razie rzadko. Tylko król może coś takiego posiadać, nie łamiąc prawa. Ma w pałacu komnatę wybitą tą materią i tam omawia z doradcami tajemnice państwowe. Ponieważ tkanina stanowi barierę nieprzenikliwą dla magii, tylko to miejsce jest całkowicie bezpieczne przed szpiegującymi czarnoksiężnikami. Z tego względu można być pewnym, że na przykład wrodzy orkijscy magowie nie podsłuchają niczego w czasie wojny. Orkowie nie mają czegoś takiego, co daje nam przewagę. Mnóstwo ludzi chciałoby dostać w ręce choć jedną belę.

–Czy na tym zależało Towarzystwu Przyjaciół?

–Całkiem możliwe. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód ich najścia. Jakim cudem rozeszła się wieść, że posiadam Czerwoną Tkaninę Elfów? Nie mam z nią nic wspólnego. Przecież nie ma jej w mieście.

–Skąd wiesz?

–Bo przed wysyłką Elfy znakują wszystkie swoje tkaniny. To coś w rodzaju pieczęci, magicznego sygnału. Dzięki temu każdy mag może zlokalizować materiał. Dopiero po dostarczeniu na miejsce przeznaczenia elfi mag usuwa znak i tkanina staje się całkowicie niewykrywalna. Zanim tak się stanie, pałacowi magowie mogą ją znaleźć, posługując się swoimi zaklęciami poszukującymi, i wiem, że dokładnie przeczesał miasto.

–Może złodziej usunął znak – sugeruje Makri.

–Mało prawdopodobne. Elfie znaki magiczne są praktycznie nieusuwalne. Zazwyczaj likwiduje je jeden z ich magów. Chciałbym wiedzieć, jak wplątałem się w to wszystko. Lepiej nauczę się silniejszego zaklęcia zamykającego drzwi. Hanama uporała się z nim w mgnieniu oka.

–Polubiłam ją – mówi Makri.

–Co takiego? Lubisz ją? Trzymała nóż na moim gardle.

–No, wyjąwszy ten szczegół. Ale jest dobrym wojownikiem. Zawsze lubię dobrych wojowników.

–Będziesz doskonałym filozofem, Makri.

Żalną reszkę nocy przesypiam kamiennym snem. Kryzys czy nie, jestem człowiekiem, który musi się wyspać.

Zerkam podejrzliwie na monetę leżącą na mojej dłoni. Elfi podwójny unikorn. Bardzo rzadki. Bardzo cenny.

–Dostaniesz następną, jeśli to znajdziesz.

Spoglądam bacznie na swoich gości. Elfy cieszą się dużymi względami w Turai – to uczciwa i odpowiedzialna rasa doskonałych wojowników, wybitnych poetów, niezrównanych pieśniarzy, miłośników drzew, żyjących za pan brat z naturą i tak dalej – ale ja mam pewne zastrzeżenia. W trakcie uprawiania swojego fachu natknąłem się na garść nieznanymi ogółowi dowodów świadczących o złym prowadzeniu się Elfów. Zgoda, w życiu nie spotkałem Elfa, który byłby takim bezwzględny zabójcą jak kilku znanych mi ludzi, ale poznałem też paru z wyraźnie przestępczymi skłonnościami. Co więcej, w moim biznesie wizyta Elfów zwykle oznacza kłopoty, ponieważ jeśli mają jakiś drobny problem, to załatwia go ich ambasador. Korzysta przy tym ze skwapliwie udzielanej pomocy naszych władz, którym zależy na podtrzymaniu dobrych stosunków.

Teraz stoi przede mną dwóch młodych Elfów, przyodzianych na zielono, wysokich, jasnych i złotookich, którzy chcą mnie wynająć, abym odnalazł Czerwoną Tkaninę Elfów. Ten materiał mnie prześladowuje. Już wyjaśniłem, że mój udział w całej sprawie jest przypadkowy.

–Jeśli słyszeliście, że ją mam, to jest to tylko plotka. Nie wiem, skąd się wzięła. I nie mam pojęcia, gdzie jest tkanina.

–Nie słyszeliśmy żadnych takich plotek – oznajmia Callis-ar-Del, starszy z tej pary. – Przyszliśmy tutaj, ponieważ nasz kuzyn, Vas-ar-Methet, wiemy doradca pana Kalith-ar-Yila, który wysłał tkaninę, zarekomendował nam ciebie jako bystrego i godnego zaufania człowieka.

Cieszę się, że jestem bystrym i godnym zaufania człowiekiem. Popatruję na młodych Elfów z większą sympatią. Co ważniejsze, z tropu zbija mnie imię Vas-ar-Metheta. To jeden z bardzo niewielu Elfów, z jakimi byłem naprawdę zaprzyjaźniony, przybył z Wysp Południowych z elfim batalionem w ostatnich Wojnach Orków. Po tym jak siły zachodu dostały lanie, wylądowaliśmy wraz z Gurdem w jednym rowie, sromotnie, choć roztropnie chowając się przed wielkim orkijskim smoczym patrolem przeprowadzającym rekonesans na tym terenie. Ukrywaliśmy się przez trzy dni, a potem wywalczyliśmy sobie drogę do miasta. No, może określenie “przekradliśmy się” wierniej oddaje prawdę, ale faktem jest, że musieliśmy jakoś przemknąć przez zgraję orkijskich wojowników. To jedna z naszych ulubionych wojennych opowieści. Snuję ją co najmniej raz na tydzień w barze na dole.

–Jak się miewa Vas?

–Dobrze. Jego drzewo życia zdrowo pnie się ku niebu.

Nie wiem dokładnie, co to oznacza, ale postanawiam nie drażnić tematu.

–Zanim opuściliśmy wyspy, poradził nam przyjść do ciebie, jeśli nie poradzimy sobie sami.

Elfowie zostali przysłani z Wysp Południowych przez swego Elfiego Pana. Mieli ustalić, gdzie jest zaginiona tkanina, ale nic nie wskórali. Dlatego przyszli do mnie. Byli u swojego ambasadora, widzieli się z naszym konsulem, porozmawiali z Ochroną Pałacową, skonsultowali się ze Strażą Obywatelską i wypytywali różnych magów śledczych w mieście, i wszystko na darmo. Co przywiodło ich do Dwunastu Mórz – gnijące rybie łby, cuchnące ścieki, tani detektyw? Witamy w wielkim mieście.

Wzruszam ramionami. Skoro i tak jestem wmieszany w tę sprawę, a księżniczka wylała mnie na zbitą twarz, równie dobrze może mi płacić ktoś inny. Zgadzam się wziąć sprawę. Elfy, Callis i jego towarzysz Jaris-ar-Miat, mówią mi, co wiedzą – a jest tego niewiele.

Ich pan, Kalith-ar-Yil, wysłał materiał statkiem płynącym do Turai, ale z powodu uszkodzeń poniesionych w czasie sztormu statek musiał zawinąć do portu na południu Mattesh. Zamiast czekać spokojnie na zakończenie napraw, towar został przeładowany na furgon i ruszył w karawanie do miasta. Gdzieś po drodze eskorta została wymordowana, a tkanina zniknęła. I tyle wiadomo na ten temat. Callis i Jaris nie wywęszyli niczego nowego od czasu rozpoczęcia dochodzenia, ale, z drugiej strony, nie są profesjonalistami.

Wlepiam oczy w monetę. Podwójny unikorn. Faktycznie bardzo cenny. I będzie miał kolegę, jeśli znajdę Czerwoną Tkaninę Elfów. Gotówka znacznie się przyczyni do spłacenia Bractwa. Poza tym konsul ogłosił nagrodę dla znalazcy tkaniny. Może mój los się odmieni. Może nawet zarobię tyle, żeby wynieść się z Dwunastu Mórz. Elfy gotują się do wyjścia. Niezwykle dobrze wychowana para. Nawet nie pokręcili nosem, widząc żaloszny stan mojego pokoju.

Wpada MakriJak zwykle bez pukania. Speszona, oniemiała, wpatruje się w Elfy jak sroka w gnat. Oni z kolei gapią się na nią. Ich nienaganne maniery odchodzą w zapomnienie. Wyczuwają jej orkijską krew i nie trzeba być wnikliwym obserwatorem, żeby spostrzec, iż to wcale im się nie podoba. Odsuwają się od niej pospiesznie. Przez twarz Makri przemyka rozdrażnienie.

–I co? – pyta zaczepnie.

Elfy kiwają głowami i wychodzą w pośpiechu. Pytam Makri, czego szuka.

–Niczego. Mam robotę – mówi tonem, który zapewne uważa za pełen godności. Wypada z pokoju, głośno trzaskając drzwiami.

Jestem strapiony. Nie lubię, gdy Makri się wkurza, ale zanim zdążam za nią ruszyć, w moich progach staje pontyfik Derlax. Staram się wyglądać jak człowiek, który codziennie budzi się w porę na poranne modły. Pontyfik wyraża zaniepokojenie nocną napaścią.

–Nic mi nie jest – zapewniam. – Odparliśmy ich, ja i Makri.

Derlex tłumi chrząknięcie. Jego troska o moją pomyślność nie rozciąga się na Makri. Z orkijską krwią, bikini z metalowych kółek i talentem do wymachiwania mieczem, w oczach Kościoła Makri stoi ledwie jeden stopień wyżej nad demonem z piekielnych czeluści.

–Jestem poważnie zaniepokojony wzrostem przestępczości w Dwunastu Morzach – mówi pontyfik, przesuwając w palcach święte paciorki. – Podobnie jak biskup Gzekiusz.

Chrząkam.

–Nie sądzę, żeby moje problemy przyprawiły biskupa Gzekiusza o bezsenność, pontyfiku.

Derlex robi zboląłą minę.

–Biskup jest zainteresowany losem każdej ze swych owieczek. – Zachowuje powagę, a to już dużo. Większość ludzi nie przypisuje biskupowi Gzekiuszowi jakichkolwiek miłosiernych uczuć. Dobry biskup Gzekiusz, którego duszpasterskie obowiązki obejmują Dwanaście Mórz i resztę żalosnych slumsów portowych Turai, to ambitny intrygant przymierzający się do arcybiskupstwa. Jest zbyt zajęty walką o władzę i wpływy wśród miejskiej arystokracji, by przejmować się biedakiem z Dwunastu Mórz czy skądkolwiek.

–Dlaczego napadła cię ta banda?

Zapewniam, że nie wiem, i wyprowadzam Derlexa. Najpierw jednak obiecuję, że będę uczęszczać do jego kościoła. Ta troska o moje zdrowie jest trochę trudna do przełknięcia, zwłaszcza przed śniadaniem.

Moje śniadanie przypomina stypę. Spożywam je pod lodowatym spojrzeniem Makri, która w tej chwili jest zła jak Ork z bólem zęba. Z hukiem stawia talerz na moim stole i nie ma najmniejszej ochoty na pogawędkę.

–Nie sądzisz, że jesteś trochę nadwrażliwa? – rzucam, gdy mija mnie ze ścierką w

rękach.

–Nie wiem, o czym mówisz – odszczekuje, potrząsając szmatą w wyrażnie niebezpieczny sposób. – Jestem szczęśliwa jak Elf w drzewie.

Wyciera podłogę, a przy okazji wywraca stółek i tratuje jego szczątki.

Klienci przychodzą na wczesnego drinka, co kończy naszą dyskusję. Przeklinam subtelną wrażliwość mojej wywijającej toporem przyjaciółki i przygotowuję się do rozpoczęcia śledztwa. Odwiedzam lokalny posterunek Straży Obywatelskiej, żeby sprawdzić, czy strażnik Jevox może rzucić nieco światła na pewne rzeczy. Kiedyś dzięki swoim chodom obroniłem jego ojca przed Bractwem, które łąszczyło się na bukmacherskie zarobki starego na Stadionie Superbiusza. Dzięki temu Jevox idzie mi na rękę bardziej niż przeciętny strażnik.

–Czy są jakieś tropy, dotyczące kradzieży Czerwonej Tkaniny Elfów?

Jevox jest zaskoczony moim pytaniem.

–Pracujesz nad tym?

Robię bezmyślną minę i nie naciskam. Jevox słyszał o zadymie z Towarzystwem Przyjaciół, ale nie potrafi rzucić światła na to, dlaczego oni albo ktokolwiek inny mógłby myśleć, że mam tkaninę. Mówi mi, że Towarzystwo jest brane pod uwagę w związku z rabunkiem, choć brak konkretnych dowodów.

–Mówisz, że nie mają nic więcej?

–Prawdopodobnie.

Proszę go, żeby dał mi znać, jeśli Straż poczyni jakieś postępy. Kładę nacisk na nazwisko czarnoksiężnika, który mógł współpracować z Towarzystwem. Jevox zgadza się mi pomóc i pyta, jak się w to wplątałem.

Oczywiście odmawiam udzielenia odpowiedzi.

–Ile wynosi nagroda?

–Właśnie skoczyła do pięciuset guranów.

Okrągła sumka dla człowieka, który pilnie potrzebuje pieniędzy. Niespodziewanie przybywa Tholiusz, prefekt Dwunastu Mórz, i z miejsca mnie wyrzuca. Tholiusz mnie nie lubi. Prefekci nigdy mnie nie lubią. Za każdym razem, kiedy rozwiązuję jakąś sprawę, czują się niekompetentni.

Przed posterunkiem Straży Obywatelskiej jakiś szczeniak z Królów Koolu,

miejscowego gangu ulicznego, wyrzaskuje obelgi pod adresem grubasów, którzy zawsze stawiają na niewłaściwe rydwany. Podnoszę kamień i ciskam w niego płynnym ruchem. Pocisk trafia go w nos i dzieciak zalewa się łzami.

–Nigdy nie wyśmiewaj się z doświadczonego żołnierza, pędraku.

Palax i Kaby chałturzą przy zatoce. Oboje są ubrani jak zwykle w dziwaczne, wystrzępione, ale kolorowe łachy. Przyodziewek uzupełniają niezliczonymi sznurami paciorków i obfitością kolczyków. Każde paraduje z metalowym kółkiem w lewej brwi (nie wspominając o ozdobach na innych częściach ciała) i farbuje włosy na kolor wystarczająco jaskrawy, by wstrząsnąć każdym normalnym obywatelem. Jako wędrowni muzykanci mają swego rodzaju przyzwolenie na taką ekstrawagancję. Ich konny wóz parkuje na wysypisku za tawerną Gurda. Byłem zszokowany, gdy zobaczyłem tę parę po raz pierwszy, i radziłem Gurdowi, żeby przepędził ich z okolicy, ale już zdążyłem się do nich przyzwyczaić. To naprawdę mili młodzi ludzie i jesteśmy dość zaprzyjaźnieni. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego muszą wyglądać tak dziwacznie. Chodzi mi o te poprzekłuwane nosy i brwi. Śmieszne. Przez chwilę słucham ich rzępolenia i wrzucam monetę do kubka.

Czas odwiedzić “Syrenę”, jedną z najmniej przyjemnych tawern w Dwunastu Morzach, co chyba mówi samo za siebie. Szczeniaki z Królów Koolu znowu mi docinają. Wszyscy w Dwunastu Morzach mnie znają, ale nie roszczę sobie pretensji do powszechnej sympatii. Prostytutki i handlarze dwa ignorują mnie, gdy kluczę między kupami śmieci.

Tutaj zwykle można znaleźć Kerka. Jako handlarz dwa często zna interesujące fakty wiążące się z prowadzeniem interesu. Na nieszczęście dla niego konsumuje raczej zbyt wiele swojego towaru i dlatego przeważnie brakuje mu kasy. Znajduję go przed tawerną, opartego niepewnie o ścianę. Jest wysoki i ciemnowłosy, ale jego niegdyś przystojna twarz wygląda na zapadniętą! wyglodzoną, a wielkie oczy są matowe i nieprzytomne. Sądząc po oczach, może mieć w sobie parę kropel elfiej krwi, co nie byłoby takie dziwne. Elfy bawiące w naszym mieście nie gardzą figlowaniem z naszymi dziwkami, niezależnie od zapewnień o moralnej wyższości.

Pytam go, czy wie coś o tkaninie.

–Chóry anielskie – mruczy, gapiąc się w ziemię. Nie wiem, co to znaczy. Przypuszczam, że ulega właśnie jakiejś potężnej halucynacji. Ostatnio Kerkowi się pogorszyło. I tak się dziwię, że potrafi utrzymać się w biznesie.

–Czerwona Tkanina Elfów – powtarzam.

Skupia na mnie wzrok z niejaką trudnością.

–Thraxas. Jesteś w kłopotach.

–To już wiem. Tylko nie wiem, dlaczego.

–Okradłeś Attilana.

–Nie okradłem.

–Ludzie gadają.

–Mianowicie?

–Attilan próbował zagarnąć elfią tkaninę dla Nioj. Niektórzy myślą, że już ją miał, kiedy go zabiłeś.

–Nie zabiłem go. Ani nie okradłem. Tak czy owak, jakim cudem Attilan mógł mieć tkaninę? Przecież nie ma jej w mieście.

Kerk wzrusza ramionami.

–Nie wiem. Może za tym wszystkim stoi Gliksiusz Pogromca Smoków.

–Kim u licha jest Gliksiusz Pogromca Smoków? – pytam.

Kerk patrzy na mnie.

–Nic nie wiesz? Kiepski z ciebie detektyw, Thraxasie. Dziwię się, że żyjesz tak długo. Gliksiusz Pogromca Smoków jest czarnoksiężnikiem-kryminalistą, który pierwszy ukradł towar. Pracuje z Towarzystwem.

Kerk wyciąga rękę. Wciskam w nią monetę.

–Chóry anielskie – bełkocze. Ślini się, osuwa po ścianie i odpływa. Muszę znaleźć informatorów, którzy nie są szumowinami nie z tej ziemi. Ale przynajmniej dowiedziałem się, dlaczego moje nazwisko zostało powiązane z tkaniną. Attilan chciał dostać ją w swoje ręce, a ja miałem pecha i zostałem aresztowany za jego morderstwo. Nie dziwota, iż ludzie myślą, że go obrobiłem.

Patrzę z niesmakiem na nieprzytomnego Kerka. Wątpię, czy jestem jedyną osobą, której sprzedaje informacje. Jeśli rozgadał to wszystko, wiem już, skąd się wzięły przypuszczenia, że tkanina trafiła do mnie.

Jest gorąco. Chcę iść do domu i łyknąć trochę piwa. Jednakże mam na karku Cech Zabójców i Towarzystwo Przyjaciół, a dwóch Elfów czeka, żeby godziwie mi zapłacić. To wystarczający bodziec, żeby wziąć się do pracy. Muszę pogadać z kapitanem Rallee, ale znalezienie go zabiera mi trochę czasu. Do zeszłego roku siedział na wygodnej posadce w Pałacu Sprawiedliwości – co absolutnie mu odpowiadało – jednak popadł w niełaskę, kiedy tryby wewnętrznej polityki pałacowej obróciły się

przeciwno niemu. Wicekonsul Rycjusz posadził na jego miejscu swojego człowieka i dlatego kapitan znów szlifuje krawężniki. Dzięki takiemu zrządzeniu losu przynajmniej coś mnie łączy z dobrym kapitanem, bo wicekonsul Rycjusz, drugi pod względem ważności wyższy urzędnik państwowy w Turai, mnie też gorąco nie cierpi.

Wreszcie znajduję kapitana na przedmieściu Kushni. Gapi się markotnie na parę martwych ciał.

–Co się stało?

–To samo, co zwykle – burczy w odpowiedzi. – Bractwo i Towarzystwo walczą o terytoria handlu dwa. To się wymyka spod kontroli, Thraxasie. Połowa miasta bierze w tym udział.

Przyglądamy się, jak pracownicy komunalni ładują trupy na fury i odjeżdżają. Nie zwracam sobie głowy pytaniem kapitana, czy zamierza kogoś aresztować. Narkotykowi baronowie z Towarzystwa Przyjaciół oraz Bractwa cieszą się w tym mieście zbyt wielką protekcją, żeby byle strażnik mógł ich tknąć. Co do szeregowych członków organizacji, to jest ich tak wielu, że zamknięcie nawet parudziesięciu uczyniłoby niewielką różnicę.

–Zależy mi tylko na spokojnym doczekaniu do emerytury – wzdycha kapitan. – A niedługo zaczynają się wybory. Zrobi się jeszcze większy chaos.

Potrząsa głową i pyta mnie, czego chcę. Zaznajamiam go ze swoją sytuacją, nie wspominając o Elfach. Kiwa głową.

–Słyszeliśmy pogłoski, że Nioj było zainteresowane tkaniną. Elfy nie lubią z nimi handlować. Zirytowali się, kiedy fundamentalistyczni niojscy duchowni nazwali ich diablami pomiotami. Ale nie sądzę, by Niojańczycy byli zamieszani w tę kradzież. Uzyskaliśmy informacje na temat sprawcy.

–Tak, wiem, Gliksiusz Pogromca Smoków – mówię i dostrzegam rozczarowanie kapitana. – Już o nim słyszałem. Są jakieś poszlaki dotyczące miejsca ukrycia tkaniny?

–Żadnych – odpowiada kapitan. – Przypuszczam, że już dawno znikęła. Prawdopodobnie nigdy nie dotarła do Turai.

Pytam go, czy strażnicy są bliżej znalezienia zabójcy Attilana.

Kapitan Rallee parska drwiąco.

–Mamy już całkiem dobrego podejrzanego, Thraxasie.

–Daj spokój, wiesz, że go nie zabiłem.

–Może. Ale to wcale nie musi powstrzymać nas od wysunięcia oskarżenia, jeśli nie znajdzie się nikt lepszy. Rycjusz byłby zachwycony, widząc cię przykutego do wiośła na galerze. A kogoś będzie musiał oskarżyć. Niojski ambasador piekli się jak sto diabłów.

–Naprawdę nie masz żadnych prawdziwych poszlak?

–Wiele oczekujesz, Thraxasie. Prosisz o informacje, a sam nie mówisz, na czym polega twój udział. Dlaczego miałbym ci pomagać?

–Czy nie wyciągnąłem cię spod kół rydwanu Orków?

–To było dawno temu. Wyświadczyłem ci już dość przysług. Sam się w to wplątałeś, a teraz masz na karku Towarzystwo. Paskudnie. Bądź z nami szczerzy, Thraxasie, a może zdołam ci pomóc. Inaczej będziesz zdany wyłącznie na siebie.

Tylko tyle wyciągnąłem z kapitana, choć na osłodę powiedział mi, że w mieście pojawiła się jeszcze potężniejsza postać dwa, znana jako “chóry anielskie”. Nikt nie wie, skąd pochodzi.

–Kerk to lubi, jak się wydaje. Cóż, kapitanie, skoro nie chcesz mi pomóc, będę musiał znaleźć tkaninę na własną rękę. A nagroda jest pokaźna.

–Pamiętaj tylko, iż jeśli dowiedzimy, że byłeś zamieszany w rabunek, to nie wyjdiesz z więzienia, żeby tę nagrodę odebrać. Ale mimo wszystko, Thraxasie, chyba powinieneś znaleźć Czerwoną Tkaninę Elfów. Jeśli Towarzystwo Przyjaciół uważa, że ją masz, twoje życie jest niewiele warte. Co nie znaczy, że będzie coś warte, jeśli w ciągu dwóch dni nie doręczysz Yubaxasowi ponad pięciuset guranów.

Teraz ja parskam drwiąco.

–Bez wątplenia Straż Obywatelska zapewni mi stałą ochronę, jeśli organizacja przestępcza, taka jak Bractwo, zechce zrobić mi krzywdę?

–Racja, Thraxasie. Pewnie, będziemy cię pilnować. Najlepszym wyjściem dla ciebie byłoby opuszczenie miasta. Tylko że nie wolno ci tego zrobić, bo nadal jesteś podejrzanym w sprawie śmierci Attilana. Wygląda na to, że znalazłeś się w trudnym położeniu.

–Wielkie dzięki, kapitanie.

Upał staje się przytłaczający. Promienie słońca są uwięzione między sześciopiętrowymi kamienicami, które stoją wzdłuż ulic. W Turai obowiązuje zakaz

wznoszenia domów wyższych niż cztery piętra. Ze względów bezpieczeństwa. Przedsiębiorcy budowlani dają jednak w łapę prefektom, ci przekazują forszę urzędnikom pretora i względy bezpieczeństwa biorą w łeb. Śmierdziuszki, małe czarne ptaszki, które są utrapieniem różnych części miasta, siedzą oklapłe na dachach – brak im sił, by przetrząsać śmietniki w poszukiwaniu odpadków.

Ja pocę się jak świnia, dziwki wyglądają na zmęczone, a ulice cuchną. Paskudny dzień. Równie dobrze mogę złożyć wizytę zabójcom.

Kushni jest dzielnicą o najgorszej reputacji w mieście, które w znacznej mierze składa się z dzielnic nie cieszących się najlepszą sławą. Przy wąskich, brudnych uliczkach gnieźdzą się burdele, jaskinie gry, spelunki oferujące dwa i podejrzane tawerny. Po ulicach szwendają się sutenerzy, prostytutki, pijacy, ćpuny i złodzieje. Zabójcy mają tu swoją kwaterę główną chyba z przekory. Oczywiście, nie grozi im najmniejsze niebezpieczeństwo, że zostaną obrabowani czy napadnięci przez któregoś ze zdegenerowanych mieszkańców Kushni. Nikt nie byłby taki głupi.

–Jestem zaskoczona twoją wizytą – mówi siedząca naprzeciw mnie kobieta w czarnym kapturze. – Nasi informatorzy nie twierdzą, że posiadasz wybitną inteligencję, ale nie mówią też, że jesteś głupi.

Siedzę w pokoju o gołych ścianach i rozmawiam z Hanamą, Mistrzem Zabójcą. Nie mogę powiedzieć, że to mnie bawi. Hanama zajmuje trzecie miejsce od góry w piramidzie władzy u zabójców, przynajmniej tak mi się wydaje. Zabójcy nie rozgłaszają detali dotyczących ich rangi. Hanamą ma około trzydziestu lat, jak sędzę, choć wygląda młodziej. Trudno jednak cokolwiek orzec, ponieważ jej głowę i część twarzy przysłania czarny kaptur. Jest niska, jasnoskóra i mówi raczej łagodnie.

–Łatwo było złamać zakłęcie zamykające na twoich drzwiach – mruczy. – Wątpię, czy twoje zakłęcie ochronne opierałoby mi się zbyt długo.

Niewielką różnicę czyni to, iż wie, że nie noszę zakłęcia ochronnego. Przed wyjściem wsunąłem w podświadomość zakłęcie snu, a obecnie nie poradzę dwóm czarom naraz. Czy zdążyłbym wydusić zakłęcie usypiające, zanim ona rzuci się przez stół, żeby mnie zabić? Może tak, a może nie. Nie mam zamiaru tego sprawdzać.

–Nie sędzę, żebym potrzebował ochrony. Ostatecznie popełniasz błąd myśląc, że mam Czerwoną Tkaninę Elfów. Co cię wprowadziło w takie przekonanie?

Bez odpowiedzi.

–Po co zabójcom tkanina?

–Myślisz, że odpowiem na te pytania?

–Ja tylko wykonuję swoją robotę. I chronię własny zadek. Jeśli ty, Towarzystwo Przyjaciół i Bóg wie kto jeszcze wierzy, że mam tkaninę, moje życie będzie niewiele warte. Najlepszym, na co mogę liczyć, jest długi pobyt w królewskim lochu. Albo wiosłowanie na królewskiej galerze.

Patrzy na mnie w milczeniu. To mnie niepokoi.

–Może powinienem powiadomić Straż Obywatelską o wypadkach, jakie miały miejsce ubiegłej nocy – ciągnę. – Konsul i pretorzy tolerują zabójców, ponieważ uznają ich za użytecznych. Ale nie będą zadowoleni, gdy usłyszą, że próbujecie położyć ręce na zarezerwowanej dla króla Czerwonej Tkaninie Elfów.

–Nie okażemy wdzięczności nikomu, kto rozpowszechnia fałszywe pogłoski na nasz temat – mówi Hanamą z pogrózką w głosie.

–Nigdy nie zrobiłbym czegoś, co nie byłoby w smak zabójcom. Wiesz coś o kradzieży tkaniny?

–Zabójcy nie prowadzą działalności sprzecznej z prawem.

–Zabijacie ludzi.

–Nigdy nie wysunięto przeciwko nam żadnego oskarżenia – oznajmia chłodno Hanamą.

–Tak, pewnie, wiem. Bo zawsze wynajmują was ludzie dość bogaci i wystarczająco ważni, aby mijać się z prawem. Dlaczego szukacie tkaniny?

–Nie szukamy.

–Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, że wartość tkaniny jest oceniana na trzydzieści tysięcy guranów?

Hanamą patrzy na mnie z zimną obojętnością. Robię się coraz bardziej nerwowo.

–Ludzie, którzy mordują z zimną krwią, przyprawiają mnie o mdłości. Trzymaj się ode mnie z daleka, Hanama. Jeśli znów będziesz mi się naprzykrzać, spadnę na ciebie jak zły czar.

Hanama z wdziękiem podnosi się na nogi.

–Rozmowa skończona – mówi nieco cieplej.

Udało mi się ją zirytować. I dobrze. Wkurzając zabójczynię w jej własnej norze dowiodłem, że jestem tylko lekkomyślnym durniem.

–Ostatnie pytanie. Jak to robicie, że wszyscy macie taką jasną karnację? To makijaż, specjalny trening czy jeszcze coś innego?

Hanama pociąga sznur od dzwonka. Do pokoju wchodzi dwaj młodszy zabójcy i odprowadzają mnie do frontowych drzwi.

–Powinniście trochę rozjaśnić to miejsce – proponuję. – Wstawić parę roślinek w

doniczkach.

Nie komentują. Ćwiczą ponure miny, jak się domyślam. Na zewnątrz, na zakurzonej drodze, przenika mnie drżenie. Zabójcy. Przyprawiają mnie o ciarki.

Idąc przez ruchliwe peryferia Dwunastu Mórz, wybieram swój zwykły skrót Drogą Świętego Rominiusza, wąską uliczką. Za pierwszym rogiem stoję twarzą w twarz z trzema facetami. Błyskają obnażone miecze.

–I co? – pytam, dobywając szpady.

Robią parę kroków w moją stronę.

–Gdzie jest tkanina, Thraxasie? – pyta jeden.

–Nie mam pojęcia.

Ruszają, by mnie okrążyć. Wyszczekuję zakłęcie snu. Trzej napastnicy w jednej chwili walą się na ziemię. Satysfakcjonujące. Jestem wielce zadowolony. Za każdym razem, kiedy to robię, ogarnia mnie przyjemne ciepło. Sprawia, iż czuję, że moje życie nie jest jeszcze kompletnie zmarnowane.

Zakłęcie snu działa zwykle przez jakieś dziesięć minut, mam więc czas na małe śledztwo przed opuszczeniem sceny. Przetrzęsam opryszkom kieszenie, nie znajduję niczego interesującego, ale stwierdzam, że wszyscy są wytatuowani. Zaciśnięte ręce Towarzystwa Przyjaciół.

Ktoś odzywa się za moimi plecami. Obracam się na pięcie i uświadamiam sobie, że ociąganie się z odejściem było dużym błędem. Słowa pochodzą z jednego z tajemnych języków znanych tylko nam, magom, i układają się w pospolite zakłęcie kasujące. Oznacza to, że każde zakłęcie ostatnio użyte na tym terenie przestaje obowiązywać. Trzej rozeźleni członkowie Towarzystwa Przyjaciół ockną się zatem lada moment.

Patrzę na maga z odrazą. Po kiego licha zadawałem sobie trud uczenia się, przechowywania i używania zaklęcia snu, skoro ten gość pakuje się tu przypadkiem i nieważnia je w jednej chwili. Gapię się na niego z wściekłością i zauważam, że jak na maga jest diabelnie wielki. I też ma miecz, niewątpliwie ostry.

–Musisz być Gliksiuszem Pogromcą Smoków, o którym wszyscy gadają.

Nie odpowiada. Trzech Przyjaciół zaczyna gramolić się na nogi i ślamazarnie szukać swoich mieczy. Rzucam się do ucieczki i pędzę Drogą Świętego Rominiusza jakby sam diabeł deptał mi po piętach.

Jestem zaniepokojony. Nie tyle mieczami tych trzech facetów – pokusiłbym się o pojedynek na miecze z każdym z większości mieszkańców Turai – ale obecnością

maga. Wymamrotał swoje kontrzakęcie w taki sposób, iż czuję, że jest potężnym człowiekiem, zdolnym do noszenia jeszcze jednego czy dwóch zakęć. Jeśli wśród nich jest zakęcie ataku serca, jestem załatwiony. Nawet proste zakęcie snu dałoby im okazję, żeby mnie wykończyć. Zrobiłem głupio, zastawiając swoje zakęcie obronne. Marzę o piwie.

Jak na faceta o marnej kondycji, osiągam całkiem niezły czas, ale za następnym rogiem dostrzegam kolejnych trzech oprychów. Idą w moją stronę. Sześciu uzbrojonych ludzi i mag. Z pewnością czymś obraziłem Towarzystwo Przyjaciół.

Dostrzegam drewnianą pokrywę wjazdu kanalizacji. Mówią, że system ścieków w Turai jest jednym z największych cudów świata. Jeden kanał biegnie kawał drogi od pałacu do samego morza. Nie po raz pierwszy, odkąd walczę z przestępczością, mam okazję go podziwiać. Zdzieram pokrywę i skaczę do tunelu.

Smród jest nie do zniesienia. Szczury pierzchają we wszystkie strony, gdy brnę przez zalegającą przede mną ciemność. Gorzko żałuję, że wraz z zakęciem ochronnym oddałem w zastaw swoją świecącą laskę. To ponure miejsce, zwłaszcza po ciemku. Ponieważ jednak byłem tu wcześniej, wiem, że ten ściek prowadzi do portu i że tuż przed ujściem do morza jest następny wjazd, który umożliwi mi ucieczkę.

Nie wiem, czy nadal jestem ścigany. Zatrzymuję się więc i słucham.

–Spróbuj dalej – słyszę.

Gdzieś z tyłu pełga zielonkawe światełko. Laska maga. Znów się martwię ilością zakęć, jakie może nosić ten facet. Dzięki Gildii Magów czarnoksiężcy odszczepieńcy są w Turai rzadkością, ale kiedy się pojawiają, nie mam przed nimi prawdziwej ochrony. Brnę przez brudy, nie zwracając uwagi na smród i piszczące szczury. Macam ścianę w poszukiwaniu drabinki, która powie mi, że jestem pod wyjściem. Po Turai krążą pogłoski o aligatorach żyjących w miejskich ściekach. Raczej nie daję im wiary. Nawet one znalazłyby sobie lepsze miejsce – na zewnątrz jest cała piaszczysta zatoka. Choć może tam prześladują je delfiny. Najwyraźniej delfiny nie lubią aligatorów.

Przyspieszam odrobinę. To błąd, bo prawie natychmiast ktoś gdzieś z tyłu krzyczy, że mnie słyszy, a zaraz potem rozlega się chlupot. Klnę i pędzę dalej, ale chlupot jest coraz głośniejszy.

Za następnym zakrętem zatrzymuję się i odwracam ze szpadą i sztyletem w pogotowiu. Czeka mnie sromotny koniec, kiedy wykorkuję na atak serca w miejskich ściekach. Wszyscy pomyślą, że wpadłem tu zalany.

Kanał ma nieco ponad metr szerokości i jest wystarczająco wysoki, bym mógł się

wyprostować. Niewiele tu miejsca na walkę. Za rogiem pojawia się leciutki blask, a za nim pierwszy z prześladowców, wymacujący sobie drogę w ciemnościach, z wysuniętym do przodu sztyłem. Podrzynam mu gardło dobrze wymierzonym cięciem, jakiego nauczyłem się w wojsku, kiedy byłem pewnym siebie żołnierzem. Przepędzaliśmy wtedy Niojańczyków spod naszych murów, a Orków z naszego kraju. Facet nawet nie zdążył mnie zobaczyć.

Później nie idzie już tak łatwo. Następni dwaj posuwają się dużo wolniej. Światło jest silniejsze i widzą mnie wyraźniej. Szpadą i sztyłem odpieram ich atak i cofam się nieco, świadom, że to ryzykowne. Licho wie, o co mogę się potknąć. Walka przebiega w ponurym milczeniu. Dwaj ludzie z Towarzystwa zmuszają mnie do stałego ustępowania pola, nie dając szans na przypuszczenie ataku. Za nimi dostrzegam niewyraźne sylwetki ich towarzyszy, a dalej wielki mroczny zarys postaci maga, z laską rzucającą niesamowity zielonkawy blask na ściany.

Napastnicy nie są doświadczonymi wojownikami – to pospolici gangsterzy – ale w ograniczonej przestrzeni kanału trudno mi włączyć do gry moje wysokie umiejętności. Mazista breja sięga mi po kolana, uniemożliwiając manewrowanie, i przez cały czas martwię się, że mag rzuci w moim kierunku śmiertelne zaklęcie. Choć zależy, czym dysponuje. Niektórymi agresywnymi zaklęciami trudno jest kierować. W tym tunelu najprawdopodobniej trafiłby również w swoich ludzi.

Bandzior po mojej lewej stronie traci cierpliwość i skacze, ale jest nieostrożny i zostawia lukę w gardzie, w którą natychmiast wsuwam koniuszek miecza. Trafiam go w udo. Facet jęczy i zatacza się w tył. Następny ma zamiar zająć jego miejsce, gdy do akcji wkracza mag.

–Zostaw go mnie – rozkazuje, a jego laska rozjaśnia się.

Mam tylko ułamek sekundy. Wyrzucam rękę nad głowę i przygotowuję się do ciśnięcia sztyłem w twarz maga. Żywię nadzieję, że nie ma na sobie osobistego zaklęcia ochronnego. Nagle, zanim ja zdążyłem rzucić, a on wypowiedzieć zaklęcie, z wody wybucha potworny kształt. Opryszek stojący najbliżej mnie wrzeszczy i cofa się ze strachu, a zaklęcie urywa się w połowie. Ze szlamu, zwabiony światłem laski, wynurza się aligator i chwyta nogę maga w potworne szczęki.

Zastygam z przerażenia i wytrzeszczam oczy. Bydlę jest ogromne, a siła jego szczęk musi być straszliwa. Jestem pewien, że ich uchwyt oznacza wyrok śmierci, ale mag nie należy do ludzi, którzy łatwo rezygnują z życia. Ledwie sekundy dzielą go od wciągnięcia pod wodę, gdy wykrzykuje zaklęcie i aligator zaczyna kręcić się obłąkańczo i trząść ogromnym cielskiem w dzikiej agonii. Przez cały czas jednak zaciska zęby na nodze pechowca.

Odwracam się i zmykam. Musiał zastosować zaklęcie ataku serca albo coś

podobnego. Nie jestem pewien, jaki skutek wyrze ono na aligatorze. W końcu go zabije, to pewne, lecz może nie wcześniej, niż zwierzę zabije jego. Nie wiadomo, czy mag przeżyje to spotkanie. Być może czeka go okropny los, ale myśl, że to niebezpieczne zaklęcie przeznaczone było dla mnie, znacznie umniejsza moje współczucie.

Z sercem walącym ze strachu przed spotkaniem następnego potwornego aligatora znajduję drabinkę. Wciągam swoje pokaźne cielsko po trzeszczących szczelkach – nigdy w życiu nie wspinałem się tak szybko. Na górze szybu odrzucam pokrywę i wynurzam się na ulicę. Ludzie gapią się na mnie ze zdumieniem, gdy brudny, śmierdzący, przemoczony do suchej nitki, z obłędem w oczach, wyłaniam się na zalanej słońcem ulicy Dwunastu Mórz.

–Inspekcja sanitarna – mruczę do jakiegoś ciekawskiego osobnika, który mija mnie, gdy ruszam w swoją drogę.

–Jak jest tam na dole? – woła za mną.

–Świetnie! – odkrzykuję. – Kanały wytrzymają jeszcze parę lat.

Prezentuję widok godny pożałowania, gdy maszeruję Ulicą Kwintesencji. Smród z odrażającego, oblepionego szlamem ubrania jest wręcz nie do wytrzymania. Ogarnia mnie obsesyjne pragnienie wykąpania się i zmycia tego okropnego brudu z całego mego jestestwa. W krótkiej alejce jest łaźnia publiczna. Znam dobrze kierowniczkę, co nie znaczy, że wygląda na zadowoloną, widząc taką zjawę z piekła rodem.

–Muszę się wykąpać – rzucam przez ramię, ignorując jej protesty i upomnienia, żebym pod żadnym pozorem nie zbliżał się do basenu. Zażywający kąpieli pierzchają niczym szczury, kiedy się pojawiają. Spanikowane matki gwałtem wyciągają z basenu dzieci, gdy w pełnym przyodziewku wchodzę do wody. Ludzie złorzeczą pod moim adresem. Ktoś woła, żeby sprowadzić Straż Obywatelską, która miałaby obronić kąpiących się przed roznosicielem zarazy.

Mam ich wszystkich w nosie. Zanurzam się w ciepłą wodę, zdrapuję brud ze skóry i ubrania. Gdy gorąco zmywa ze mnie napięcie, czuję pewną wdzięczność do króla. Niewiele robi dla kłującej w oczy biedy Dwunastu Mórz, ale przynajmniej postawił nam przyzwoitą łaźnię. Jakiś czas później wychodzę czysty z basenu, z ubraniem w rękach. Owijam się w pasie moim złachmanionym płaszczem i oddalam się, nadal głuchy na padające zewsząd obelgi.

–Dzięki. Zapłacę ci jutro – informuję kierowniczkę. Grinxia głośno obiecuje, że wytoczy mi proces o zrujnowanie jej łaźni.

Makri wlepia we mnie oczy, gdy pojawiają się “Pod Mściwym Toporem”.

–Co ci się stało?

–Zły dzień w kanałach – odpowiadam, chwytając pałeczkę thazis w drodze do siebie. Nadal jestem w głębokim szoku i strachu, i zaczyna powoli skutkować użycie zaklęcia snu. Rzucanie czarów jest męczącym zajęciem. Samo uśpienie przedstawicieli Towarzystwa Przyjaciół w uliczce wyczerpało moje siły. Późniejsza ucieczka i epizod w ściekach kompletnie mnie wypompały. Muszę położyć się i przespać, lecz jestem zbyt podniecony, żeby się rozluźnić. Spalam thazis w trzech długich machnięciach. Makri przybywa z piwem i między łykami kończę resztkę klee. Silna gorzała pali mi gardło. Prawdopodobnie istnieją zdrowsze metody uspokajania się niż thazis, piwo i klee razem wzięte, ale żadna nie działa tak szybko. Jeszcze przed powrotem z sąsiedniego pokoju, gdzie przywdziewam suche ubranie, zaczynam wracać do swojego normalnego, jowialnego stylu bycia.

–Kto to był? – pyta Makri.

–Towarzystwo Przyjaciół. Z magiem.

–Nadal myślę, że masz czarodziejską tkaninę?

Kiwam głową. Ktoś puka do drzwi biura. Odpowiadam ze szpadą w jednej ręce, z nożem w drugiej. W progu staje Karlox, inkasent Bractwa.

–Do licha, czego tu szukasz?

–Słyszeliśmy, że znalazłeś tkaninę. To ogromny krok w kierunku spłaty długów... – zaczyna.

–Nie mam tej przeklętej szmaty! – ryczę, zatrzasnąjąc mu drzwi przed nosem.

–To niedorzeczne, Makri. Dwa Elfy płacami za znalezienie towaru, podczas gdy wszyscy inni myślą, że już go mam. To przyprawia o mętlik w głowie. Kiedy paliłem thazis, przez chwilę byłbym gotów przysiąc, że sam zaczynam w to wierzyć. Zabiję tego przeklętego Kerka, to wszystko jego wina. Rozpuścił plotkę, że ukradłem tkaninę Attilanowi.

Zauważam, że Makri nie słucha. Wzmianka o Elfach pogarsza jej samopoczucie. Makri doświadcza mnóstwa krzywd w tym mieście, między innymi klienci na dole zawsze komentują jej orkijską krew. Nie cierpi tego, ale zwykle nie czuje się długo nieszczęśliwa. Często zapomina prawie natychmiast po przyłapaniu klientowi. Sprawę pogarsza fakt, że powszechna niechęć do jej osoby obejmuje też Elfy. Przypuszczam, że Makri, która jest w jednej trzeciej Elfką, mówi elfim językiem i nienawidzi Orków równie mocno jak Elfy, uznaje odrzucanie przez nich za szczególnie dotkliwe. Nie staram się jej rozweselić. Wizyta Karloxa mnie samego wprowadziła w paskudny humor.

Zapalamy thazis. Nasz nastrój poprawia się nieco.

–Myślę, że tkanina nadal jest w mieście.

Makri zaznacza, iż ledwie wczoraj mówiłem, że to niemożliwe.

–Zmieniłem zdanie. Nie wiem gdzie, ale tkanina nadal jest w Turai. Czuję to.

–Wielce wnikliwe stwierdzenie, Thraxasie. Sama doszłam do podobnego wniosku, kiedy wszyscy ci ludzie zaczęli na ciebie polować.

Opowiadam Makri o aligatorze.

–Żartujesz. Przecież w ściekach nie ma prawdziwych aligatorów.

Zapewniam ją, że są. Fala zmęczenia przetacza się przez moje ciało.

–Chcę odpocząć. Towarzystwo Przyjaciół prawdopodobnie nie zaryzykuje

następnego otwartego ataku na moją osobę, tutaj, na terytorium Bractwa, ale gdyby dopytywał o mnie mag z kulawą nogą, to powiedz, że mnie nie ma.

Jest ciemno, kiedy się budzę. Wpada mi do głowy parę myśli o kanałach i aligatorach, ale z miejsca je przeganiam. Wzywają ważniejsze sprawy, a mianowicie: jestem głodny. Naprawdę, naprawdę głodny. Rzucam się na dół, żeby przeprowadzić śledztwo w kuchni Tanrose. Jest późny wieczór i popijawa “Pod Mściwym Toporem” rozwija się na całego. Gurd raczy paru wolnych od służby strażników opowieściami o czasach, kiedy wraz z grupą najemników wpadł w zasadzkę na południe od Mattesh i musiał przedzierać się z powrotem do Turai przez setki mil nieznanego terenu i całe armie zaciekłych wrogów. To rzeczywiście prawdziwa historia, choć, jak zauważyłem, ma tendencje do nabierania kolorów.

Makri, w kolczugowatym bikini mniej więcej na swoim miejscu, zbiera ze stołu kufle i coś, co wygląda na bajecznie szczodry napiwek od grupy żeglarzy, którzy właśnie wrócili z Wysp Południowych i dzielą się wrażeniami na temat cudów widzianych u Elfów. Steruję prosto na koniec baru, gdzie siedzi Tanrose ze swoimi cudami sztuki kulinarnej. Łakomym okiem rzucam na jedzenie.

–Bry wieczór, Tanrose. Wezmę cały pasztet z dziczyzny, duże porcje jarzyn i trzy kawałki twojego jabłecznika z kremem. Nie, lepiej cztery. Wiesz co, daj mi cały placek. I miskę wołowego gulaszu. Wetknij z boku parę słodkich ziemniaków, dobrze? Co jest w tych pasztecikach? Wieprzowina z jabłuszkiem? Daj mi dwa i wezmę jeszcze sześć naleśników do wytarcia sosu. Nie, niech będzie osiem i cztery paszteciki. Masz jakieś ciasto? Z granatami? To dobrze. Kawalek na zakończenie. Duży kawałek. Nie, większy. W porządku, wezmę całe.

–Miałeś ciężki dzień? – szczerzy zęby Tanrose, piętrząc potrawy na tacy.

–Okropny. Byłem tak zalatany, że nie starczyło mi czasu, by coś przetrącić. Daj lepiej dwa pasztety z dziczyzny. Jeśli ich nie zjem, Gurd je wykończy.

Z czubatą tacą w ręku chwytam z baru wielgachny kufel zwany “radością mistrza cechu” i wycofuję się do kącika. Mam potężny apetyt. Jego zaspokojenie sprawia mi niewysłowioną rozkosz.

–Jeden pasztet z dziczyzny starczyłby dla czteroosobowej rodziny – komentuje Makri, mijająca mnie z tacą pełną kufli.

–Gdybym zasiadł do niego jako pierwszy, to z pewnością nie – odpowiadam, przechodząc do pasztecików z wieprzowiną i jabłuszkiem, jednej ze specjalności Tanrose. Do tego czasu gulasz wołowy wystudził się akuratnie, bym mógł wymieść miskę naleśnikami. Spłukuję go resztą piwa. Wołam do Makri, żeby przyniosła mi następne w drugiej wielkiej “radości mistrza cechu” do towarzystwa jabłecznikowi.

Jakiś czas później, gdy placek z granatami został wymieciony co do okruszka, a trzecia "radość mistrza cechu" rozpiera się kusząco przede mną na stole, dochodzę do wniosku, że życie wcale nie jest takie złe. Zgoda, można łązić po kanałach, zmykając przed Towarzystwem Przyjaciół, ale zawsze na pociechę pozostaje kuchnia Tanrose i piwo Gurda. To sprawia, że człowiek cieszy się z życia.

Makri pojawia się koło mnie w czasie przerwy. Rzuca parę zawołanych, lecz kąśliwych uwag na temat mojego apetytu. Zbywam je dobrotliwie.

–Ty musisz dbać o linię, Makri. Musisz być zgrabna pod swoim bikini, żeby zarobić napiwki od żeglarzy. Mnie trzeba czegoś bardziej konkretnego. Nie rozwikła się zagadek kryminalnych i nie stawi się czoła niebezpiecznym przestępcom mając w sobie ledwie parę kęsów. Kiedy ludzie widzą, że nadchodzę, wiedzą, że mają swój problem z głowy.

Makri szczyrzy zęby. Jak zwykle, ma na ramieniu na długim rzemyku sakiewkę do chowania napiwków. Zauważam, że dzisiaj kabza jest nowa, nieco większa od starej.

–Przybywa napiwków?

Makri kręci głową.

–Takie same jak zawsze. Przechowuję w niej pieniądze, które zbieram. Nie chcę zostawiać ich w pokoju.

–Jakie pieniądze?

–Datki na fundusz.

–Słucham?

–No wiesz, fundusz na zakup królewskiego przywileju dla Ligi Kobiet Wyzwolonych.

Po raz pierwszy słyszę o takim funduszu, choć jest mi wiadomo, że Liga wystąpiła o przyznanie królewskiego przywileju. Bez tego nie może zostać zatwierdzona jako akredytowana turajska gildia, zając miejsca w Radzie jako członek Szacownej Federacji Gildii i wysłać swojego obserwatora do Senatu.

–Nie wiedziałem, Makri, że jesteś w to zaangażowana. Ile zebrałaś?

Prycha.

–Tylko parę guranów. Kiedy chodzi o Ligę Kobiet Wyzwolonych, tutejsi są większymi dusigroszami od pontyfika. Gurd nie pozwala mi zbierać w tawernie, ale obeszałam okoliczne sklepy. Nie powiedziałabym, żeby przeciętny sklepikarz w

Dwunastu Morzach palił się do złożenia datku. Mam jednak parę darowizn od miejscowych kobiet. Grinzia z publicznych łaźni dała mi pięć guranów.

–Jeśli pozwie mnie za zniszczenie jej interesu, może będzie ją stać na więcej. Ile trzeba pieniędzy na kupno przywileju?

–Dwadzieścia tysięcy.

–Ile ma Stowarzyszenie?

Makri naprawdę nie wie. Ona tylko zbiera pieniądze, poza tym jest luźno związana z organizacją. Myśli, że jeszcze sporo brakuje.

–Zapłata za przywilej jest tylko jedną częścią tego, co potrzebujemy. Jeszcze przed złożeniem podania należy uiścić opłatę w Czcigodnej Federacji Gildii, aby raczyli przejrzeć papiery. Ludzie, którym trzeba płacić, ustawiają się w kolejce – pretor do spraw gildii, wicekonsul, urzędnicy pałacowi i licho wie, kto jeszcze. Bez przerwy musimy smarować czyjeś łapska. Sekretarz konsula żąda dziesięciu tysięcy, bo inaczej podanie nie trafi tam, ladzie trzeba.

–Czeka was mnóstwo wydatków.

–A tak. I będziemy potrzebować dwakroć tyle na łapówki z powodu opozycji ze strony Prawdziwego Kościoła i wszystkich innych ludzi, którzy nie chcą dopuścić do legalizacji Ligi Kobiet Wyzwolonych. Słyszałam już o sumie rzędu pięćdziesięciu tysięcy.

W Turai nie ma zamożnych kobiet. Nawet te, które prowadzą własny interes, ledwo się utrzymują, bo gildie nie chcą ich przyjmować. Cóż, skoro nie chcą dopuścić nas do cechu piekarzy, karczmarzy, woźniców i innych, będą musieli stawić nam czoło w Radzie Czcigodnej Federacji, gdy Liga Kobiet Wyzwolonych otrzyma swój przywilej.

–Komu oddajesz pieniądze?

–Minarbde Piekarce. Jest lokalnym organizatorem. Dasz coś na ten cel?

–A co zrobi dla mnie Liga Kobiet Wyzwolonych?

–Przestaną cię tym zanudzać.

–W porządku, Makri, może później.

–Dlaczego nie teraz?

Rozglądam się niespokojnie.

–Tutaj jest pełno barbarzyńców i dokerów. Jeśli zobaczą, że dają pieniądze na Ligę Kobiet Wyzwolonych, zabiją mnie śmiechem.

Makri parska. Później dam jej trochę forsy. Ale nie teraz, nie publicznie. Muszę dbać o swój wizerunek.

–Powinnaś poprosić księżniczkę, Makri. Musi mieć kupę szmalu.

–Nie ma.

–Skąd wiesz?

–Bo wczoraj w nocy na mityngu słyszałam, że Lisutaris, Kochanka Niebios, już prosiła Du-Akai o wsparcie.

–Lisutaris, Kochanka Niebios? Ma niezłą pozycję w Gildii Magów. Pracuje też dla pałacu. Współpracuje z waszą grupą?

Makri kiwa głową.

–Angażują się kobiety wszelkich profesji i stanów. Ale księżniczka nie może nam pomóc. Król kontroluje jej wydatki. I nie żyją w zbyt wielkiej zgodzie.

–Nie jestem zaskoczony, jeśli okłamuje króla tak samo jak mnie. Nadal chciałbym wiedzieć, czemu wysłała mnie po to zaklęcie. Dlaczego miałyby usypiać smoka? Przecież niczego nie strzeże. Nie ma powodu zawracać sobie nim głowy. Chyba że...

Urywam i gapię się w przestrzeń.

–Nagle detektywistyczne olśnienie? – pyta Makri z odrobiną sarkazmu.

–To prawda. Może chce uspić smoka, żeby łatwiej było go zabić.

–Po co księżniczka Du-Akai miałyby to robić? Smok jest prezentem dla jej ojca. Aż tak źle z sobą nie żyją.

–Zastanawiałem się, Makri, jak to wszystko do siebie pasuje. Z doświadczenia wiem, że kiedy różne kłopoty spadają mi na głowę, to zwykle bywają powiązane w taki czy inny sposób. Nikt nie wie, jak Czerwona Tkanina Elfów została dostarczona do miasta. Nikt nie wie, gdzie jest teraz. A jeśli prawdziwe są pogłoski, że chcą ją kupić Orkowie, to nikt nie wie, jak zostanie im dostarczona. Cóż, a jeśli włożono ją w coś, o czym wiadomo, że na pewno do nich wróci?

–Masz na myśli smoka?

–Czemu nie?

–Do licha, jak upchnąć w smoku belę Czerwonej Tkaniny Elfów?

–Nie wiem. Ale ten mag, który ścigał mnie w kanałach, jest potężny. Mógł zrobić to po przejściu dostawy.

Makri uśmiecha się drwiąco.

–Thraxasie, to najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek wpadł ci do głowy.

–Doprawdy? Cóż, jednak zawierzę intuicji. A moja intuicja mówi mi, że Czerwona Tkanina Elfów dokładnie w tej chwili jest już we wnętrzu nowego smoka w królewskim zoo. To doskonale miejsce – w rzeczywistości najlepsze, bo smoki są dobrze znane z neutralizowania czarów. Jeśli tkanina faktycznie jest w smoku, nasi pałacowi magowie nie byli w stanie jej wykryć, mimo elfich znaków. Chytry pomysł, Makri, zaiste chytry. Ukryć tkaninę w smoku, zaczekać, aż bydlę sparzy się z królewskim pupilem, potem odesłać je do Gzak z tkaniną w brzuchu.

Makri zastanawia się. Dwaj barbarzyńcy dopominają się o piwo, ale ona macha ręką na znak, żeby byli cicho.

–Co miał z tym wspólnego Attilan?

–Myślę, że jakoś się o wszystkim dowiedział. Postanowił się wtrącić i ukraść tkaninę dla własnego kraju. Król Lamachos z Nioj byłby ogromnie zadowolony, gdyby to się powiodło. Wyjaśniałoby to, po co Attilan potrzebował zaklęcia układającego smoka do snu. Niojski dyplomata może uzyskać wstęp do zoo, kiedy jest zamknięte dla zwiedzających.

–A skąd wziął zaklęcie?

Muszę przyznać, że nie wiem. Ale jestem całkiem pewien, że zginął, zanim go użył. Co znaczy, że tkanina nadal powinna być w smoku, pod samym nosem pałacowych magów. Jakby czekała, żebym ją odkrył.

Zwracam uwagę, że bikini Makri jest bardziej kuse niż zwykle. Na taki widok nawet najbardziej doświadczonemu żeglarzowi opadnie szczeka.

–Makri, ile masz lat?

–Dwadzieścia jeden.

–W takim razie, o ile oryginalna mieszanka rasowa nie powoduje jakichś bardzo dziwnych efektów, twoje piersi powinny już przestać rosnać.

Makri zerka na piersi.

–Przestały. Wyjęłam parę ogniwek z bikini, żeby zmniejszyć staniczek. Chcę zarobić więcej z napiwków. Samanatus Filozof zaczyna nowy cykl wykładów i muszę uiścić czesne.

Jeśli Makri kiedykolwiek dostanie się na Uniwersytet Imperialny, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że na to nie zasłużyła.

Następnego dnia rano Derlex, młody pontyfik, puka do moich drzwi i wpycha mi pod nos puszkę na datki. Kwestuje na remont wieży lokalnej świątyni, zniszczonej ostatnio przez pożar. Przetrzęsam pokój w poszukiwaniu paru monet. Zawsze z przyjemnością spełniam swój obywatelski obowiązek. Poza tym będę miał go z głowy. Fakt, że ostatnio płacze się wokół mnie, wypytuje o zdrowie i zachęca do chodzenia do kościoła, wprawia mnie w zdenerwowanie. Przecież muszą być grzesznicy gorsi ode mnie, nimi niech się zajmie. Pojawia się Makri i Derlex znika z gniewnym grymasem.

–Do diabła z nim – prycha Makri. Przypuszczam, że on myśli o niej dokładnie to samo.

Makri czyta dzisiejszy numer “Słynnej i wiarygodnej kroniki wszystkich wydarzeń światowych”.

–Coś ciekawego?

–Kolejny artykuł o Sarin Bezlitosnej. Zabiła bogatego kupca w Mattesh i uciekła z jego pieniędzmi. Pobiła trzech strażników, którzy ruszyli w pościg.

Uśmiecham się lekceważąco.

–Akurat. Te szmatławce wszystko wyolbrzymiają.

–Dlaczego tak twierdzisz?

Wyjaśniam Makri, że miałem już do czynienia z Sarin Bezlitosną.

–Jakieś sześć lat temu przepędziłem ją z miasta. Próbowwała zorganizować gang wymuszający haracze za ochronę. Wynajął mnie cech przewoźników, żebym się jej pozbył. Niezły dowcip, słowo daję. Ona nie jest zabójcą, tylko drobnym opryszkiem z wielkimi ambicjami. Gazety lubią rozdmuchiwać takie sprawy. Dzięki temu mają o czym pisać. Jeśli zawinie do Turai, szybko się z nią uporam. Mam nadzieję, że się pojawi. Przydadzą mi się pieniądze z nagrody.

Makri szczerzy zęby.

–Kto to jest Miriusz Jeżdżący na Orłach? – pyta, znów zerkając w gazetę.

–Mag. Pracuje dla Rycjusza w Ochronie Pałacowej. Jeden z najpotężniejszych magów w mieście, choć nie stroni od dwa, jak słyszałem. Co o nim piszą?

–Został zamordowany.

Podnoszę brwi. To ci dopiero nowina. Miriusz Jeżdżący na Orłach zamordowany? Nigdy bym nie podejrzewał, że jest kandydatem na ofiarę morderstwa. Doniesienie brzmi lakonicznie – Ochrona Pałacowa utajniła szczegóły – ale zawiera jeden godny uwagi fakt. Miriusz został znaleziony przez służącego dziś rano, z bełtem z kuszy w plecach. Dziwne. Kusza jest niezwykłą bronią dla mordercy. Nieporęczny kłamoto, trudno go ukryć. A musiał być ukryty, bo noszenie kusz w mieście jest zabronione. To zbyt potężna broń, denerwuje Straż Obywatelską. Zasadniczo używa się jej tylko w czasie wojny.

Wicekonsul Rycjusz nie będzie zadowolony z takiego a nie innego sposobu zadania komuś śmierci. Myśl, że wicekonsul nie będzie rad, wprawia mnie w zadowolenie, choć skoro chodzi o śmierć człowieka, nie popadam w euforię. Ale dziwne, że mag miary Miriusza zginął od normalnej broni, nieważne, jak potężnej.

–Domyślam się, że chodziło o dwa. Prawdopodobnie posprzeczał się ze swoim dostawcą. Ci pałacowi magowie to degeneraci.

–Wszyscy w Turai to degeneraci – opiniuje Makri. – Spotykałam ludzi z lepszymi manierami na orkowych arenach.

Makri wychodzi na poranną zmianę, ja zaś kieruję się do Jevoxa z posterunku Straży, żeby zobaczyć, czy nie ma dla mnie jakichś informacji. Wstępuję do piekarni Minarixy i przychodzę na posterunek wycierając okruszki z twarzy. Jest już zbyt upalnie, żeby czuć się dobrze, i pocę się obficie, gdy wchodzę do środka. Miecz uwiera mnie w biodro. Ociera mi skórę. Nigdy nie zwracałem uwagi na takie drobiazgi, kiedy byłem młodym żołnierzem.

Jevox pełni dyżur za biurkiem. Wyciera czoło.

–Goręcej niż w orkowym piekle.

–Cholerna racja.

Pytam go, czy czegoś się dowiedział.

–Ten mag, który cię ścigał, Gliksiusz Pogromca Smoków, cieszył się wielkim mirem na zachodzie. Okropnie zły, ale bardzo potężny. Został wypędzony z Samsariny parę lat temu. Był zamieszany w próbę zamachu stanu.

Samsarina jest wielkim, zamożnym krajem leżącym kawałek na zachód od nas, jednym z najsilniejszych w Krainach Ludzi. Gliksiusz Pogromca Smoków. Imię, które pierwszy raz usłyszałem z ust Kerka. Niewiele mi mówi. Magowie zawsze przybierają ekstrawaganckie przydomki, kiedy kończą szkolenie i przywdziewają tęczowy płaszcz. Może dałby radę zabić smoka, a może nie. Ale pochodził z arystokratycznego rodu. Każdy mężczyzna z imieniem kończącym się na “iusz”

należy do arystokratycznej rodziny. To jedna z naszych dystynkcji klasowych. Na podobnej zasadzie każdy z "ox" lub "ax" w imieniu jest nisko urodzony. Jak Jevox Strażnik Obywatelski. Albo Thraxas Detektyw.

–Nasz prefekt otrzymał raport, że Gliksiusz był widziany w Mattesh. Wyjechał nagle po tym, jak królewski skarbiec w tajemniczych okolicznościach został ogołocony ze złota.

Zastanawiam się, czy przeżył atak aligatora.

–Kto ma tkaninę? – pyta mnie Jevox.

Mówię mu, że nie wiem. Nie wspominam o swojej teorii, że tkanina jest wewnątrz smoka.

–Wiesz, że jesteś sławny, Thraxasie?

–Co?

–Prefekt Tholiusz mówi, że wspomniano o tobie podczas debaty w senacie. Senator Lodiusz oskarżył władze o brak kompetencji i podał ciebie jako pierwszy przykład. Chciał wiedzieć, dlaczego nie zostałeś aresztowany i oskarżony o śmierć Attilana. Twierdził, że kogoś osłaniasz. To prawda?

Potrząsam głową. Nie jestem dość ważny, by kogoś kryć.

–W takim razie sądzę, że konsul może uzyskać nakaz aresztowania cię tylko po to, aby zamknąć gębę Lodiuszowi. Nie chce, żeby Lodiusz zarzucał królowi i jego ministrom niekompetencję w przeddzień wyborów. Może nadeszła pora, żebyś znalazł sobie prawnika.

Jestem spocony i spragniony, zachodzę więc na wielkie targowisko, które oddziela Dwanaście Mórz od Pashish. Kupuję arbuza. Kiedy pochłonąłem już większą część owocu, zauważam Palaxa i Kaby, którzy często rzępolą tutaj za dnia. Siedzą na spłachetku ziemi niczyjej blisko straganu z owocami i z kimś gawędzą. Gdy podchodzę bliżej, żeby się przywitać, ich towarzysz podnosi się do odejścia. Uśmiecham się, bo jest ogromniastym facetem, przy którym młodzi grajkowie wyglądają jak karzelki. Ja też czuję się przy nim mniejszy, niż jestem w rzeczywistości. Mierzy ponad dwa metry, ma także proporcjonalnie wielkie bary i bicepsy. Takemu lepiej nie wchodzić w drogę, choć ze sposobu, w jaki Palax i Kaby wymachują rękami i szczerzą zęby, wnioskuję, że musi być przyjaźnie nastawiony.

–Kto to taki? – pytam, zaciągając się dymem z zaproponowanej mi przez Kaby laseczki thazis. Formalnie rzecz biorąc, palenie tego umiarkowanego narkotyku nadal jest nielegalne, ale od czasu, gdy dwa załało miasto, władze nie przywiązują do niego

większej wagi.

–Siłacz Brex. Pracowaliśmy z nim w cyrku, w Juvalu. My graliśmy, podczas gdy on rozbijał kamienie gołymi rękami. Czasami przychodzi do nas pochałturzyć. Podnosi nas w powietrze, każde na jednej dłoni, a my gramy. W ten sposób zarobiliśmy kupę forsy.

–Co robi w Turai? Czyżby przyjechał cyrk?

Palax kręci głową. Siłacz Brex najwyraźniej rzucił cyrk. Miał dość takiego życia i przybył do Turai w poszukiwaniu stosowniejszego zajęcia.

–Już ma robotę. Szkoda, nie będzie z nami występować.

–Co robi? – pytam, oddając thazis Kaby.

–Pracuje w pałacu, dla księżniczki Du-Akai.

Mrugam.

–Księżniczki Du-Akai? Po co jej siłacz?

–Nie wiem. Ale Brexowi podoba się posada. Dobrze zarabia i już nie musi rozbijać kamieni gołymi rękami.

Zostawiam ich, niech oni też sobie zarobią. Tutaj ludzie nie mają dużo pieniędzy, a jeśli Palax i Kaby spróbują grać w lepszych dzielnicach miasta, strażnicy ich przepędzą.

Po co księżniczce siłacz? – rozmyślam, wdrapując się po zewnętrznych schodach do swojego biura. Jako obstawa? Niemożliwe – Ochrona Pałacowa zapewnia jej bezpieczeństwo. Może tylko do dorywczej pracy. Może potrzebny jej ktoś dość silny, żeby otworzyć brzuch smoka.

Docieram do szczytu schodów. Otwieram drzwi i gapię się głupawo na swój pokój. Wygląda tak, jakby szalała w nim trąba powietrzna. Papiery, potłuczone szkło i rozbite meble tworzą skłębiony stos na podłodze. Resztki mojej bezcennej kuriyi przesącza się między deskami. Wydaję głuchy jęk i ratuję, co mogę. Wydaję coś więcej niż jęk, gdy widzę jedyną butelkę klee rozbitą pod krzesłem. A tak ją oszczędzałem.

–Niech szlag trafi te świnie z Bractwa! – wyję, obnażając szpadę.

Hałas przyciąga Makri. Wpada na mnie, gdy wybiegam ze szpadą w dłoni.

–Co się dzieje? – pyta.

–Te parszywe wieprze próbują mnie nastraszyć! – ryczę. – Nie dam się styranizować żadnemu zakichanemu Bractwu!

Bardziej rozjuszony od wściekłego smoka pędzę jak burza po schodach. Makri pewnie zdaje sobie sprawę, że atak w pojedynkę na kwaterę Bractwa jest naprawdę ambitnym przedsięwzięciem, bo chwyta swój miecz i depcze mi po piętach.

Furia wręcz mnie zaślepia. Dług czy nie, nikt nie ma prawa wchodzić do mojego pokoju i rozbijać mi ostatniej flaszki klee. Nie muszę pędzić daleko, żeby dać upust swojej wściekłości. Zza rogu wyłania się Karlox i jego banda. Jest ich ośmiu. Robią zaskoczone miny, gdy rzucam się w ich stronę i zaczynam miotać przekleństwa.

–Zrób to jeszcze raz, Karlox, a wypruję ci flaki! Jak myślisz, niby z kim masz do czynienia?

Karlox chrząka ze złością. Jest milkiwym facetem, a poza tym niewiele ma do powiedzenia. Wyciąga miecz, członkowie Bractwa ustawiają się wachlarzem. Makri staje u mego boku. Nadjeżdża landus. Toczy się po ulicy, wzbijając tumany kurzu i roztrącając żebraków. Zza zasłanki w oknie wyłania się głowa Yubaxasa, lokalnego bossa Bractwa. Boss chce wiedzieć, co jest grane. Informuję go, że mam zamiar wymierzyć jego oprychom karę za zdemolowanie mojego pokoju.

Yubaxas naprawdę się uśmiecha, a to nieczęsty widok. Z uśmiechem mu nie do twarzy.

–Nie zdemolowaliśmy twojego pokoju, Thraxasie. Szkoda zachodu. Wiesz, o co chodzi. Masz trzy dni na zapłatę, a potem zdemolujemy ciebie.

Kiwa na Karloxa i jego kamratów.

–Zabierać się do Kushni, piorunem. Jesteśmy tam potrzebni.

Landus odjeżdża. Oprychy z Bractwa truchtem suną za nim. Zostajemy sami na ulicy.

–Kto zatem zrobił bałagan w twoim mieszkaniu? – pyta Makri.

Wzruszam ramionami. Być może Yuxabas łął, ale nie rozumiem, dlaczego miałby to robić. Nie sądzę, żeby przestraszył się na mój widok.

Makri kopie kamień. Jest nieutulona w żalu, gdy wracamy do tawerny “Pod Mściwym Toporem”.

–Miałam nadzieję na bijatykę.

–Cóż, jeśli za trzy dni nie pojawię się z pieniędzmi, będzie mnóstwo okazji.

Makri rozchmurza się. Czuję pewną ulgę, iż Makri, wbrew swej osobliwej predylekcji do studiowania filozofii, rwie się do walki i jest na tyle dobrym przyjacielem, że wspiera mnie w sytuacjach kryzysowych, nawet gdy jej nie dotyczą.

Przystępuję do męczącego zadania: muszę przywrócić pokoje do stanu używalności. Nie mam zielonego pojęcia, kto je zdemolował ani dlaczego. Jestem w paskudnym nastroju.

Gurd wtacza się do baru, trzymając w ramionach resztki pudła z kuflami.

–Zamieszki – oznajmia i zaczyna barykadować drzwi.

Zamieszki. Widzę, że wybory są w toku. To zawsze trudny czas dla Turai. Sukces Popularzy, czyli partii antymonarchistycznej, sprawia, że atmosfera staje się tym bardziej napięta. Kiedy w zeszłym roku Rycjusz zdobył stanowisko wicekonsula, było to sensacyjne zwycięstwo Popularzy pod wodzą senatora Lodiusza. Tradycjoniści, popierający rodzinę królewską, konsul Kaliusz i większa część senatu uważali to za koniec cywilizacji. Cywilizacja istnieje nadal, ale jeśli Rycjusz zachowa urząd w tym roku, nie przetrwa zbyt długo. Rodzina królewska nie może już lekceważyć opozycji, ale też nie jest na tyle słaba, by dać się łatwo obalić. Pretor Cyceriusz popierają przeciwko Rycjuszowi, próbując odzyskać trochę straconego gruntu na rzecz Tradycjonalistów. Jest uczciwym, choć nieszczerólnie popularnym człowiekiem. Mimo wszystko ma szansę na zwycięstwo. Od kiedy został wyniesiony z urzędu senatorskiego na pretorski, wielu ludzi myśli, że wykonał dobrą robotę. Poza tym ma reputację człowieka nie biorącego łapówek, co w tym mieście jest niemal niesłychane. Ludzie mogą poprzeć go w jego staraniach o wyższe stanowisko wicekonsula.

Dumam nad różnymi sprawami, podczas gdy na ulicach szaleją rozruchy. Kto zabił Attilana? Próbuje znaleźć jakiś trop, postanawiam zacząć od drugiej strony. Skąd, na przykład, orkijski dyplomata wytrzasnął orkijski czar na układanie smoka do snu? To nie jest coś, co można kupić w miejscowej aptece. Czy Attilan mógł otrzymać go od jednego z orkijskich ambasadorów w pałacu? Możliwe. Ale jeśli orkijscy ambasadorowie choć trochę przypominają naszych dyplomatów, to nie są magami. Turajscy dyplomaci zawsze wywodzą się z najstarszych, najbardziej szanowanych rodów i nie mają skłonności do uprawiania magii, uważają bowiem, że paranie się czarami jest poniżej ich godności. Orkowie też mają swój podział na stany i snobizm klasowy. Poza tym nie dopuściliby do tego, żeby takie istotne zaklęcie dostało się w obce ręce. Wątpię, czy orkijscy dyplomaci są zdolni do takiej zdrady.

Kto inny w Turai mógłby mieć takie zaklęcie? Dozorca smoków. Obecnie funkcję tę sprawuje Ork, który mógł znać zaklęcie i okazać się podatnym na przekupstwo. Wielu Orków jest chciwych na złoto, to kolejna cecha wspólna im i ludziom. Czasami jestem gotów przysiąc, że gdyby nie byli tacy szpetni, różnica między dwiema rasami byłaby niezauważalna. W lustrze za barem dostrzegam odbicie własnej twarzy. Ze mnie też nie jest ideał urody.

Chciałbym zadać parę pytań Pazazowi. Mój orkijski trochę zardzewiał, werbuje więc Makri, ale w tej chwili jest raczej nieskora do pomocy. Jej paskudny humor wcale nie

uległ poprawie, gdy w drodze na popołudniowy wykład z etyki porwała ją demonstrująca gawiedź. Biedaczka musiała torować sobie drogę kopniakami. Przeraza ją perspektywa odwiedzin u Orka. Jej nienawiść do Orków jest tak wielka, iż zaznacza, że może nie powstrzymać się od ataku na dozorcę smoka. Wymuszam na niej obietnicę, że nie zabije go bez prowokacji, ale zdecydowanie odmawia, gdy proponuję jej pozostawienie miecza w domu.

–Gadać z Orkiem bez miecza na podporządkowaniu? Zwariowałeś?

–Jest pod ochroną dyplomatyczną, Makri.

–Cóż, będzie jej potrzebować, jeśli spróbuje jakichś sztuczek – warczy moja młoda i w gorącej wodzie kąpana towarzysząca, przypinając pas z mieczem.

Kategorycznie zakazuję jej zabierania topora.

–Idziemy do pałacu, na miłość boską, Makri, nie na pole bitwy. I wyjmij ten nóż z cholewy buta. Możemy mieć trudności z wejściem na tereny pałacowe, jeśli będziesz wyglądać jak nieprzyjacielska armia.

Okrijscy dyplomaci mieszkają w ambasadzie w obrębie murów pałacu. Nigdy nie pojawiają się publicznie z obawy przed wywołaniem zamieszek. Wszyscy tutaj nienawidzimy Orków. Jest to uczciwe, ponieważ oni nienawidzą nas. Dozorca smoka kwateruje w niewielkim domku na terenie zoo, które w dzień jest otwarte dla zwiedzających. Nie wolno z tym indywiduum rozmawiać, ale dochodzę do wniosku, że gra jest warta świeczki.

Wartownicy i urzędnicy przy wielkiej Lwiej Bramie, która wiedzie na tereny pałacowe, obrzucają Makri zdumionymi spojrzeniami. Kiedy wyjaśniamy, że idziemy do królewskiego zoo, nie obywa się bez paru niewybrednych komentarzy.

–Pewnie brakuje jej smoków – mówi jeden z żołnierzy pełniących wartę.

–Prędzej Orka – dodaje drwiąco drugi.

Makri patrzy na nich wilkiem, ale jakoś dusi w sobie wybuch gniewu, dopóki nie każą jej oddać miecza. Do mnie nie zwracają się z takim żądaniem. Makri sinieje z wściekłości, dotknięta do żywego tym jawnym świadectwem dyskryminacji rasowej. Próbuję ją udobruchać, co raczej mi się nie udaje. Wkraczam na tereny pałacowe wraz z Makri. Jest rozeźlona jak ranny smok i grozi straszliwą zemstą następnej osobie, która ją obrazi.

Pałac królewski w Turai to jeden z cudów świata. Wiele państw większych od naszego ma dużo mniej imponujące budowle imperialne.

Od kiedy parę pokoleń temu zaczęły napływać pieniądze z kopalni złota, kolejni królowie i książęta stawiali sobie za cel wznoszenie coraz to wspanialszych rezydencji.

Za ogromną Lwią Bramą, wysoką na sześciu chłopa, mieści się baśniowa jaskinia luksusu. Już same ogrody są słynne we wszystkich Krainach Ludzi: strzeliste altany, rozległe trawniki, szpalery, aleje, kwietniki... Wszystko to nawadniają strumienie i fontanny zaprojektowane parę pokoleń temu przez Afethę-ar-Kyeta, wielkiego elfiego projektanta ogrodów. Sam pałac jest potężnym gmachem z białego marmuru ze srebrnymi minaretami. Dziedzińce są brukowane bladozielonymi i żółtymi płytami sprowadzonymi z dalekiego zachodu, a każde skrzydło kryją złote dachówki. Korytarze i sale audiencyjne wyłożono mozaikami z cienkiego jak listek złota i kolorowych kamieni, a komnaty prywatne zostały ozdobione i wyposażone przez artystów i ebenistów ściągniętych z całego świata.

Kiedyś tu pracowałem, byłem starszym inspektorem śledczym w Ochronie Pałacowej. Mogłem przebywać w pałacu bez ograniczeń. Teraz jestem mniej więcej tak mile widziany, jak zaraza.

Tereny są rozległe i dotarcie do zoo zabiera nam nieco czasu. Jest gorąco i szybko się męczę. Nie czuję się w nastroju do oglądania Orków czy smoków. Zwracam uwagę Makri na parę architektonicznych wspaniałości, ale ona też jest w zbyt podłym humorze, żeby je podziwiać, choć architektura jest jednym z przedmiotów wykładanych na uniwersytecie. Jej zły nastrój pogłębia się, kiedy z pobliskiej wieży rozlega się wezwanie do Sabam i jesteśmy zobowiązani paść na kolana i pogrążyć się w modlitwie. Muszę niemal siłą przygiąć ją do ziemi. Jeśli nie dopełnimy modłów tutaj, na terenach publicznych otaczających pałac, zostaniemy oskarżeni o bezbożność i znikniemy stąd, zanim zdążą ostygnąć ślady naszych stóp.

Z tego wszystkiego mam kłopoty z zachowaniem przytomności umysłu i w czasie modłów morzy mnie sen. Makri bezceremonialnie budzi mnie kopniakiem. Ignoruję jej niewyszukany dowcip na temat moich religijnych zaniedbań i podnoszę się na nogi. Zoo jest teraz w zasięgu wzroku, ale gdy zbliżamy się do jego białych murów, wybucha zamieszanie – zewsząd nadlatują strażnicy i cywilni urzędnicy. Wejście do zoo zostaje zamknięte przed ciekawskimi, którzy nadciągają stadami ze wszystkich stron. Poznaję różnych ważnych pałacowych urzędników, między innymi Kaliusza Konsula. W lektyce przybywa niojski ambasador, a po chwili pojawia się druga, z grubymi zasłonami i dziwnym, obcym herbem na boku. Orkijscy ambasadorowie. Jeden z królewskich synów przebiega ze swoim ochroniarzem. Do licha, co się tu święci?

Za księciem nadciąga nie kto inny, jak pontyfik Derlex. Łapię go za ramię i pytam, o co chodzi.

**–Nowy smok został zabity! – ryczy pontyfik. – Zarżnięty w czasie modłów!
Aresztowano księżniczkę Du-Akai!**

Tracę okazję do zadania dalszych pytań, bo Makri, ja sam i wszyscy inni zostajemy w trybie przyspieszonym wyrzuceni z terenów pałacowych. Do domu jedziemy landusem, z pontyfikiem Derlexem, który jest tak podniecony całą sprawą, że nie ma nic przeciwko podróżowaniu z Makri, demonem z piekła rodem. Chyba rozumiem jego ekscytację. Derlex jest w gruncie rzeczy poślednim lokalnym kapłanem. Normalnie nie znalazłby się w pałacu, ale został zaproszony jako gość biskupa Gzekiusza, który przewodniczył jakiejś religijnej ceremonii dla rodziny królewskiej.

Wkrótce sensacyjna wiadomość rozchodzi się po całym Turai. Ludzie gromadzą się na rogach ulic i w barach, by spekulować na temat afery i zgłębiać najnowsze doniesienia w specjalnych wydaniach gazet. To jest jeden z najpoważniejszych skandali, jak sięgnąć pamięcią, i pociągnie za sobą poważne reperkusje. Senator Lodiusz już gromi zepsucie w rodzinie królewskiej.

Kandydaci wystawieni przez Popularów prześcigają się w potępianiu dekadencji i łapownictwa, które, jak mówią, są plagą w tym mieście. Osobiście polityka mnie nie interesuje, a mój ewentualny entuzjazm do reformy skutecznie gaszony jest przez świadomość, że senator Lodiusz to w rzeczywistości bezwstydnie ambitny karierowicz, gotów posłużyć się wszelkimi środkami do realizacji swoich celów. Wicekonsul Rycjusz należy do jego partii, co samo w sobie źle o niej świadczy.

Na razie polityczne przepychanki sami doskonale obojętne. Ważny jest sensacyjny wypadek w królewskim zoo. Smokowi rozplątano brzuch, co nie należy do rzeczy najłatwiejszych, zważywszy, że smocza skóra przypomina stalowy pancerz. Na miejscu przestępstwa wraz z księżniczką aresztowany został siłacz Brex. Miał topór na ramieniu. Przy księżniczce znaleziono ogromną ilość dwa, z czego można wnosić, że jakimś cudem zamoczyła smoka zanim Brex wypruł mu bebechy. O ile mi wiadomo, nikt nie wie, po co to zrobili.

Oczywiście, Orkowie wpadają w szał. Król wpada w szał. Lud podnosi wrzawę. Niojski ambasador nadal grozi wypowiedzeniem wojny, jeśli morderca Attilana nie stanie przed obliczem sprawiedliwości. Kiedy się nad tym zastanowić, człowiek dochodzi do wniosku, że być może nadeszła właściwa chwila, by ludzie o zajętych sercach opuścili miasto. Senator Lodiusz wykorzysta sytuację do ostatnich granic, co oznacza, że wybory będą przebiegać dużo gwałtowniej niż zwykle. Zapowiada się burzliwe lato, chyba że Niojańczycy po prostu najadą Turai i inne zatargi pójdą w zapomnienie.

Makri w błyskawicznym tempie pochłania jedzenie, żeby zdążyć na wieczorne zajęcia. Podstawy geometrii, jak mi się wydaje. Od stóp do głów spowija ją płaszcz, który musi nosić w instytucie. Ma to zapobiegać wpadaniu młodszych uczniów w

panikę.

–Co zrobisz? – pyta.

–Zobaczę, czy uda mi się dowiedzieć, gdzie księżniczka schowała zdobycz. Tkanina jeszcze nie ujrzała światła dziennego i chyba nikt inny nie domyśla się, że ukryta była w smoku. Być może odzyskam ją dla Elfów.

–Nie zamierzasz pomóc księżniczce?

–Pewnie, że nie. Nie zapłaciła mi i nie jestem jej nic winien.

Czasami Makri po prostu nie pojmuję komercyjnej natury mojego biznesu. Nie pomagam ludziom dla zabawy. Robię to dla pieniędzy. Tak czy owak, udzielenie pomocy księżniczce może przerastać moje możliwości. I skoro była dość głupia, żeby dać się przyłapać na zarzynaniu królewskiego smoka, to już jej problem.

Oczywiście, jeśli nadal będę szukać tkaniny, mogę mieć pewne kłopoty z nakłonieniem żadnych mordy ludzi – którzy myślą, że już ją mam – do pozostawienia mnie w spokoju. Ale to z kolei mój problem.

Tego wieczoru zabawa “Pod Mściwym Toporem” kręci się na pełnych obrotach. Najemnicy, dokerzy, robotnicy, pielgrzymi, żeglarze, miejscowi handlarze i sklepikarze piją bez umiaru, zalewając swoje robaki. Przybywają Palax i Kaby, rozkładają mandoliny, flety i liry. Bawią biesiadników sprośnymi pijackimi śpiewkami, tradycyjnymi skocznymi tańcami ludowymi i rzewnymi balladami na mandolinie dla samotnych serc w tawernie. Są dobrymi muzykami i cieszą się sympatią tłumu; wyrozumiale znoszą przytyki na temat jaskrawo farbowanych włosów, pstrokatych strojów i poprzekłuwanych uszu i nosów. Gurd im stawia. To naprawdę dobry układ. Czuję, że też chciałbym grać na jakimś instrumencie.

Mimo całej tej zabawy Gurd wygląda żałośnie jak niojska dziwka i nie odpowiada, kiedy klepię go po plecach i pytam, czy pamięta czasy, gdy z jednym nożem stanęliśmy przeciwko czternastu półkrwi Orkom na Pustyni Simiańskiej, a i tak byliśmy górą. Patrzy na mnie ponuro, a potem pyta, czy zajrzę do niego jutro.

Kiwam głową, choć nie palę się do tego. Domyślam się, że rozmowa dotyczyć będzie kucharki, Tanrose. Gurd myśli, że jest w niej zakochany. Jako stary kawaler, który większą część życia spędził na włóczędze po świecie w charakterze najemnika, uważa swoją sytuację za ogromnie pogmatwaną. Nie może się zdecydować. Boi się, iż po ślubie odkryje, że to, co brał za miłość, było tylko namiętnością do jej pasztetu z dziczyzny. Stale pyta mnie o radę, choć oświadczyłem, że mam niewielkie kompetencje w sercowych sprawach. Mimo wszystko, użyczenie mu życzliwego ucha ma swoje dobre strony. Gurd staje się bardziej wyrozumiały, kiedy spóźniam się z zapłatą czynszu.

Ludzie śmieją się, tańczą, grają, opowiadają sobie kawały i rozprawiając skandalicznej aferze dnia. W świetle olejowych lamp Palax i Kaby wybijają wściekły rytm, który zmusza całą tawernę albo do tańca, albo do przytupywania. Ja tłukę kuflem w stół do taktu i wołam o więcej piwa. Ogółem biorąc, to udany wieczór; hulanka z biedotą z Dwunastu Mórz jest o niebo lepsza niż przyjęcia z arystokratami w pałacu. Spijam się na umór, co byłoby świetne, ale gdy tylko Gurd i Makri wnoszą mnie na górę, pojawia się pretor Cyceriusz. Jest najsłynniejszym adwokatem w Turai i człowiekiem o dużych wpływach w mieście. Informuje mnie, że muszę przyjść do pałacu i porozmawiać z księżniczką Du-Akai. Natychmiast.

Mam kłopoty ze zrozumieniem, o co mu chodzi, i przez dłuższą chwilę usilnie staram się przekonać go, że to na nic. Słyszałem plotki o jego żonie, ale nie zajmuję się sprawami rozwodowymi.

–Nie ma żadnych plotek o mojej żonie – warczy Cyceriusz. Nie jest człowiekiem skorym do żartów i śmiechu. Ma około pięćdziesiątki, jest chudy, szpakowaty, surowy i nieprzekupny. Proponuję mu wspólne odśpiewanie sprośnej barbarzyńskiej śpiewki, której nauczyłem się od Gurda. Odmawia.

–Czemu nie zaprowadzisz porządku w tym mieście, pretorze? – pytam zaczepnie. – Wszystko schodzi na psy, a z rządu jest mniej więcej taki sam pożytek, jak z eunucha w burdelu.

Kolory odplywają oblicza pretora. Gurd i Makri, z wyrazem niesmaku na twarzach, zostawiają mnie z nim sam na sam. Jego słudzy dźwigają mnie wspólnym wysiłkiem, wynoszą na zewnątrz i pakują do landusa, którym Cyceriuszowi wolno rozbijać się po nocach w ramach senatorskiego przywileju. Zaczynam cieszyć się tym doświadczeniem i porykuję pijacką piosenkę wywieszony przez okno, gdy jedziemy cichymi ulicami Pashish. Cyceriusz patrzy na mnie ze wzgardą. Niech patrzy. Ja tam go do siebie nie zapraszałem.

–I co się tak gapisz? – burczę niezbyt kulturalnie. – Jeśli księżniczka odrąbała smokowi głowę, to jej wina, nie moja. Brzydko zrobiła. Biedny smok.

Zasypiam i zostają mi tylko mgliste wspomnienia z chwil, gdy wnoszą mnie do pałacu. Słudzy nie skąpią docinków na temat mojej tuszy. Nie pozostają im dłużny. Nie jestem pierwszym człowiekiem, wnoszonym w stanie kompletnego upojenia na tereny Pałacu Imperialnego, choć być może najcięższym. Zostaję złożony w budynku, którego nie poznaję, i służący zaczynają wlewać mi deat do gardła. Deat to gorący napar z ziół. Otrzeźwia. Nie cierpię go.

–Dajcie mi piwo – żądam.

–Postawcie go na nogi – mówi Cyceriusz, nie zadając sobie trudu ukrycia wstrętu i

pogardy. – Przyprawdżę księżniczkę. Nie mam pojęcia, dlaczego zależy jej na spotkaniu z tym cymbałem.

Wypijam nieco deatu, na szczęście nie trzeźwiejąc, i zastanawiam się na głos, gdzie jestem.

–W przedpokoju apartamentów księżniczki – objaśnia mnie sługa.

–Aha – mruczę. – Przypuszczam, że księżniczek nie zamyka się w kozie jak zwyczajnych ludzi.

Wspominam, jak sam siedziałem w kozie, i natychmiast się rozklejam.

–Nikt mnie nie kocha – wyznaję służącemu.

Cyceriusz wraca z księżniczką Du-Akai. Witam ich jowialnie. Księżniczka dziękuje mi za przybycie. Nie komentuje mojego stanu. Nie ma to jak kindersztuba.

–Jestem w poważnych kłopotach.

–Idę o zakład, że masz rację.

–Musisz mi pomóc.

–Paskudnie – powiadam, znów popadając w pijackie rozdrażnienie. – Jestem daleki od pomagania klientom, którzy łżą mi w żywe oczy.

–Jak śmiesz mówić w ten sposób do księżniczki – ryczy Cyceriusz i zaczynamy się kłócić. Księżniczka Du-Akai interweniuje. Każe wyjść służącym i pretorowi i przysuwa sobie krzesło. Siada blisko mnie.

–Thraxasie – zaczyna z wyszukaną uprzejmością – jesteś pijanym gamoniem. Opowieści o twoim złym prowadzeniu się podczas pracy w pałacu nie są przesadzone. W normalnym stanie rzeczy nie chciałabym mieć z tobą do czynienia. Stoisz tak nisko na drabinie społecznej, że nawet bym nie zauważyła, gdybym na ciebie nadepnęła. Ta kobieta z domieszką orkijskiej krwi jest o niebo lepsza od ciebie. Jesteś nie tylko opojem, lecz również niepoprawnym żarłokiem, którym gardzę w równym stopniu. Pasujesz do swojej nory w Dwunastu Morzach i wolałabym, żebyś był tam, a nie w tym pokoju ze mną. Jednakże potrzebuję twojej pomocy. Bądź więc łaskaw wytrzeźwieć, przestań udawać wariata i zacznij słuchać.

–Wydaje się, że już dość się nasłuchałem. Dlaczego miałbym ci pomagać?

–Z dwóch powodów. Po pierwsze, zapłacę ci naprawdę szczerze. Rozumiem, że okropnie potrzebujesz pieniędzy. Hazard jest kolejnym z twoich nałogów.

Przeklinam siarczyście. Wydaje się, że moje długi są najpopularniejszym tematem w Turai. Wie o nich nawet rodzina królewska.

–A drugi powód?

–Jeśli mi nie pomożesz, zadbam, żeby twoje życie w tym mieście przemieniło się w istne piekło. Być może zostanę zamknięta w klasztorze, ale nadal jestem trzecią w kolejności sukcesorką do tronu i mam większe wpływy w małym palcu, niż ty w swoim całym tłustym ciele. Słuchaj więc.

Wyciąga ciężką sakiewkę. Zamieniam się w słuch.

Kiedy kończę słuchać, służący prowadzi mnie do sąsiedniej komnaty. Czeka tam na mnie Cycleriusz. Nie bardziej przyjazny niż wcześniej. Fakt, iż księżniczka myśli, że mogę jej pomóc, nie czyni go ani odrobinę bardziej serdecznym. Cycleriusz znany jest ze swej uprzejmości, lecz mimo doskonałej reputacji powszechnie uważany jest za człowieka raczej surowego i sztywnego. Senatorzy nieczęsto spoufalają z takimi pospolitakami jak ja, a pretorzy nie robią tego nigdy. Z jednym wyjątkiem: kiedy potrzebują naszych głosów.

Cycleriusz prowadzi ożywioną rozmowę z młodszym mężczyzną, w którym poznaję jego syna, Ceriusza. Pretor widzi, że wchodzę, ale traktuje mnie jak powietrze, siadam więc ciężko i czekam, aż skończy. Jestem zmęczony i chcę iść do domu. I spać. Przeklęta księżniczka.

Wreszcie Cycleriusz zwraca się do mnie:

–Ufam, że rozmowa była satysfakcjonująca.

–Bardzo satysfakcjonująca – chwalę się. – Księżniczka wie, że jestem najlepszy, kiedy chodzi o prowadzenie śledztwa, postanowiła więc złożyć całą sprawę w ręce człowieka, który umie sobie z nią poradzić. Bystra kobieta, ta księżniczka.

Cycleriusz przeszywa mnie wrogim spojrzeniem. Słynie z oratorstwa i mów obrotowych w sądach. Część jego sukcesu wspiera się na bogatej mimice, a mina, jaką przybiera patrząc na mnie, mówi bardzo wiele. Jakby widział szczura wypełzającego ze ścieku.

Zachowanie nie do pomyślenia u człowieka, który zabiega o wybór na urząd publiczny, ale przypuszczam, że na moim głosie niespecjalnie mu zależy.

Jeśli mam pomóc księżniczce, Cycleriusz musi dla mnie otworzyć kilkoro drzwi. Dyskusję o szczegółach przerywa nam przybycie kapitana z Ochrony Pałacowej.

–Pretorze Cycleriuszu – mówi – mam nakaz aresztowania twojego syna, Ceriusza.

Pretor przywdziewa maskę gniewu i zimno pyta o przyczyny.

–Pod zarzutem sprowadzania dwa – mówi kapitan. Pokazuje nakaz Cycleriuszowi i Ceriuszowi, a następnie kładzie rękę na ramieniu Ceriusza. Cycleriusz zapomina języka w gębie, gdy syn znika z komnaty. To okrutny cios, dobrze wymierzony przez jego rywala Rycjusza. Pretor Cycleriusz za jednym zamachem stracił rodzinę i przegrał wybory.

Podchodzę do niego.

–Wynajmij mnie – powiadam. – Pomogę twojemu synowi.

Cyceriusz przeszywa mnie wzrokiem pełnym coraz większej nienawiści, a potem szybko wychodzi z pokoju.

–Tylko próbowałem pomóc – mówię do służącego, który mnie wyprowadza.

Około drugiej nad ranem wyruszam do tawerny “Pod Mściwym Toporem”. Jestem kompletnie trzeźwy – przynajmniej na tyle, by nie tratować pijaków i bezdomnych, którzy tarasują ulice, ani nie potykać się o sterty kamieni, nadal piętrzące się po zamieszkach. Głowa mi pęka. Jestem zmęczony. Nie zniosę więcej żadnych nerwów. Wchodzę do mojego pokoju i stwierdzam, że znów został zdemolowany.

W niemej furii gapię się na niewiarygodny bałagan. Każdy mebel został zredukowany do elementów wielkości zapalek, a cały mój dobytek zaściela podłogę. Kto za tym stoi? Kimkolwiek jest, daję sobie słowo, że wypruję mu flaki i zatańczę na jego szczątkach.

Makri ma lekki sen. Obudzona moim pomstowaniem, przybiega z mieczem w dłoni. Goła.

–Nie powinnaś się w coś ubrać, zanim wyzwiesz intruzów do walki?

–Po co? Byliby martwi, zanim by się spostrzegli, że nic na sobie nie mam.

–Mój pokój znów został zdemolowany. – I po co to mówię? Makri proponuje, żebym przespał się na jej kanapie. Potrząsam głową.

–Jeszcze nie zamierzam iść spać. Nadal pracuję. I jesteś mi potrzebna jako tłumacz. Cyceriusz załatwił mi spotkanie z dozorcą smoka.

–Teraz?

–To konieczne. Jeśli sprawy Cyceriusza się pogorszą, może zabraknąć mu wpływów, żeby wpuścić mnie do zoo.

–Jak to?

–Dopiero co jego syn został aresztowany za handel dwa. Ale musi się sam uporać z tym problemem, nie chce pomocy z mojej strony. Znów pracuję dla księżniczki. Wyjaśnię ci po drodze.

Makri kiwa głową i wychodzi, żeby się ubrać. Wraca obładowana bronią i tym razem nie mam ku temu zastrzeżeń. W drodze do pałacu zaznajamiam ją ze szczegółami.

–Księżniczka Du-Akai twierdzi, że jest niewinna. Przyznaje, że zamierzała rozplatać smoka, żeby wyjąć Czerwoną Tkaninę Elfów. Dlatego pierwotnie potrzebowała zaklęcia snu. Zapytałem ją, czy je odzyskała. Zaprzeczyła. Dlatego wzięła dwa, chciała spróbować otumanić bestię. Tak czy owak, ktoś ją uprzedził. Ale kiedy król i jego świta wkroczyli na scenę, znaleźli księżniczkę i siłacza Brexa obok martwego smoka z siekierą i wielkim workiem dwa. Oczywiście, wyglądało to podejrzanie.

–Jasne. Skąd wzięła dwa?

–Ukradła z apartamentów swego brata, księcia Frisen-Akana, choć tego nie powiedziała królowi. Król nie ma pojęcia, jakim degeneratem jest jego najstarszy syn. Sądzę, że chciał zatuszować udział księżniczki w zabiciu smoka, ale senator Lodiusz był w pałacu w sprawach urzędowych. Naturalnie, od razu zrobił raban.

–Co teraz zrobimy?

–Dowiemy się, kto naprawdę zabił smoka, zanim księżniczka zostanie zawleczona przed specjalnych sędziów królewskich i skazana na życie w klasztorze. Widzisz, Makri, nie myliłem się co do Tkaniny Elfów, nawet jeśli nikt inny nie może przyznać mi racji. Była w smoku. Odszukajmy ją, a znajdziemy zabójcę potwora. Może również zabójcę Attilana.

–Do tego zostałeś wynajęty?

–Niezupełnie. Ale Turai okropnie potrzebuje winowajcy. Nioj podnosi piekło. Cycleriusz przyznał, że dostanę nagrodę, jeśli wyjaśnię tę sprawę. Pretor Cycleriusz jest filarem tutejszej elity, a raczej był, dopóki jego syn nie został aresztowany. Jest zimny jak serce Orka, ale to jedna z niewielu osób w Turai, do których mam zaufanie. Przy okazji uważa mnie za łobuza nie z tej ziemi. Ma pecha, że jestem jedyną osobą, która może pomóc księżniczce. Nie jestem całkowicie pewien, czy księżniczka nie zabiła Attilana albo nie kazała go zabić. Miała z nim romans, bez dwóch zdań. Dzięki temu dowiedziała się o kradzieży tkaniny i planie przejęcia jej dla Nioj. Attilan usłyszał o tym od niojskiego agenta, który szpiegował orkijskiego ambasadora. Orkowie zainicjowali całą sprawę. Wynajęli Gliksiusza Pogromcę Smoków, by skradł tkaninę i upchał ją w smoku, żeby mogli później zabrać ją do domu. Nie jestem pewien, kto jeszcze wiedział o tym wszystkim, ale pewne jak w banku, że ktoś się dowiedział. W Turai trudno zachować coś w tajemnicy, zwłaszcza w kręgach dyplomatycznych, ze szpiegującymi wszędzie magami. W każdym razie Attilan zapłacił dozorczy za zaklęcie układające smoka do snu, żeby uśpić bydlę i wydobyć tkaninę. Księżniczka Du-Akai doszła do wniosku, że byłoby nieźle, gdyby ona zrobiła to zamiast niego, i właśnie dlatego wysmażyła historyjkę o listach miłosnych i wysłała mnie po szkatułkę. Mniej więcej w tym momencie my pojawiliśmy się na scenie. Przypuszczam, że ten, w czyich rękach znalazło się zaklęcie, skorzystał z okazji, że cała rodzina królewska jest na religijnej ceremonii, by zakraść się do zoo i zrobić swoje. Jednak nie mam

pojęcia, kto to był. Niewiele osób ma dostęp do prywatnego zoo o tej porze dnia. Głównie dyplomaci. Z drugiej zaś strony, Bractwo i Towarzystwo Przyjaciół są w stanie łapówkami otworzyć sobie drogę, dokąd tylko zechcą.

–A jaka jest rola zabójców?

Wzruszam ramionami. To luźny wątek, od rozwiązania którego jestem daleki. Tajemnicą jest też to, dlaczego Hanama szukała tkaniny. Ale zinterpretowanie poczynań czy motywów zabójców nigdy nie jest łatwe. Jak mi wiadomo, nie świadczą innych usług niż morderstwa na zamówienie, ale kto wie? Może dorabiają sobie na boku prowadzeniem dochodzeń.

–Nie wyobrażam sobie, by taka Hanama chciała być detektywem – mówi Makri.

–Czemu nie? To lepsze niż wiosłowanie na niewolniczej galerze.

Jesteśmy prawie w pałacu. Makri, spryciara, jak zawsze przetrawiła wszystkie moje słowa i teraz zastanawia się, dlaczego księżniczka chciała zdobyć Tkaninę Elfów.

–Nie powiedziała mi tego, nawet prywatnie. Może działała z pobudek patriotycznych, aby zapobiec przejęciu jej przez Orków czy Niojańczyków. Albo po prostu, jak to się zdarza w naszej rodzinie królewskiej, ma sekretne długi hazardowe i potrzebuje forsy. Prawdopodobnie zamierzała sama sprzedać ją Orkom.

–Więc dla kogo teraz szukasz tkaniny? Dla Elfów czy dla księżniczki?

–Szukam tkaniny dla Elfów. I oczyszczam księżniczkę z zarzutów o zabicie smoka.

–Pogubisz się w tym wszystkim.

–Pogubię się? Ja? Kiedy chodzi o równoległe dochodzenia, jestem ostry jak ucho Elfa. Tak czy owak, potrzebne mi pieniądze.

Landus wjeżdża w bramę pałacu.

–Czas na spotkanie z Orkiem – mówię do Makri. – Trzymaj miecz w pochwie. Muszę usłyszeć, co Ork ma do powiedzenia.

Orkowie są nieco więksi od ludzi i trochę silniejsi. Ale brzydzi. Uwielbiają obwieszać się prymitywną biżuterią z motywami orłów i czaszek i prawdopodobnie zapoczątkowali modę na przekłuwanie nosów, warg i brwi, którą teraz Kaby i Palax unieszczęśliwiają szanowanych mieszkańców Turai. Mają ostre rysy, intensywnie czerwoną skórę i długie włosy. Noszą na ogół ciemne futrzane ubrania o niezbyt wyrafinowanym kroju. Zwykle bywają zaciekłymi wojownikami i wbrew temu, co mówią ludzie, nie są głupi. Wiem, że ich dyplomaci okazali się sprytnymi negocjatorami. Na zachodzie mówi się, że Orkowie nie umieją czytać i że ich naród nie ma własnej literatury, ale Makri twierdzi, iż to nieprawda. Tak samo jak to, że nie znają muzyki i że są kanibalami. Powiada nawet, że widziała orkijskie malowidła, lecz w to nie bardzo chcę uwierzyć. Makri nienawidzi wszystkich Orków, jednak nie zgadza się ze stwierdzeniem, że ludzie są bardziej cywilizowani. Niewiele wiem na ten temat. Spotykałem Orków tylko w bitwie, a większość tych, z którymi miałem do czynienia, kończyła mamie zanim mieliśmy okazję wymienić poglądy. Nigdy nie widziałem ich kobiet ani dzieci.

Podobnie jak jest w Krainach Ludzi, Orkowie też mówią swoimi narodowymi dialektami i powszechnym językiem orkijskim. Niewielu ludzi na zachodzie zna orkijski – nawet wypowiedzenie słowa z tego języka uważane jest za bardzo pechowe. Pazaz, dozorca smoków, jest więc zaskoczony i zaniepokojony, gdy Makri zwraca się do niego po orkijsku. Jest z natury podejrzliwy, ale skoro zwierzchnicy przykazali mu nie utrudniać dochodzenia, a my legitymujemy się listem od samego pretora, odpowiada na nasze pytania.

–Twierdzi, że nie wie nic o zabójstwie – tłumaczy Makri, dla której ta rozmowa jest również niepokojąca. Kiedy ostatni raz rozmawiała z Orkami, była ich niewolnicą i nie bawi jej to wspomnienie. – Ale jest wzburzony. Lubił tego smoka.

–Lubił go?

–Czytał mu bajki przed snem.

–Zapytaj go, czy sprzedał zaklęcie snu komuś poza Attilanem.

Pazaz wypiera się, że w ogóle komukolwiek sprzedał zaklęcie układające smoka do snu. Na jego ostrej twarzy malują się dziwne i nieodgadnione emocje. Odstłaniam parę swoich kart i mówię mu, że wiem wszystko o spisku wysłania Czerwonej Tkaniny Elfów do Gzak. Teraz jest naprawdę zmartwiony. Choć chroni go immunitet dyplomatyczny, znalazłby się w nieciekawym położeniu, gdyby jego postępek wyszedł na jaw. Już sam pobyt Orków w Turai rodzi ferment i nietrudno odgadnąć, co by się stało, gdyby ludzie dowiedzieli się, że znieawiedzona rasa próbowała

wykraść nasze magiczne sekrety.

Żadna z jego odpowiedzi nie przybliżyła mnie do rozwiązania zagadki śmierci smoka ani wyjaśnienia, gdzie może być teraz Tkanina Elfów. Pretor Cyceriusz powiedział mi, że ceremonia religijna, w której uczestniczyła rodzina królewska, trwała nie dłużej niż pół godziny. Ktokolwiek przyszedł do zoo i zabił smoka, musiał mieć informacje z dobrego źródła, ale w mieście tak skorumpowanym jak Turai takie wiadomości są dostępne dla każdego za określoną cenę. Co bardziej interesujące, Cyceriusz poinformował mnie, że magowie śledczy z Ochrony Pałacowej nie wykryli w zoo aury jakichkolwiek niezwykłych gości, co pogarsza położenie księżniczki. Z drugiej strony, jeżeli smok niweczy działanie wszelkiej magii, nie jest absolutnie pewne, że nie było tam jakiegoś obcego.

–Zabicie smoka i wyjęcie tkaniny wymagało nie lada zachodu, niezależnie od zaklęcia. Czy bywał tu ktoś, kto okazywał niecodzienne zainteresowanie jego zwyczajami?

Według Pazaza nikogo takiego nie było. Nikt w ogóle z nim nie rozmawiał, pomijając biskupa Gzekiusza, który wystąpił z jedną czy dwiema próbami nawrócenia go na Prawdziwą Religię. Jestem bliski współczucia dla Orka.

Biskup Gzekiusz zawsze próbuje prześcignąć swoich kolegów po fachu. Prawdopodobnie chciał zdobyć duszę Orka jako trofeum.

Czas odejść. Poza potwierdzeniem moich podejrzeń co do Attilana, niewiele się dowiedziałem. Światła płoną jeszcze w pałacu, gdy jesteśmy prowadzeni do bramy. Spodziewam się, że wewnątrz aż wrze z powodu aresztowania księżniczki. Czasy się zmieniają. Niegdyś w Turai księżniczka nie mogłaby zostać aresztowana, niezależnie od popełnionego przestępstwa. Syn pretora też zresztą nie. Teraz, w konfrontacji z rosnącymi w siłę Popularami senatora Lodiusza, wyższe klasy czują się nieco zaszczute. Może konieczność podporządkowania się prawu wyjdzie im na dobre.

Jestem kompletnie wykończony. Upalna noc odbiera mi chęć do życia. Byłbym szczęśliwy, kładąc się i zasypiając tu, gdzie jestem. Z napięcia i zmęczenia aż huczy mi w głowie; perspektywa zobaczenia rozgardiaszu w moim pokoju nie poprawia mi samopoczucia. W milczeniu jedziemy do Dwunastu Mórz. Makri myśli o Orkach. Mówi mi później, że Pazaz widział, jak walczyła na arenie, przez co jej żądza mordy wzrosła jeszcze bardziej.

–Następnym razem, jak spotkam Orka, to trzeba będzie czegoś więcej niż ochrony dyplomatycznej, żeby zachował głowę na karku – oświadcza przed popadnięciem w posępne milczenie. Noc jest przytłaczająco gorąca i marzę tylko o jednym: zrobić sobie trochę miejsca na podłodze i spać. Niestety, nie jest mi to dane, bo przed “Mściwym Toporem” stoi landus. W nim, w oblamowanej błękitem pretoriańskiej

tożde, siedzi Cycleriusz ze swoją zwyczajną surową miną. Towarzyszy mu para służących, którzy najwyraźniej czują się nieswojo w Dwunastu Morzach w środku nocy.

Przekroczyłem dziś swoją dzienną dawkę obcowania z przedstawicielami klas wyższych. Jestem taki zmęczony, że nie stać mnie nawet na grubiaństwo. Pytam tylko Cycleriusza, czy naprawdę nie może poczekać do jutra na raport o postępach w sprawie księżniczki.

Nie przyszedł po raport. Przyszedł wynająć mnie, żebym ratował jego syna. Nie udaje mi się zdusić ziewnięcia. Wprowadzam go do tawerny. Biorę sobie gąsiorek piwa z baru i próbuję skupić się na tym, co pretor ma do powiedzenia. Mógłbym bez problemu poradzić sobie jako najtańszy detektyw w Turai, ale bycie najbardziej zajęтым to zupełnie inna para kaloszy.

Trzeba oddać sprawiedliwość Cycleriuszowi: kiedy trzeba, umie mówić bez ogródek. Przeprasza sztywno za wcześniejsze obcesowe odrzucenie mojej propozycji i przyznaje, że prawdopodobnie jestem odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

–Jak wiesz, mój syn Ceriusz Juniusz został oskarżony o handel dwa.

Kiedys to mogłoby mną wstrząsnąć. Teraz już nie.

–Wicekonsul Rycjusz, działając na podstawie zdobytych informacji, wieczorem uzyskał nakaz rewizji. Odwiedził nasz dom podczas mojej nieobecności. W trakcie przeszukania znalazł dwa w pokojach Ceriusza.

–Ile?

–Dwa imperialne funty.

–Aha. Zbyt wiele na osobiste potrzeby. Z kim handlował?

Cycleriusz robi wrażenie zranionego.

–Nie godzę się z myślą, że mój syn jest handlarzem dwa.

Oznajmiam, że w dzisiejszych czasach zdarza się to w najbardziej szanowanych rodzinach. Cycleriusz marszczy brwi. Słynna elokwencja zawodzi go na myśl o losie syna, który resztę swoich dni może spędzić przykuty do wiosła na galerze.

–Co więc miałbym dla ciebie zrobić? – pytam, popijając piwo.

–Odkryć prawdę. Jak ci wiadomo, Rycjusz i ja jesteśmy zaciekłymi rywalami i obaj ubiegamy się o urząd wicekonsula. Rycjusz skorzysta z każdej nadarzającej się okazji, żeby mnie zdyskredytować. Jeśli mnie pokona i zostanie wicekonsulem, stanie się to z wielką krzywdą dla tego miasta.

Cycleriuszowi chodzi o to, że Popularzy Lodiusza zyskają przewagę. Jako bastionowi Tradycjonalistów, Cycleriuszowi ta myśl wcale nie przypada do gustu. Mnie, ponieważ nie jestem zainteresowany polityką, niewiele to obchodzi.

–Powiedziałbym, że już zostałeś skompromitowany.

–Nie do końca. Konsul Kaliusz nie pragnie zguby mojego pana. Nie zależy mu również na mojej kompromitacji i oddaniu pola popularom. W obliczu niestabilnej sytuacji politycznej w Turai ważne jest, żeby senator Lodiusz nie powiększył swoich wpływów.

–Konsul zamierza więc, że tak powiem, wmieść śmieci pod dywan? W takim razie do czego ci jestem potrzebny?

–Konsul nie wmiecie niczego pod dywan – odpowiada szorstko Cycleriusz. – Wszyscy obywatele w Turai podlegają prawu. Ale chce, żeby ta sprawa nie trafiła do sądu, bo wówczas Ceriusz musiałby podać nazwiska ludzi, od których kupił dwa i dla których było ono przeznaczone. Taka jest standardowa procedura.

Mniej więcej prawda. Wielu drobnych handlarzy dwa wykręca się od odpowiedzialności w zamian za podanie nazwisk grubszych ryb.

–Na nieszczęście Ceriusz nie chce mówić. Nie mogę tego zrozumieć. Wszystko, co musi zrobić w obronie własnej reputacji, nie wspominając o reputacji rodziny, sprowadza się do wyznania konsulowi prawdy. Odmawia.

Biedny Cycleriusz. Człowiek jest sobie najbardziej szanowanym politykiem w Turai, a potem jego syn zostaje aresztowany za handel narkotykami. Co świadczy, że nawet lamowana błękitem toga nie może zagwarantować szczęścia.

–Jesteś najlepszym prawnikiem w Turai, Cycleriuszu. Słyszałem, że w sądzie rozdierasz ludzi na sztuki w krzyżowym ogniu pytań. Skoro ty nie możesz nic wycisnąć z syna, to jak myślisz, co ja zdołam osiągnąć?

Cycleriusz znów robi zboląłą minę. Ten cały epizod najwyraźniej spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Przyznaje, że sądowe techniki nie na wiele się zdają, gdy chodzi o jego syna.

–Poza tym mam niewielkie doświadczenie w tych sprawach. Nawet w obecnych dekadencckich czasach nie wyobrażałem sobie, że młody człowiek z charakterem Ceriusza mógł wmieszać się w handel dwa. Co więcej, w parę godzin po aresztowaniu poprosiłem Tupariusza, żeby zbadał tę sprawę. Tupariusz też nie dowiedział się niczego od mojego syna.

Tupariusz. Detektyw klas wyższych. Obsługuje Thamlin. Bardzo go nie lubię, ale nie jest złym detektywem w porównaniu z paroma innymi, którzy tam pracują.

–Nadal zajmuje się tą sprawą?

Cycleriusz przytakuje. Szczerze mówiąc, nie spodziewam się, że Tupariusz osiągnie jakieś oszałamiające rezultaty w sprawie dotyczącej handlu dwa. Brakuje mu kontaktów wśród plebsu.

–Nawet jeśli nie dowiesz się niczego bezpośrednio od Ceriusza – kontynuuje pretor – to spodziewam się, że poznasz szczegóły całej sprawy, łącznie z pochodzeniem dwa i informacją, dla kogo było przeznaczone. Kiedy tylko wiadomości te zostaną

przekazane konsulowi, Ceriusz nie będzie musiał stawać przed sądem. Wtedy być może uda nam się zachować całą sprawę w tajemnicy przed szerokim ogółem.

–Rycjusz dopadnie cię niczym zły czar. Bez dwóch zdań.

Cyceriusz wznosi lekko jedną brew. Znaczy to, jak sędzę, że nadal ma dostateczne wpływy, żeby wyciszyć sprawę – pod warunkiem, że nie dojdzie do rozprawy.

–Ile mam czasu?

–Zwykle od aresztowania do wstępnego przesłuchania upływa tydzień. Potem będzie za późno.

Zaznaczam, że już jestem zajęty, zbyt zajęty, by brać następną sprawę.

Cyceriusz podkreśla, że publiczny skandal niewątpliwie przyczyni się do zwycięstwa Rycjusza w wyborach. Co, muszę przyznać, nie będzie dla mnie korzystne. Mimo że nie zajmuję się polityką, moje życie byłoby łatwiejsze, gdyby wicekonsulem nie został człowiek, który pała do mnie czystą i bezinteresowną nienawiścią. Jeśli pomogę obecnemu tu Cyceriuszowi, a on wygra wybory, wówczas nowy wicekonsul będzie moim dłużnikiem. Podchodzę do jego prośby z nieco większym entuzjazmem. Może ostatecznie pewnego pięknego dnia powrócę do pałacu.

Naprawdę jestem zbyt zapracowany, żeby wziąć tę sprawę. Myślę jednak o pieniądzech, jakie jestem winien Bractwu. Nie boję się Karloxa, ale ze wszystkimi nie dam rady walczyć.

–Zajmę się tym.

Biorę zwyczajową zaliczkę i kolejne trzydzieści guranów na wydatki, i obiecuję, że zajmę się wszystkim od samego rana. Pretor odchodzi. Makri, czekająca w milczeniu na swoją kolej, jest zdania, że chyba mam nierówno pod sufitem, skoro biorę dodatkową robotę.

–To trzy trudne sprawy na raz. Skończy się tym, że wszystkie zawalisz.

–Potrzebuję pieniędzy. Zostały mi dwa dni, żeby uregulować dług u Yubaxasa, a kto wie, czy odnajdę tkaninę na czas, by uniknąć zemsty Bractwa. Nie stać mnie na odrzucanie spraw. I nie próbuj wygłaszać mi kazań na temat hazardu. Jestem zbyt zmęczony, żeby słuchać.

Strzepuję szczątki sprzętów z materaca i zasypiam, ale nie na długo. Kerk budzi mnie kopaniem w drzwi. Ma do sprzedania jakieś informacje i okropnie potrzebuje forsy na poranną działkę dwa. Wczesne wyrwanie ze snu wprawia mnie w okropny nastrój.

–Byłe szybko – warczę.

–Wyglądasz równie radośnie jak smok z bólem głowy – mruży Kerk i uśmiecha się głupawo. – Wiem co nieco o księciu Frisen-Akanie.

Marszczę brwi. Mam już dość królewskiej rodziny.

–Co?

–Jest importerem dwa.

Niemal wybucham śmiechem. Fakt, że następca tronu jest handlarzem narkotyków, doskonale współgra z naszym narodowym charakterem.

–A jak to się ma do moich spraw?

–Jest przyjacielem Ceriusza.

Wieść rozeszła się piorunem. Nie zadaję sobie trudu wypytywania, skąd Kerk wie o Ceriuszu. Generalnie jest dobrze poinformowany, jeśli chodzi o narkotykowe sprawy w Turai.

–I?

–Ceriusz trzyma dwa dla niego.

Ponownie marszczę brwi. Oczyszczenie imienia młodego Ceriusza nie okaże się łatwe, jeśli będzie wiązało się z wplątaniem księcia Frisen-Akana. Nie sądzę, żeby Cycleriusz był tym uszczęśliwiony.

Wciskam drobną monetę w rękę Kerka. On patrzy na nią z pogardą i żąda więcej.

–Bo nie powiem ci, kto jeszcze jest zamieszany.

Wciskam następną monetę. Ręka mu dygocze. Potrzebuje dwa, i to szybko.

–Gliksiusz Pogromca Smoków.

–Właśnie jego mi potrzeba. Jesteś pewien?

–Absolutnie. Nadzoruje operację w mieście. Pracuje w Towarzystwie Przyjaciół. A książę daje im kasę. Sprowadzają”chóry anielskie”. Bardzo dobre. Bardzo mocne. I tanie.

Dopytuję się, skąd Kerk wie to wszystko.

–Proste – mówi. – Ceriusz mi powiedział. Nie powinien brać dwa. Gada później jak nakręcony.

Kerk wybucha śmiechem, co kosztuje jego zrujnowane ciało wiele wysiłku. Pytam go, kto dostarcza do miasta “chóry anielskie”, ale on nie wie. Staje się zbyt zdesperowany, żeby dodać coś więcej. Natarczywie wyciąga rękę. Daję mu jeszcze trochę forsy. Natychmiast pędzi po dwa.

Wracam do łóżka. Nie mam najmniejszej ochoty rozmyślać o tym, czego się właśnie dowiedziałem. Na nieszczęście w sypialni jest już za gorąco, żeby zasnąć. Otwieram okno. Kramarz zaczyna zachwalać swoje produkty i wdaje się w sprzeczkę z klientem. Z odrazą zamykam okno. W Dwunastu Morzach nie ma ucieczki przez upałem i hałasem. Nie cierpię tego.

W tej chwili pojawiają się z wizytą moi elfi klienci. Gdy otwieram drzwi, kłótnia na dole przeradza się w konkurs wrzasku i paru gapiów z radością bierze udział w ogólnym rejlwachu.

–Nie zwracajcie na to uwagi – mówię, zamykając drzwi. Elfy ze zdumieniem rozglądają się po wnętrzu, które przypomina pobojuwisko.

–Właśnie sprzątałem – wyjaśniam, kopniakami rozsyłając po kątach szczątki różnych gratów. Pech chce, że młoda Kaby ze swoim chłopakiem w ramionach wtacza się do mojego biura.

Puszczą Palaxa, a on osuwa się na podłogę i bezceremonialnie rzyga na dywanik.

–Przedawkował! – zawodzi dziewczyna. – Pomóż mu.

Ludzie na ulicy nadal wrzeszczą W pokoju jest gorąco jak w piecu Minarixy. Wszędzie walają się połamane meble. Twarz Palaxa robi się sina. Makri wpada z mieczem w dłoni, by zobaczyć, skąd to zamieszanie. Elfy są bliskie paniki.

–I jak wam się podoba nasze miasto? – pytam i proponuję im piwo.

Elfy wymawiają się od poczęstunku. Callis-ar-Del, ten młodszy, szybko wyciąga z torby sakiewkę, podchodzi do wymiotującego Palaxa i wkłada mu w usta malutki listek.

–Przełknij – poleca.

Kaby przynosi wodę. Pallax przelyka. Przestaje nareszcie wymiotować. Kolory wracają mu na twarz. Callis przez dłuższą chwilę trzyma jego głowę w rękach i koncentruje się. Palax zapada w sen.

–Nic mu nie będzie – mówi młody Elf, delikatnie układając głowę chłopaka na podłodze.

Jestem zaskoczony.

–Jesteś uzdrowicielem?

Callis przytakuje i odwraca się do Kaby, która kuca zatroskana obok swego śpiącego kochanka.

–Nie martw się – mówi Elf. – Nic mu nie będzie. Liść rośliny ledasy jest wielce skuteczny w usuwaniu trucizny z organizmu, a nadto ustabilizowałem barwy jego energii życiowej. Ale postępuje nieroztropnie zażywając dwa. To zły narkotyk.

–Wiem – przyznaje Kaby. – A “chóry anielskie” to najgorszy rodzaj. Nie wiedziałam, że je bierze, dopóki nie odkryłam, że przepuszcza nasze tygodniowe zarobki.

Kaby i Makri wynoszą Palaxa do ich budy na kółkach. Ja dziękuję Callisowi za pospieszenie mu na ratunek.

–Czy te liście ledasy są dobre na kaca?

Przytakuje, więc zabieram mu parę. Bystre są te Elfy. Gadają z drzewami i leczą kaca. Zaznajamiam ich z postępami śledztwa, choć w rzeczywistości nie mam ich z czym zaznajamiać. Prezentuję swoją teorię, że Czerwona Tkanina Elfów była w smoku, ale muszę przyznać, że jeśli nawet była, to wyparowała przed moim przyjściem.

Słuchają z zainteresowaniem i wydają się całkiem skorzy do dania wiary mojej teorii. Cóż, obilo im się o uszy, że jestem uczciwym i kompetentnym człowiekiem. To mi się podoba. Wychodzą zadowoleni, że przynajmniej się staram.

Makri wraca do mojego biura i melduje, że niebezpieczeństwo grożące Palaxowi

przeminęło.

–To więcej, niż zasługuje – mówię. – Powinien okazać się mądrzejszy i nie truć się tym nowym dwa. Jest za mocne. Narkomani w całym mieście będą brać swoje zwyczajne działki i w efekcie padać jak muchy.

–Ale jest w porządku, kiedy bierze się właściwą ilość – oświadcza Makri.

Zerkam na nią podejrzliwie.

–Tak słyszałam – dodaje.

Mam nadzieję, że sama nie oddaje się temu nałogowi.

–Elfowie kazali podziękować ci za pomoc przy Palaxie – mówię. – Musieli się do ciebie przyzwyczaić.

–Jestem wniebowzięta jak schlany najemnik – rzuca Makri sucho i wychodzi.

Poskrabiam trochę bałagan i pytam Gurda, czy przyśle służącego, żeby zrobił coś z moimi pokojami. Przyśle, ale nie za darmo. Wychodzę. Jestem umówiony w gimnazjone w Thamlinie, w miejscu kąpieli, ćwiczeń i wypoczynku arystokracji. To ogromnie szacowny przybytek. Tylko dla senatorów i ich rodzin. Żadnych dziewcząt ani chłopców do wynajęcia, przynajmniej nie jawnie. Po prostu senatorowie zażywają kąpieli, snują wspominki i rozprawiają o polityce, podczas gdy ich synowie przysłuchują się z szacunkiem. Jak we wszystkich gimnazjonach, kobietom wstęp wzbroniony. To jedna z rzeczy w Turai, która niepomrotnie wkurza Makri, chociaż twierdzi, że mając wybór wolałaby nie oglądać nagich, sflaczałych ciał tutejszych bogaczy i arystokratów.

I choć sflaczałych ciał tu nie brakuje, czuję się skrępowany, gdy brodzę nagi obok młodych atletów baraszkujących w wodzie albo spoczywających na leżankach i pozwalających nacierać się oliwą. Wolałbym okręcić się ręcznikiem, ale to wzbudza powszechną dezaprobatę. Czuję się bardziej na luzie, kiedy docieram do sali na końcu gimnazjonu, gdzie gromadzą się podstarzali senatorowie i ich słudzy, w większości równie niewysportowani jak ja. I też mają mniej włosów.

Gimnazjon to kolejny cud architektury w Turai. Zdobi go mnóstwo wspaniałych fryzów, posągów i rzeźb. Niestety, nie jestem w nastroju, aby docenić ich piękno. Przyszedłem porozmawiać z Ceriuszem, ale on nie chce ze mną gadać. Ciągnę go do prywatnej alkowy i siłą sadzam na ławie. Jest chudy i ma długie włosy. Znowu czuję się śmiesznie bez porządnej workowatej tuniki, która zatuszowałaby moją otyłość.

–Pracuję dla twojego ojca.

Ceriusz natychmiast nabiera wody w usta i wbija wzrok w stopy. Mimowolnie ściska w rękach papierową tutkę z winogronami, które służący rozdają tu za darmo.

–Powiedz mi o tym – nalegam.

Ceriusz zachowuje wrogie milczenie. We wnętrzu marmurowego gimnazjonu jest nieco chłodniej niż na prażonych słońcem ulicach, ale to nie niesie ulgi. Nachodzi mnie silne pragnienie, aby zostawić tego głupiego młokosa i wskoczyć do basenu. Myślę o swoich długach i próbuję jeszcze raz.

–Za tydzień staniesz przed sądem, Ceriuszu. Handel dwa to poważne przestępstwo. Koneksje twojej rodziny nie wystarczą, żeby cię wyciągnąć, ponieważ wicekonsul Rycjusz jest oskarżycielem i wrogiem twojego ojca. Chcesz zobaczyć, jak twój ojciec popada w niełaskę?

Zero reakcji.

–Chcesz skończyć przykuty do wiosła na galerze?

Ceriusz wsuwa do ust winogrono. Zastanawiam się, czy mu nie przyłać. Lepiej nie, wokół jest zbyt wielu senatorów. Po prostu nie mogę nakłonić go do mówienia. Nie rozumiem tego.

–Kogo chronisz? Księcia? Wycisną to z ciebie w sądzie, równie dobrze więc możesz sypać tutaj. Przynajmniej wyniknie z tego coś dobrego dla ciebie.

Ceriusz siedzi zacięty w ponurym milczeniu. To beznadziejne.

–Sam się tego dowiem, żebyś wiedział. Przystudiuję twoją przeszłość w kałuży kuriyi i zobaczę, skąd pochodzą “chóry anielskie”.

Znienacka na twarzy młodzieńca pojawia się udręka.

–Nie! – błaga.

–Dlaczego nie? Kogo się boisz?

Ceriusz podnosi się i wybiega. Zostawia torebkę z winogronami. Patrzą, jak odchodzi, a potem podnoszę tutkę i częstuję się resztą owoców. Zauważam, że nabazgrał coś na papierze. Dziwaczne, szpetne kształty, naszkicowane atramentem. Powoli podnoszę się z ławy. Po drugiej stronie sali widnieje fresk przedstawiający dwie piękne nimfy wodne swawolące z młodzieńcem o uskrzydłonych stopach. Szczęściarz. Wywlekam swoje cielsko na zewnątrz. Cieszę się, że wychodzę. Wszystkie te młode ciała sprawiają, że czuję się stary.

Idę Bulwarem Księżycy i Gwiazd do centrum miasta, a potem na skróty przez zrujnowaną świątynię świętego Izyniusza. Mijam pękniętą kolumnę, kiedy znienacka coś uderza w marmur przede mną. Odłamki marmuru sypią mi się na głowę. Uginam nogi w kolanach i obracam się na pięcie, ze szpadą w dłoni. W polu widzenia nie ma żywego ducha. Człapię cichutko wokół kolumny, potem przez zwieńczone łukiem przejście. Nadal nikogo. Nawet śladu stopy w suchej jak pieprz ziemi. Ruiny są milczące, a kiedy wciągam nosem powietrze, niczego nie czuję. Bardzo ostrożnie wracam do kolumny. Domyślam się, co w nią uderzyło.

Na ziemi leży długi bełt. Wlepiam w niego oczy i ani trochę nie przypada mi on do gustu. Kusza jest zabójczą bronią, nieskończenie potężną. Można przeszyć bełtem solidną zbroję, zdjąć rycerza z konia z odległości stu metrów. Niespokojnie trącam palcem bełt, zastanawiając się, kto go wystrzelił. Nie słyszałem, by zabójcy używali takiej broni. Ani Towarzystwo Przyjaciół. Bardzo dziwne. Wkładam bełt do torby i ruszam dalej, ze szpadą w pogotowiu. Mój oręż przyciąga zdziwione spojrzenia, kiedy wychodzę z ruin i wracam na główną ulicę.

“Pod Mściwym Toporem” Gurd, niewprawy czytelnik, z wyraźnym bólem przedziera się przez szpalty “Słynnej i wiarygodnej kroniki”.

–Paskudna broń – mówi.

–Że co?

–Kusza. Wczoraj w Kushni zabity został boss Bractwa. Bełt przeszył mu szyję.

Czytam doniesienie. W ciągu dwóch dni zginęli dwaj drudzy co do ważności ludzie Bractwa, obaj ustrzeleni z kuszy. Wydaje się, że przy pomocy kusznika Towarzystwo Przyjaciół może być górami w wojnie narkotykowej. Najpewniej ta sama osoba strzelała do mnie. Kusznictwo to wyspecjalizowana sztuka. Trzeba przejść gruntowne i długotrwałe szkolenie, zanim człowiek nauczy się z daleka trafiać ludziom w szyję.

Później Makri zastanawia się, dlaczego Towarzystwo Przyjaciół miałyby do mnie strzelać. Przecież nie dlatego, że jestem w nienajlepszych stosunkach z Bractwem, to bez sensu. Nie potrafię wymyślić wyjaśnienia. Jeśli Towarzystwo nadal uważa, że mam Czerwoną Tkaninę Elfów, to zabijając mnie niczego nie zyska. Może po prostu jestem dobrym celem ćwiczebnym.

W moich pokojach na powrót panuje jaki taki porządek. Czas pomyśleć o małych czarach.

Gapię się z furią w kałużę kuriyi. Widzę Czarowną Polanę. Przypuszczam, że magiczna kałuża po raz kolejny robi mnie w konia. Co zyskuję po długim czasie wprawiania się w trans w celu uzyskania informacji? Widok miejsca, gdzie moja była żona miała schadzki z młodym magiem. Myślałem, że to już przeszłość, ale widocznie ta sprawa nadal mi doskwiera i zaburza odbiór. Każdy silny obraz z umysłu może spowodować zaburzenia. Młodzi adepci magicznego rzemiosła często widzą portrety swoich ulubionych aktorek. Podobnie zresztą jak kwalifikowani magowie.

To resztką mojej kuriyi. Strata czasu i pieniędzy. Z rozgoryczeniem mam zamiar się poddać, kiedy przyjemna wizja trawy i kwiatków nagle ciemnieje i w kałuży zaczyna formować się wrogie oblicze. Próbuję przerwać połączenie, ale jest już za późno. Wpadam w pułapkę i brak mi mocy, żeby się wyrwać.

–Paskudny błąd, Thraxasie – warczy złowrogi wizerunek. – Nie powinienes wchodzić mi w drogę. Myślałem, że jesteś mądrzejszy.

–Do licha, kim jesteś? – pytam.

–Nazywam się Horm Martwy.

Kurczę się ze strachu. Oblazi mnie gęsia skórka. Jestem przerażony. Próbuję tego nie okazać.

–Miło cię poznać, Horm. Ale mam parę rzeczy do załatwienia i...

Horm wywarkuje jakieś złe zaklęcie i mój pokój wybuchą. Zostaję oślepiiony przez palące światło i ciśnięty na ścianę. Biurko wali mnie w piersi, a kawałki potłuczonego szkła sypią się na moją głowę, gdy osuwam się na podłogę. Przybiega Makri, zwabiona hałasem. Leżę potłuczony i zdezorientowany pod stosem połamanych mebli. Makri ściąga ze mnie biurko, a potem pomaga mi stanąć na nogach.

–Co się stało?

Po chwili odzyskuję oddech.

–Wiadomość od Horma Martwego – chrypię w końcu.

Makri dobywa miecza i obraca się w kółko.

–Nie tutaj. W kałuży. Przesłał zaklęcie.

–To możliwe?

–Nie. Przynajmniej tak mnie kiedyś uczono. Przypuszczam, że Horm Martwy może znać sztuczki, o których na zachodzie nikomu się nie śniło.

Makri wybucha śmiechem.

–Co cię tak bawi?

–Jesteś upaprany atramentem.

–Makri, ledwo przeżyłem atak jednego z najpotężniejszych magów świata. Nie widzę w tym nic zabawnego.

Makri śmieje się jeszcze głośniej.

–Nie powinienesz zastawiać swojego zaklęcia ochronnego. Dlaczego Horm próbuje cię zabić?

Naprawdę nie umiem powiedzieć. To kolejna rzecz, w którą wdepnąłem na ślepo. Ale skoro Horm zdemolował mi pokój, to znaczy, że jestem bliżej jego ciemnych sprawek, niż bym sobie życzył.

Nawet Makri słyszała opowieści o złowrogiej mocy Horma Martwego.

–Czy mi się wydaje, czy też naprawdę kiedyś się zarzekałeś, że nigdy z nim nie zadrzesz?

Wzruszam ramionami z udawaną beztroską. Makri nie daje się zwieść. Wygłasza przemowę na temat głupoty zajmowania się zbyt wieloma sprawami na raz.

–Już nawet nie wiesz, dlaczego ludzie nastają na twoje życie.

–Powtarzam ci, że potrzebuję pieniędzy.

–Nie powinienesz zaciągać długu u Bractwa.

–Myślisz, że tego nie wiem? Nie mogłabyś zrobić czegoś pożytecznego zamiast przez cały czas prawić mi kazania?

Nie lubię zadawać się z potężnymi magami. Powinienem trzymać się spraw rozwodowych.

Gurdjest wściekły z powodu pokoju, zniszczonego trzy razy w ciągu trzech dni. Nowy rekord. Mruczy ponuro, że znajdzie najemcę, który nie będzie mu niszczyć mebli, dlatego muszę skierować rozmowę na Tanrose, na co naprawdę nie mam czasu.

Później opowiadam Makri o najnowszych postępach w sprawie Ceriusza i o ataku kusznika.

–Zużyłem resztkę kuriyi, szukając jakichś poszlak, ale wszystko, co zobaczyłem, to Czarowna Polana.

–Jak wygląda?

–Jak kałuża czarnego atramentu.

–Nie kuriya, idioto. Czarowna Polana.

–Aha. Cóż, we śnie jest idylliczna. W powietrzu latają wróżki, jednorożce przemykają wśród drzew, nimfy i driady grają na fletach, są też piękne kwiaty, skrzące się strumienie... Powinnaś to zobaczyć, Makri, spodobałoby ci się.

–Może. Zasłużyłam na odrobinę spokoju po roku życia w tym cuchnącym mieście. Ale Gurd mówi, że nie może tam wejść nikt z orkijską krwią w żyłach.

To prawda. Czarowna Polana leży głęboko w lasach, daleko od miasta, i jest chroniona przez różnorodną naturalną magię, która między innymi chroni ją przed wstępem Orków.

–Jesteś Orkiem tylko w jednej czwartej, ale także w jednej czwartej Elfem. Wróżki są łaskawe dla Elfów. Może cię wpuszczą.

Makri mówi, że ma już tak dosyć poniżania ze strony ludzi, że nie zamierza ryzykować odrzucenia przez wróżki, nimfy i driady.

Zastanawiam się, dokąd przed laty udali się moja żona i młody mag po ucieczce na Czarowna Polanę. Chyba nie zostali tam na długo. Żaden człowiek nie może spędzić nocy na Polanie. Sen morzy, nawet gdy się z nim walczy, a wraz z nim nadchodzą majaki, które doprowadzają do obłądu. Dosłownie. Co roku parę romantycznych albo ryzykanckich młodych dusz próbuje tej sztuki i wynik nieodmiennie jest taki sam; odchodzą, żeby szczerząc gdzieś w ostępach albo kończą w Turai, żebrząc na rogach ulic. Czarowna Polana nadaje się wyłącznie do dziennych odwiedzin.

Makri mówi, że na ulicach odbywają się wiece i oratorzy płomiennie przemawiają do gawiedzi. Miała okazję zobaczyć, jak grupa uzbrojonych ludzi rozpędza jedno z takich zgromadzeń.

–Wybory. Urząd wicekonsula jest do wzięcia.

–I co z tego?

–Nie wiesz nic o mieście, w którym mieszkasz?

–Nie.

Przypominam sobie, że Makri nie przebywa w Turai dość długo, by widzieć poprzednie wybory, wyjaśniam jej więc, że wicekonsul stoi zaraz za konsulem, który jest pierwszy po królu, i że co dwa lata następuje zmiana na tym stanowisku.

–Zawsze zajmowali je Tradycjoniści, którzy popierają króla, ale ostatnim razem Rycjusz wygrał je dla Popularów. Od tej pory partia Lodiusza urosła w siłę. Bez wątplenia wiąże się to z faktem, że rodzina królewska wysysa miasto do sucha. Cycleriusz próbuje odzyskać stanowisko dla Tradycjonalistów.

–Skąd więc te wszystkie walki?

–Taka jest polityka w Turai. Nikt nie wygrywa wyborów bez podkupienia części głosujących i nastraszenia innych. Tradycjoniści generalnie zatrudniają członków Bractwa jako swoich bojówkarzy, a Popularzy korzystają z usług Towarzystwa Przyjaciół.

Makri pyta, czy jest uprawniona do głosowania, a ja mówię jej, że nie, kobietom nie wolno głosować. To wprawia ją w paskudny nastrój, którego nie poprawia moje stwierdzenie, że żaden z kandydatów nie jest wart oddawania głosu.

–Nawet przedstawiciel Popularów? Chyba demokracja to nic złego?

–Możliwe – przyznaję. – Ale nie zagwarantuje jej żadna partia, na której czele stać będzie Lodiusz. To człowiek bezwstydnie ambitny i na domiar złego zimny jak serce Orka. I pewnego dnia wyciągnie ręce po władzę, niezależnie od tego, czy jego partia wygra wybory, czy nie. Król powinien kazać go zlikwidować dawno temu.

–Dlaczego tego nie zrobił?

–Zbyt późno zrozumiał zagrożenie i teraz jest przerażony. W dzisiejszych czasach Lodiusz cieszy się ogromnym poparciem – bogaci kupcy, niezadowoleni arystokraci, ambitni generałowie i tak dalej. Powiem ci, Makri, nie warto się angażować.

Rozgrywamy partyjkę niarita. Wygrywam. Makri jest urażona.

–Co to jest? – pyta, podnosząc kawałek papieru.

–Torba na winogrona. Minus winogrona.

–Ale tu jest coś napisane.

–Napisane? – powtarzam, wpatrując się bacznie w bezsensowne bazgroły.

–Nie poznasz dolnoorkijskiego?

–Nie. A co to takiego?

–Język orkijskich nizin społecznych. Nie jest to ani powszechny orkijski, ani żaden z ich języków narodowych, ale swego rodzaju pidżyn, jakim ludzie, Orkowie i inni posługują się na Pustkowiach. Mówią nim na arenach.

Zaskoczyła mnie. Poznałbym standardowe orkijskie litery, ale nie miałem pojęcia, że istnieje pisana forma plebejskiego języka Orków.

–Co tam jest napisane?

–Ładunek albo dostawa... w miejscu ducha trawy. Miejsce ducha trawy? Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Wzdycham. Natychmiast pojmuję, o co chodzi.

–Domyślam się, Makri, że miejsce ducha trawy to w dolnoorkijskim Czarowna Polana. Być może zobaczysz ją prędzej niż myślisz.

Makri zastanawia się na głos, dlaczego Ceriusz, syn pretora, miałby posługiwać się wiadomością napisaną po orkijsku.

–Zastanawiałem się nad tym samym. Jeśli nawet książę i Ceriusz, jak mówi Kerk, naprawdę są importerami dwa, to nie pojmuję, jaki mogą mieć związek z Orkami. Chyba że wiadomość pochodzi od Horma... co wyjaśniałoby przysłane przez niego ostrzeżenie. Jeśli Ceriusz zadawał się z Hormem Martwym, to nie dziwota, że jest przerażony. Mnie też ten typ przeraża.

–Czy Horm jest handlarzem dwa

–Możliwe. Sam je bierze, a handel narkotykami jest wystarczająco opłacalny, żeby go zainteresował.

–Są dwie litery na końcu wiadomości – kontynuuje Makri. – S i B, jak sądzę. Mówi ci to coś?

Potrząsam głową. Makri ma wolne popołudnie i wybiera się na wykład filozofii teologicznej Samanatusa, jednego z czołowych myślicieli Turai. Po obaleniu paru piw i po sesji głębokich rozważań dochodzę do przekonania, że też zaliczam się do grona myślicieli.

Przybywa posłaniec od Bractwa.

–Yubaxas robi się niecierpliwy – oznajmia.

Wyrzucam go z baru.

–Mam jeszcze dwa dni. Powiedz Yubaxasowi, że dostanie swoje pieniądze.

Mobilizuje mnie to do działania, wracam do rozmyślań o tkaninie. Wyobrażam sobie, że jestem blisko i co więcej, kiedy ją znajdę, będę w stanie oczyścić z podejrzeń księżniczkę.

Pretor Cycleriusz wchodzi do baru w swojej niebiesko lamowanej todze, ku powszechnej konsternacji zgromadzonych opojów. Gapią się z rozdziawionymi gębami, gdy podchodzi do mnie i wita się uprzejmie. Nieźle, myślę, mieć samego pretora jako klienta. Może zyskam więcej szacunku.

Idziemy na górę i słyszę od niego ponure wieści.

–Detektyw Tupariusz dowiedział się, że księżę Frisen-Akan płaci Hermowi Martwemu za sprowadzanie dwa do Turai. Co więcej, księżę wystawił imienną akredytywę, żeby uregulować należność. Jeśli to się wyda, rząd upadnie. – Pretor ze smutkiem potrząsa głową. – Mój syn jest zamieszany w przerzucanie narkotyków od tego zdegenerowanego półkrwi Orka do księcia Frisen-Akana. To przerasta moje najgorsze wyobrażenia. Jak wyjaśnię to konsulowi Kaliuszowi? Pomyśl o straszliwych następstwach, jeśli wieść się rozniesie! Już wcześniej było źle, ale Popularzy mogli skompromitować tylko mnie. Teraz dochodzi Frisen-Akan. Skoro sam księżę jest wplątany w tę aferę, to jaką szansę w wyborach mają Tradycjoniści?

Cycleriusz upiera się, że nie zależy mu na zdobyciu urzędu wicekonsula dla siebie, że chodzi mu wyłącznie o dobro miasta. Dziwne, ale mu wierzę. Chce wiedzieć, co mam zamiar zrobić.

–A co zamierza Tupariusz? – pytam.

–Nic. Po przekazaniu mi tych informacji został zamordowany w drodze do domu. Dostał bełtem w szyję.

–Sprawiasz, że to dochodzenie nie wydaje się zbyt pociągające, pretorze. Co z wezwaniem Straży Obywatelskiej?

–To niemożliwe. Wielu strażników winnych jest posłuszeństwo Rycjuszowi. Nie możemy pozwolić, żeby ten skandal zatoczył szersze kręgi. Będziesz musiał odzyskać akredytywę i zadbać, żeby imię księcia nie zostało włączone do sprawy.

Cycleriusz zauważa mój brak entuzjazmu i kwaśno pyta, w czym rzecz. Mówię mu, że każdy człowiek ma ograniczone możliwości. Nawet ja.

–Jeśli sprawa dotyczy Horma Martwego, Gliksiusza Pogromcy Smoków i księcia Frisen-Akana, nic dziwnego, że twój syn jest przerażony. Sam mam nielicznego pietra. Popatrz tylko, co spotkało Tupariusza. Czego się po mnie spodziewasz? Tą sprawą powinno się zająć państwo. I co? Nic. Nie podejmuje żadnych działań, bo połowa miasta siedzi w kieszeni u tych ludzi. Jeśli chcesz powstrzymać Gliksiusza Pogromcę Smoków od sprowadzania dwa za pośrednictwem Horma Martwego, to znajdź sobie kogoś innego do tej roboty.

–Nie proszę cię o nic takiego – odpowiada Cyceriusz. – Ale nie wolno dopuścić, żeby mój syn został uznany winnym. A księżę Frisen-Akan nie powinien być w to wmieszany.

–Co będzie trudne, gdyż podanie jego nazwiska jest jedynym sposobem, żeby wyciągnąć twój syna.

Cyceriusz przeszywa mnie stalowym spojrzeniem i pyta, czy jestem świadom wagi całej tej afery.

–Tak. Najpewniej zostanę zabity.

–Dla tego miasta są rzeczy ważniejsze niż twoje czy moje życie. Jeśli wicekonsulowi Rycjuszowi uda się skazać Ceriusza i zhańbić imię rodziny królewskiej, wygra wybory. Kiedy tak się stanie, więcej senatorów przejdzie do partii Lodiusza. Popularzy zyskają większość w senacie. Turai zostanie rozdarte na części. Lodiuszowi zależy ni mniej, ni więcej, tylko na obaleniu monarchii, i nic nie będzie w stanie go powstrzymać. Uzyskał poparcie dla swojej partii obietnicami demokratycznych reform, ale jego prawdziwym celem jest przejęcie władzy.

Jak już mówiłem, moje zainteresowanie polityką Turai jest mniej niż skromne, lecz zdaję sobie sprawę, że Cyceriusz prezentuje skrajnie jednostronny punkt widzenia. Wielu ludzi popiera Popularów senatora Lodiusza nie bez powodu. Biedota miejska nie ma w senacie absolutnie żadnego reprezentanta. Arystokraci są wysoko opodatkowani, by płacić za luksusy rodziny królewskiej. Nasi kupcy, niektórzy wręcz obrzydliwie bogaci, są jeszcze bardziej obłożeni podatkami i mają w senacie tylko status obserwatora. W Czcigodnym Stowarzyszeniu Kupców dają się słyszeć pomruki, że skoro płacą państwu tak wysokie podatki, to powinni mieć coś do powiedzenia w jego rządzie. To samo rozciąga się na mniejsze gildie i cechy, znane niegdyś z gorliwej lojalności wobec króla. Tak więc król stoi w obliczu przymierza niezadowolonych arystokratów, potężnych kupców i miejskich rzemieślników. Nie może poddać mu się bezwolnie, lecz z drugiej strony jest ono zbyt silne, aby je zmieść z powierzchni ziemi. Lodiusz sprytnie wykorzystał niezadowolenie różnych stanów. Gdybym głębiej zastanowił się nad tą sprawą, mógłbym zacząć z nim sympatyzować. Ostatecznie, Turai zdecydowanie podupadło w ciągu minionych dwudziestu lat.

Na nieszczęście Cyceriusz ma kartę atutową.

–Wiesz, że w tej chwili wicekonsul Rycjusz przygotowuje listę ludzi, którym nie będzie wolno pracować w tym mieście? Jest na niej twoje nazwisko, Thraxasie. Jeśli zostanie ponownie wybrany, stracisz licencję.

Nie jestem pewien, czy Cyceriusz mówi prawdę. Możliwe.

–W porządku, pretorze Cyceriuszu, zobaczę, co da się zrobić. Napisz mi list polecający.

–List polecający?

–Do księcia Frisen-Akana. Muszę z nim pogadać. Rozchmurz się, pretorze, nie rób takiej zatrwożonej miny. Obiecuję, że będę grzeczny.

Wypijam parę piw i ruszam na poszukiwanie kapitana Rallee. Znajduję go dość szybko. Kieruje usuwaniem stosu martwych ciał z rogu ulicy. Śmierdziuszki krążą dokoła, zainteresowane perspektywą wyżerki.

–Kolejny atak Towarzystwa?

Kiwa głową. Przyjaciele zaczynają brać górę w wojnie z Bractwem.

–To ten przeklęty kusznik. Zabił czterech szefów Bractwa w ciągu dwóch dni.

Kapitan mówi mi, że “chóry anielskie” zalewają miasto jak powódź. Są teraz tańsze niż zwyczajne dwa.

–Oczywiście, nie na długo. Na tyle, żeby ci biedni durnie się uzależnili.

Wspominam Horma Martwego. Kapitan okazuje zainteresowanie, choć wszystko, co dzieje się tak daleko od miasta, wykracza poza jego kompetencje. Żadne państwo nie ma skutecznej kontroli nad bezprawiem panującym na Pustkowiach.

–Towarzystwo Przyjaciół monopolizuje rynek. Bractwo będzie musiało uderzyć wszystkimi pozostałymi siłami. I bez tego sytuacja jest wystarczająco zła z powodu wyborów.

–Jak Towarzystwo poradziło sobie z taką wielką operacją?

Kapitan wzrusza ramionami, co może oznaczać wszystko i nic. Wyższe szarże Straży Obywatelskiej nie są nieprzekupne. Ani starsi urzędnicy miejscy. Mając do czynienia ze swoimi zwierzchnikami, kapitan Rallee nigdy nie wie, czy przypadkiem nie rozmawia z kimś, kto sam czerpie zyski z handlu narkotykami. Znalezienie w mieście wpływowej osoby, która w taki czy inny sposób nie brałaby w tym udziału,

jest praktycznie niemożliwe. Kapitan Rallee i jego strażnicy mogą robić tylko jedno: próbować zachować spokój w mieście i sprzątać zwłoki.

–Czy Gliksiusz Pogromca Smoków nadal pracuje dla Towarzystwa? – pytam.

–Zacznijmy od tego, iż nigdy nie zdobyliśmy dowodu, że z nimi współpracował.

–Cóż, z pewnością tak było, kiedy przeganiał mnie przez kanały wraz z bandą Przyjaciół.

Kapitan ponownie wzrusza ramionami. Gliksiusza Pogromcy Smoków nie ma na listach gończych, nie można też udowodnić, że popełnił jakieś przestępstwo. Skłania mnie to do zastanowienia, komu dał w łapę.

–Wybacz – mówi kapitan. – Mam robotę. Jakaś banda napadła na pielgrzymów w świątyni świętego Kwantyniusza. Nie zdarzało się to od kilku lat. Ludzie przyzwyczaili się do traktowania ich z pewnym poszanowaniem. Od kiedy połowa miasta uzależniła się od dwa, wszystko schodzi na psy.

Posłaniec Straży Obywatelskiej przybywa w wielkim pośpiechu i mówi, że strażnicy muszą piorunem stawić się w Kushni, gdzie znów ma miejsce konfrontacja między dwoma uzbrojonymi po zęby gangami. Strażnicy pędzą tam co koń wyskoczy, a wkrótce potem widzę, jak ludzie Bractwa gnają z mieczami w dłoniach, kierując się na północ. Kapitan Rallee może mieć rację. Wszystko schodzi na psy. Co więcej, upał jest nie do zniesienia.

Makri wraca z wykładu filozofii Samanatiusa. Przepelnia ją entuzjazm.

–To wielki człowiek – pieje z zachwytu.

Pot spływa jej po karku. Oblewa wodą głowę i ramiona, opowiadając mi o wykładzie. Ma to coś wspólnego z naturą wiecznych form i ludzką duszą, ale większość wpuszczam jednym, w wypuszczam drugim uchem.

–Zadałam mu pytanie, na które natychmiast odpowiedział – mówi Makri. – I nie patrzył na mnie z pogardą. Aha, przy okazji, przypomniałam sobie, kto ma inicjały S.B.

–Słucham?

–S.B. Orkijskie inicjały na torbie, pod wiadomością. To może być Sarin Bezlitosna.

Wybucham śmiechem.

–Co w tym zabawnego?

–Sarin Bezlitosna, Prędziej Sarin Kiciusia. Pamiętasz, opowiadałem ci kiedyś, jak wypędziłem ją z miasta. To zero. Jeśli jest najlepszym osiłkiem, jakiego może znaleźć Horm, to nie muszę się martwić. Mogę zacząć rachować forszę z nagrody. Teraz idę na spotkanie z księciem.

W drodze z pałacu do domu mijam trzy trupy i wielu rannych. Dwaj ludzie chcą wiedzieć, na kogo będę głosować. Wyciągam szpadę.

–Zapiszcie mnie jako niezdecydowanego – warczę.

Na rogu Ulicy Kwintesencji zgromadził się tłum. Patrzą na młodego faceta, który codziennie sprzedawał tam dwa. Interes został zlikwidowany wraz z nim. W jego karku tkwi bełt wystrzelony z kuszy. Nabieram apetytu na cztery lub pięć piw.

–Jak poszło? – pyta Makri.

Z dezaprobatą zauważam, że ma kółko w nosie.

–Palax i Kaby mi przekłuli. Nie podoba ci się?

Potrząsam głową. Jestem za stary na te zagraniczne fanaberie.

–Czy nie powinnaś starać się wyglądać normalnie, Makri, skoro chcesz wstąpić na Imperialny Uniwersytet?

–Może – przyznaje. – Ale chciałam mieć kółko w nosie. Myślisz, że mogę przekłuć sutki?

–A po co? Kto i kiedy je zobaczy? Nigdy nie miałaś kochanka.

–Ale mogłabym mieć, gdyby wszyscy ludzie w Dwunastu Morzach nie byli takimi mętami. Myślisz, że elfi uzdrowiciel znów do ciebie zawita?

–Tak. Ale jeśli zobaczy cię z przekłutymi sutkami, wpadnie w panikę. Dla Elfów samookaleczanie to tabu.

Makri uważa, że prawdopodobnie nakłoni go do zmiany poglądów. Nie chcę na ten temat dyskutować.

–Co się stało w pałacu? Jaki jest książę?

Wzdycham. Nie mam najmniejszej ochoty na opisywanie, jaki jest książę.

–Wszystkie historie o księciu Frisen-Akanie są prawdziwe. Poza tym, że jest głupi jak Ork, to na pewno największy narkoman w mieście. Nie wspominając o takich drobiazgach, jak nałogowe pijaństwo, palenie thazis i uzależnienie od hazardu. Jest zadłużony po uszy i ogólnie rzecz biorąc, to zdegenerowany śmieć. Wprost nie mogę się doczekać jego wstąpienia na tron. Przy okazji, wczesnym rankiem wyruszam na

Czarowną Polanę.

–Po co?

–Żeby przejąć dwa, które ksiązę sprowadza do miasta dla Horma Martwego.

–Co?

Potrząsam głową i opowiadam Makri całą tę smutną historię. Nie dość, iż ksiązę Frisen-Akan jest tak beznadziejnie uzależniony od dwa, że ledwo zdaje sobie sprawę z tego, co robi, to jeszcze ma tak wielkie długi u wielu osób, że wyciszenie sprawy staje się niemożliwe.

–Dlatego postanowił sprzedawać dwa, żeby zarobić trochę forsy.

Makri wybucha śmiechem. W pewien sposób to zabawna koncepcja. Sam ksiązę też jest zabawny.

–Dostawał drobne partie towaru od Ceriusza. Na nieszczęście to nie wystarczało, postanowił więc spróbować czegoś większego. Wyłożył pieniądze na tę transakcję. Tylko wariat mógł tak postąpić, bo jeśli król się dowie, skaże go na wygnanie. Co nie traziłoby mnie ani trochę, gdyby ksiązę nie wciągnął Ceriusza w swoje szaleństwo. Jeśli cała sprawa wyjdzie na jaw, Ceriusz prawdopodobnie skończy jako kozioł ofiarny.

–Wywal swojego klienta – radzi Makri.

–Chciałbym, ale nie mogę. Wszystko stało się zbyt skomplikowane. Jeśli syn Cyceriusza trafi do więzienia, Cyceriusz przegra wybory. Kiedy tak się stanie, ja stracę licencję. Poza tym Cyceriusz zaproponował mi dodatkowe pieniądze za przejęcie dwa i przywiezienie transportu do miasta. A dokładnie, za przywiezienie listu.

–Jakiego listu?

–Listu, który wysłał ksiązę, akceptując zapłatę.

Makri sapie. Ja też sapnałem, kiedy usłyszałem o tym od księcia, który w rzadkim przebłysku świadomości zdał sobie sprawę, że wysyłanie listu akceptującego zapłatę za sześć worków nielegalnego narkotyku i sygnowanie tegoż listu własną pieczęcią nie było najbardziej rozsądną rzeczą pod słońcem.

Jeśli opinia publiczna dowie się o tym, to może doprowadzić do odwołania wyborów. Popularzy dostaną zwycięstwo na tacy. Mieszkańcy Turai wybaczą rodzinie królewskiej wiele rzeczy, ale nie hurtowy handel narkotykami z szalonym

orkijskim czarnoksiężnikiem. Zwłaszcza że w tej chwili księżniczkę czeka proces za zabicie smoka. Biedna rodzina królewska. Niemal zaczynam jej współczuć.

–Nie powinieneś się mieszać – mówi Makri.

–Cyceriusz zapłaci mi sześćset guranów, jeśli zdołam wykaraskać Ceriusza i księcia.

–Idę naostrzyć miecze.

Wynajmujemy parę koni i wyprawiamy się wczesnym rankiem. Nie wiem, kto dostarczy książęcą akredytywę na Polanę, więc zamierzam przybyć tam pierwszy. Albo spróbuję przejąć dokument, albo capnąć dwa, a list dopiero później. Makri ma przy sobie swój zwykły zestaw oręża, łącznie z jakimiś gwiazdkami do rzucania, których wcześniej u niej nie widziałem.

–To broń zabójców, prawda?

Przytakuje.

–Tamtej nocy zobaczyłam je u pasa Hanamy. Pomyślałam, że mogę wypróbować.

Ulice są jeszcze puste, pomijając jedno czy dwa ciała z nocnego starcia gangów i wszechobecnych żebraków. Prawie uodporniłem się na ich widok, choć niektórzy są tak żalosi, że sztuką jest pozostanie niewzruszonym. Widzę matki z kalekami dziećmi, żołnierzy, którzy powrócili z wojen bez nóg i emerytury, ślepców z bielmem na oczach. Turai nie jest miejscem przyjaznym dla starych, chorych czy samotnych. Robi mi się smutno na myśl o własnej przyszłości. Nie będzie komu mnie niańczyć, gdy zdziecinieję na stare lata.

Czarowna Polana leży dwie bite godziny jazdy od miasta, na wschód, przez pola uprawne i winnice na wzgórzach. Leży w głębi wielkiego lasu, który pełni rolę granicy między Turai i Misanem, naszym małym wschodnim sąsiadem. W Misanie, składającym się z małych wiosek i gromad koczowników, niewiele się dzieje. Dalej rozpościera się ogromny obszar coraz większych pustkowi i terytoria bezprawia, a za nimi leżą ziemie Orków.

Gliksiusz Pogromca Smoków ma jutro zabrać “chóry anielskie” z Polany. Towar został dostarczony przez Horma Martwego.

–Dlaczego miejscem dostawy jest Czarowna Polana? – pyta Makri.

–Gliksiusz się uparł. Wie, że Horm jako pół-Ork nie ma wstępu na Polanę. Domyślałam się, że Gliksiusz kompletnie mu nie dowierza i chce, żeby towar dostarczyć tam, gdzie będzie mógł sprawdzić go bez strachu, że Horm go wykiwa

albo ukradnie książkę akredytywę bez dostarczania towaru. Jakoś musimy przejąć ten dokument.

To, czy Makri wejdzie na Czarowna Polanę, dopiero się okaże. Niezależnie od tego, jakie duchy strzegą tego miejsca, nie mogą być przyzwyczajone do kogoś z orkijską, elfią i ludzką krwią w żyłach. Kazałem Makri uśmiechać się i myśleć pozytywnie. Wróżki to lubią.

Okoliczne tereny są spalone słońcem i suche. Wokół miasta ziemia jest nawadniana przez szeregi małych kanałów zasilanych przez rzekę, ale dalej położone pola są martwe. Ziemia była wykorzystywana zbyt intensywnie i teraz jałowuje, co jest kolejną rzeczą przysparzającą zmartwień Turai. Kawalek dalej, gdzie teren wznosi się stopniowo i drzewa stają się liczniejsze, roślinność wygląda całkiem zdrowo. Na te wzgórza spada więcej deszczu niż na miasto. Astrath Potrójny Księżyc wyjaśnił mi kiedyś przyczyny, ale zdążyłem o nich zapomnieć. Na horyzoncie majaczy już knieja. Zerkam w niebo. Nie lubię tu przebywać. Na takiej przestrzeni czuję się bezbronny. Jestem zbyt przyzwyczajony do miasta. Ostatnio nieczęsto jeździłem konno i już mam otarcia od siodła. Makri jedzie na oklep jak barbarzyńca. Wydaje się, że skwar się jej nie ima, choć ma na sobie zbroję ze skóry i stalowych ogniwek. Ma też topór przytroczony do pasa i dwa miecze skrzyżowane na plecach. Oboje mamy lekkie hełmy z przyłbicami.

Przed nami pojawia się niewielka kępa drzew, a dalej zaczyna się właściwa puszcza.

–Jeszcze nigdy nie byłam w lesie – mówi Makri.

Horm Martwy wyjeżdża z kępy, a za nim dwudziestu orkijskich wojowników.

–To może być bardzo krótka wizyta.

Spomiędzy drzew wyłaniają się następne dwie dziesiątki Orków w towarzystwie uzbrojonych po zęby ludzi. Okrążają nas. Karcę się za brak rozwagi, ale nie przypuszczałem, że spotkam Horma osobiście. A już na pewno nie po tej stronie Polany. Musiał dostarczyć dwa i ruszył w tę stronę, żeby czekać na Gliksiusza albo kogoś, kto ma przywieźć akredytywę księcia. Makri opuszcza przyłbicę, chwyta miecz w lewą, a topór w prawą rękę, i przygotowuje się do walki na śmierć i życie. Mam nadzieję, że zdołam wyperswadować to obu stronom.

Horm podjeżdża bliżej. Twarz ma upiornie bladą, a rysy, nawet niebrzydkie, nieruchome niczym kamienna maska. Jego złowrogie czarne oczy przeszywają mnie na wylot. Włosy ma gęste i czarne, splecione w warkocze przetykane ciemnymi orlimi piórami, zakończone czarnymi i złotymi paciorkami. Nawet w tym upale nosi czarny płaszcz. Jego aura jest tak potężna, że onieśmiela samym istnieniem.

Robię zuchwałą minę.

–Witaj, Hormie Martwy. Tuszę, iż mewasz się dobrze?

–Uprzedzałem, żebyś trzymał się z dala ode mnie.

Chce wiedzieć, co mnie tu sprowadza.

–Akredytywa, którą książę tak bezmyślnie dał Gliksiuszowi Pogromcy Smoków.

–Jest przeznaczona dla mnie, nie dla ciebie.

–Przykro mi, Horm. Po prostu nie możemy pozwolić, żeby coś takiego wpadło w twoje ręce. Pretor Cyceriusz chce wykupić dokument za tyle, na ile opiewa.

To kłamstwo, ale mam nadzieję zyskać na czasie. Horm Martwy potrząsa głową. Nie jest zainteresowany sprzedawaniem akredytywy.

–Mam w związku z nią inne plany, Thraxasie. Myślisz, że byłbym na tyle głupi, żeby sprzedawać ją za wartość nominalną? Gdy tylko wejdę w posiadanie dokumentu, rodzina królewska do końca życia będzie mi płacić za utrzymanie sprawy w tajemnicy.

–Król Turai nie opłaca się szantażystom – oznajmiam z godnością.

Horm Martwy wybucha śmiechem.

–Zrobi to, jeśli nie chce być obalony przez Popularów. Krąg Orków zacieśnia się. Są szpetni. Szpetni i dobrze uzbrojeni, w szable i myśliwskie łuki.

–Jak śmiesz stawać ze mną twarzą w twarz, Thraxasie? Dysponujesz znikomą mocą.

–Ludzie często mi to mówią. Ale jakoś sobie radzę.

Wyjmuję z torby niewielką kulę.

–A cóż to takiego? – pyta drwiąco Horm Martwy.

–Dziecięca zabawka – odpowiadam i ciskam ją na ziemię. Kula wybucha z błyskiem światła i serią potężnych trzasków. Przerażony wierzchowiec Horma staje dęba. Orkowie też mają kłopoty ze swoimi końmi. Makri i ja nie potrzebujemy zachęty.

Przebijamy się przez ich szeregi i pędzimy galopem do lasu, zanim zdążą się opamiętać i posłać za nami strzałę.

–Zgrabny ruch! – ryczy Makri, podrywając przyłbicę, żeby lepiej widzieć w półmroku,

To był istotnie zgrabny ruch. Tylko taki cwaniak jak ja mógł go wykoncypować. Rzecz w tym, że turajskie konie są przyzwyczajone do fajerwerków, ponieważ słyszą je i widzą na naszych festiwalach. Dla orkijskich chabet z Pustkowi to musiała być niezła niespodzianka.

Galopujemy wąską ścieżką i zwalniamy dopiero wtedy, gdy niskie konary grożą, że zmiotą nas z koni. Słyszymy odgłosy pościgu, ale gałęzie i gęste poszycie skutecznie go utrudniają.

–Jak daleko do Czarownej Polany?

–Jakieś sto metrów.

–Co będzie, jeśli mnie nie wpuszczą?

–Ubłagamy wróżki.

Nagle wpadamy na polanę, piękną połąć trawy i kwiatów. Roziskrzony strumień wpada do skalnej sadzawki. Obok sadzawki stoi jednorożec.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmiam i zsiadam z konia.

–O rany – szepcze Makri, gdy jednorożec spogląda na nas bez strachu i wraca do picia. Przyłączam się do niego i nabieram w dłonie trochę wody, żeby spryskać twarz. – Czy to bezpieczne?

–Wszystko jest bezpieczne na Czarownej Polanie, Makri. Pod warunkiem, że nie zostaniesz tu na noc.

Cztery wróżki wyfruwają spomiędzy drzew. Wszystkie są maleńkie i mają jasne fatałaszki. Krążą przed twarzą Makri, badając ją wnikliwie. Po chwili dołączają do nich cztery następne, potem kolejne, aż w końcu Makri jest całkowicie otoczona przez chmarę małych, srebrnoskrzydłych wróżek. Zaciekawione, lądują na jej ramionach, spacerują po głowie i barkach.

–Polubiły cię. Tak jak myślałem.

Gdzieś gra flet, bardzo cicho. Tutaj Orkowie nie mogą nas dopaść. Co dziwne, kompletnie o nich zapominamy i siadamy, żeby odpocząć i obserwować wróżki, jednorożce, driady wychodzące z drzew, i najady, które wyłaniają się z sadzawki, by bawić się z motylami.

–Bardzo podoba mi się to miejsce – mówi Makri, zdejmując zbroję.

Mnie też się podoba. Jestem zaskoczony. A już myślałem, że stałem się zbyt wielkim

cynikiem.

–Co to? – pyta Makri, gdy w polu widzenia pojawia się półczłowiek, półkoń.

–Centaur. Zdaniem wszystkich całkiem inteligentny. I lubieżny.

Centaur przybliżył się. Jak wszystkie tutejsze magiczne stworzenia, absolutnie nie jest zaskoczony naszą obecnością. Przystaje przed Makri, patrząc z podziwem na jej krągłości. Makri wierci się, nieco speszona.

–Napatrzyłeś się? – pyta zrzędliwie, gdy centaur wlepia w nią oczy.

Wróżki śmieją się cicho.

–Wybacz mi – mówi grzecznie centaur. – Siła przyzwyczajenia.

Zbiera się do odejścia. Przypominam sobie, po co tu jestem.

–Słuchaj, szukamy paru worków dwa.

Centaur robi gniewną minę i patrzy na mnie z wyrzutem.

–Przynoszenie takich rzeczy na Polanę jest pogwałceniem tutejszego prawa.

–Wiem. Dlatego chcemy je zabrać.

Zwięźle relacjonuję mu przebieg wydarzeń, kładąc mocny nacisk na to, że ja i Makri stoimy po właściwej stronie prawa i porządku.

–Wasze miejskie prawa i porządki niewiele dla nas znaczą.

–Wierzymy w pokój i miłość – mówi Makri, co jest dość ciekawe, zważywszy, że obecnie ma przy sobie topór, dwa miecze i Bóg wie ile noży i gwiazdek do rzucania. Nie mam zielonego pojęcia, skąd Makri podłapała taki dziwny tekst, ale centaur go kupuje. Podoba mu się wzmianka o pokoju i miłości. Wróżkom też. Garną się do Makri jak pszczoły do miodu, fruują wokół niej, chodzą po niej, bawią się jej włosami. Najwyraźniej ją uwielbiają. Makri pławi się w słońcu i ich atencji, szczęśliwa jak Elf w drzewie. Na mnie nie zwracają większej uwagi.

–Zaprowadzę cię do worków – mówi centaur. Ma na imię Taur. – Będziemy zachwyceni, jeśli je stąd usuniesz. Co prawda ludzie, którzy je przynieśli, nie mają zakazu wstępu na Polanę, ale ich nie lubimy. To przyjaciele Orków.

Idziemy za sadzawkę, gdzie najady czeszą swoje długie złote loki. Duszki wodne są młode, piękne i nagie. Dwadzieścia lat temu od razu skoczyłbym do sadzawki. Och, na powrót być młodym...

Taur wiezie nas przez polanę w cień rzucający przez potężne stare dęby. Tutaj jest chłodno i przyjemnie i nachodzi mnie chęć na drzemkę. Odpędzam ją. Wprawdzie dopiero południe, ale nie możemy tracić czasu. Musimy wynieść się stąd przed nocą.

–Robimy postępy – mówię do Makri. – Wystarczy zabrać dwa, a potem wymienić je z Gliksiuszem na dokument.

–A co z Hormem Martwym?

–Nie wiem. Coś wymyślę.

Taur zabiera nas w daleki koniec Polany, gdzie pod drzewami leży sześć worków częściowo ukrytych w poszyciu. Potem oddala się na schadzkę z driadą. Jestem gotów się uśmiechnąć. Misja wypełniona, jak zwykły mawiać mój dawny dowódca. Teraz mogę negocjować w sprawie akredytywy. Wróżki nie odstępują Makri, gdy ładujemy worki na nasze dwa konie.

–Jak się stąd wydostaniemy? – dopytuje Makri. – Nie mam nic przeciwko walce z czterdziestoma Orkami, ale nie mogę zagwarantować, że zabiję ich wszystkich.

–Rozczarowujesz mnie. Skoro nie mogą tu wchodzić, dlaczego nie mielibyśmy stanąć tuż przy granicy Polany i unieszkodliwić ich po kolei? Jeśli uporamy się z dostateczną liczbą, zdołamy się przebić.

Makri wyciąga swoje gwiazdki.

–Możemy załatwić paru. Ale Orkowie nie są głupi. Gdy tylko zobaczą, co się dzieje, po prostu cofną się, żebyśmy nie mogli ich dosięgnąć.

–Masz lepszy pomysł?

–Nie.

–No to musimy wypróbować mój.

Wracamy na otwartą przestrzeń. Nasze konie tymczasem wdały się w pogawędkę z dwoma centaurami, które witają nas uprzejmie. Przebywanie w otoczeniu tych osobliwych stworzeń, które żyją w całkowitym oderwaniu od spraw tego świata, podczas gdy nasze życie narażone jest na skrajne niebezpieczeństwo, jest niesamowite. Przemykamy między drzewami na skraj Polany, tam rozdzielamy siły. Padam na brzuch i czołgam i się, próbując wypatrzeć linię straży. Ani śladu. Nigdzie ani jednego Orka. Makri wraca z tym samym. Orkowie nie pilnują Polany.

–Dziwne. Muszą czekać za lasem i obserwować ścieżki.

–Znam ten las – oświadczam, nabierając pewności siebie. – Ruszymy na północ i wyjedziemy z kniei daleko od ścieżki. Wrócimy do Turai zanim się poznają, że nas tu nie ma.

Jestem zaskoczony taką mamą taktyką. Horm Martwy jest wszak doświadczonym wojownikiem. Widać dwa zmaćło mu zmysły. Zbieramy się do drogi. Uszczęśliwione wróżki nadal fruwać obok Makri. Najwyraźniej cieszą się tym wszystkim. Centaury witają Makri okrzykami pełnymi zachwytu, gdy wychodzimy na otwartą przestrzeń. Taur, po powrocie z randki, komplementuje jej figurę. Nagle milknie, podrywa głowę i węszy. Włos zaczyna jeżyć mi się na karku. Wyczuwam, że zaraz stanie się coś strasznego.

–Co jest? – pyta Makri.

–Horm Martwy. Blisko.

–Horm nie może tu wejść!

Patrzę w górę, osłaniając oczy przed palącym słońcem. Wysoko nad Polaną krąży potworny kształt. Gdy opada, ogromne skrzydła bijąpowietrze jak piekielny koszmar. Centaury pokrzykują żałośnie. Wróżki piszczał uciekają między drzewa, a najady znikają pod wodą. Horm Martwy i trzydziestu Orków leci na grzbiecie smoka. Prawdziwego bojowego smoka. Nie małego, jak ten w królewskim zoo. Ten, z którym Makri walczyła na arenie, nawet się do niego nie umywał. To właściwy orkijski smok bojowy, ogromny, czarny i złoty, ze straszliwymi kłami, ognistym oddechem, łuskami jak zbroja i szponami, które mogą rozedrzeć człowieka na dwoje. Najbardziej przerażające stworzenie, jakie kiedykolwiek ziemia nosiła, opada szybko w naszą stronę.

–Smok bojowy – mówię do Makri. – Bóg wie, jak Horm go ujarzmił, ale wygląda na to, że postanowił przedrzeć się na Polanę.

Makri stoi pewnie ze wzniesionym toporem.

–Walczyłam już z jednym...

Smok krąży coraz niżej.

–...ale tamten był dużo mniejszy – przyznaje. – Czy razem z Gurdem naprawdę zabiliście smoka na wojnie?

–Tak. Ale nie dorównywał wzrostem temu, a zaklęcie snu dało nam parę sekund, by wydłubać mu ślepią. Tutaj jednak nie można używać magii. Moje zaklęcie snu nie poskutkuje na Czarownej Polanie.

–Zabawne. Twoje zaklęcia mają tendencję do odmawiania posłuszeństwa, ilekroć najbardziej ich potrzebujemy.

–Tak, też to zauważyłem.

Gdy smok się przybliży, dostrzegamy chroniącą jego ślepią zasłonę ze stalowej siatki. Kiedy jest już dość nisko nad ziemią, a Horm i jego żołnierze wrzeszczą na nas i potrząsają mieczami, następuje straszliwy błysk. Smok zderza się z ochronnym polem magicznym, które osłania Polanę, ryczy gromko, a z jego nozdrzy buchają płomienie. Jeden Ork spada na ziemię, ale reszta trzyma się z determinacją, gdy stwor z wściekłością rzuca się na barierę. Ryczy i wije się, tłucze powietrze skrzydłami i drze je pazurami. Błękitne błyskawice rozszczepiają niebo i dudniące grzmoty przetaczają się nad Polaną. Oślepiający błysk rozjaśnia las, gdy bariera wreszcie ustępuje. Przeogromna złocista bestia z hukiem wali się na ziemię i nieruchomieje w chmurze dymu i pyłu. Zapada krótka chwila ciszy, a potem wybuchają dzikie okrzyki wojenne Orków, którzy rzucają się na nas hurmem.

Rzucam się do ucieczki. Makri zostaje. Klnę paskudnie i chwytam ją za ramię. Odtrąca moją rękę.

–Nie uciekam przed Orkami dwa razy w ciągu dnia – oznajmia; opuszcza przyłbicę i zaciska w rękach stylisko topora. Żadne z nas nie miało czasu przywdziać zbroi, Makri stawia więc czoło szarzy w swoim kolczugowatym bikini i hełmie, ja zaś występuję w podkoszulku. Mam nadzieję, że nikt nie strzeli mi w brzuch.

I staje się coś dziwnego. Z lasu wylania się wielka falanga baśniowych stworzeń, gotowych bronić Czarownej Polany przed znenawidzonymi Orkami. Centaury, jednorożce i driady, zbrojni w kije i włócznie, pędzą na spotkanie orkijskiej szarzy. Powietrze robi się gęste od rozeźlonych, plujących wrózek, a podobne do chochlików stworzenia jadana grzbietach centaurów i potrząsają nożami.

Dochodzi do starcia. Mieszkańcy Polany oraz ja i Makri przeciwko trzydziestu wielkim Orkom ze strasznie potężnym Hormem Martwym. Dzięki Bogu, smok jeszcze jest otumaniony. Powietrze nadal trzeszczy, gdy Horm próbuje zaprząć do pracy swoje czary w przesyconej magią przestrzeni. Błyskawice strzelają mu z palców, dość potężne, by odpędzić centaury, ale za słabe, żeby siać zniszczenie. Orkowie próbują złamać nasz opór i ich wielkie zakrzywione klingi zadają rany, ale atakujące rogami jednorożce i zbrojne w pałki centaury spychają ich do tyłu. Wróżki, które fruują wokół, plują wrogowi w oczy i kłują go maleńkimi, ostrymi jak igła mieczkami.

Makri zaczyna wyrąbywać sobie drogę w kierunku dowódcy, wielkiego woja z masywnymi mieczami, który zagrzewa swoich podkomendnych gniewnym, zgrzytliwym okrzykiem bitewnym. Ja walczę z dwoma Orkami i przesuwam się

bokiem pod drzewo. Udaje mi się powalić jednego, a zanim drugi może zaatakować, jednorożec od tyłu bierze go na swój róg.

Horm Martwy nie jest jednym z tych magów, którzy wystrzegają się bitew. Kiedy widzi, że jego Orkowie są w opresji, porzuca magiczne zabiegi i zatacza czarnym mieczem efektowny krąg. I skuteczny. Najada z przeraźliwym krzykiem rzuca się do tyłu, a centaur niemal traci głowę. W środku tego zamętu w przelocie widzę, jak kilka nagich najad wyskakuje z wody i szybko odciąga krwawiącą driadę z dala od bitwy, do sadzawki.

Siły Czarownej Polany mają przewagę liczebną nad Orkami. Zaczynamy ich oskrzydlać i zmuszamy do wycofywania się w kierunku nadal nieprzytomnego smoka. Orkowie tworzą szereg przed ogromną, dymiącą bestią, używając jej tułowia do ochrony tyłów. Walka jest zaciekła. Mieszkańcy Polany tracą nieco impetu w obliczu zdeterminowanego oporu Orków, ale wynik bitwy nie jest przesądzony. Potem Makri zabija stojącego jej na drodze orkijskiego wojownika i przypuszcza wściekły atak na dowódcę. Ten miota orkijskie przekleństwo i wznosi dwa wielkie miecze. Makri paruje toporem i mieczem, wyrzaskuje własne przekleństwa i wbija topór w jego hełm. Centaury wnoszą okrzyki radości i atakują pałkami, a wróżki zdwajają wysiłki – brzęczą i żądają niczym rój natrętnych owadów, wprowadzając kontuzję w szeregach wroga.

Orkowie nie wytrzymują naszego ostatecznego ataku i giną co do jednego. Horm Martwy, brocząc krwią, wrzeszczy z wściekłości. Odpiera jeszcze ataki Makri i centaury. Wzywa na pomoc ostami zapas energii i wykrzykuje demoniczne zaklęcie. Ogień trzeszczy w powietrzu, gdy zaklęcie zmaga się z magią przenikającą aurę Czarownej Polany. Wreszcie przedziera się, odrzucając w tył Makri i wszystkich innych. Horm wykrzykuje rozpaczliwą komendę i smok dźwiga się z przerażającym rykiem. Makri podnosi się i pędzi biegiem w stronę czarnoksiężnika, ale jest za późno. Horm wdrapuje się na grzbiet bestii i rozkazuje jej wzbić się w powietrze. Ogromny smok bojowy bije skrzydłami i odrywa się od ziemi. Makri, rozwścieczona jego ucieczką, wrywa z torby gwiazdkę i ciska nią w Horma. Horm wyje, gdy pocisk grzęźnie w jego udzie, ale nie spada. Następuje kolejny okropny błysk niebieskiego światła. Smok zderza się z polem magicznym i odlatuje, pozostawiając na ziemi trzydziestu martwych Orków i paru rannych po naszej stronie.

Zwyciężyliśmy. Thraxas, Makri i jednorożce pokonały Horma i smoka. Kiedy opowiem o tym “Pod Mściwym Toporem”, nigdy mi nie uwierzą.

Jestem kompletnie wyczerpany. Ledwo trzymam się na nogach. Od dawna nie brałem udziału w takiej bitwie. Osuwam się na ziemię. Centaury i ich przyjaciele nie odpoczywają, tylko natychmiast ciągną poszkodowanych towarzyszy w stronę sadzawki. Widzę, jak ciężko ranna driada wyłania się z wody. Zupełnie zdrowa. Dopiero po chwili domyślam się, że woda ma moc uzdrawiania i będzie chronić mieszkańców Polany.

Makri odniosła parę drobnych ran. Ma draśnięte ramię i krwawi z nosa, bo szabla Orka zerwała jej kółko.

–Niech to szlag – mamrocze i krzywi się z bólu.

Przybiega truchtem Taur. Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

–Dobra bitwa – mówi i nabiera w dłonie wody z sadzawki, by natrzeć nią rany Makri. Naciera dłużej niż potrzeba, ale krwawienie ustaje i Makri zaczyna zdrowieć dosłownie na naszych oczach.

–Masz silny organizm – mówi Taur. – I wspaniałe ciało. Zostaniesz?

–Nie zwariuję?

–Ludzie wariują. Ale jestem pewien, że kobieta o tak nadzwyczajnej anatomii byłaby tutaj bezpieczna.

–Słyszysz, Thraxasie? Kobieta o nadzwyczajnej anatomii.

Parskam. Zaczynam mieć tego powyżej uszu. Na szczęście Makri odrzuca propozycję Taura i oświadcza, że musi wracać do miasta. Centaur jest rozczarowany.

–Musisz nas odwiedzić jak najszybciej.

–Kochamy cię – zapewniają wróżki i sadowią się na jej ramionach. Makri jest uszczęśliwiona jak Elf w drzewie. Przyjemna wizyta na Czarownej Polanie i porządna bitwa jednego dnia. Jest szczególnie zadowolona z tego, że zabiła dowódcę Orków.

–Znałam go, kiedy byłam w niewoli – powiada. – Okropnie lubił zabijać.

Wypijam mnóstwo wody z sadzawki. Makri oświadcza, że to najbardziej ożywczy napój, jakiego w życiu próbowała. Ja nie jestem do końca usatysfakcjonowany.

–Macie piwo? – pytam Taura, gdy siodłamy konie.

Mruga oczami.

–Nie, Thraxasie, ale mamy trochę przedniego miodu.

Alkohol wyrabiany z miodu nie należy do moich ulubionych, ale przypuszczam, że to lepsze niż nic. Przyjmuję pękaty gąsiorek od Taura. Wszyscy mieszkańcy Polany patrzą na nas przychylnym okiem, gdy odjeżdżamy. Polubili nas za pomoc w obronie Polany przed Orkami i za zabranie dwa.

–Odwiedź nas! – woła Taur do Makri, machając na do widzenia.

Ona kiwa na pożegnanie.

–Wiesz, Makri, to zdumiewające. Chociaż jesteś społecznym wyrzutkiem w kulturalnym społeczeństwie, niektórzy cię lubią – mówię, gdy wjeżdżamy na leśną ścieżkę.

–Cóż, centaury na pewno mnie polubiły – zgadza się Makri. – I wróżki. Ale ciebie też. Widziałam, że parę na tobie przysiadło.

–Używały mojego brzucha jako osłony przed słońcem.

Wlewam do gardła trochę miodu. Ma słodki smak, nawet dość przyjemny, choć gdzieś tam do piwa. Nie jest jednak wystarczająco mocny, bym mógł skutecznie otrząsnąć się po niedawnych doświadczeniach.

–Musisz się pilnować – mówi Makri. – Czeka nas długa droga i nie chcę, żebyś spadł z konia.

–Ha! – pryham i popijam jeszcze ździebko. – Trzeba czegoś więcej niż czarownego soczku, żeby mocno zaszumiało mi w głowie.

W połowie drogi do domu jestem spektakularnie, kompletnie i beznadziejnie zalany. Miód Taura jest najwyraźniej dużo mocniejszy niż przypuszczałem. Gdy mijamy paru wieśniaków, potrząsam mieczem i raczę ich pieśnią bitewną. Śmieją się i wesoło machają nam rękami. Wśród umiarkowanie zalesionych wzgórz występuję z następną piękną starą pijacką śpiewką. Nagle opada mnie nieprzeparowane zmęczenie i spadam z konia. Rozlega się pacnięcie, gdy coś trafia w drzewo obok mnie.

–Co...?

Makri pochyla się.

–Bełt!

Przychodzi mi na myśl, choć niezbyt jasno, że gdybym szczęśliwym trafem nie

wybrał dokładnie tej chwili na opuszczenie końskiego grzbietu, już byłoby po mnie.

Podnoszę się chwiejnie. Bełt ugrzązł głęboko w pniu drzewa. Makri zeskakuje na ziemię, z mieczem w pogotowiu, i przykuca czujnie. Chwytam własny oręż i próbuję pozbierać się do kupy.

Jakaś postać wyłania się z drzew po naszej prawej stronie, z kuszą w rękach. Idzie ku nam celując w Makri. Przystaje nieopodal. To nie on, to ona. Wysoka kobieta, skromnie ubrana, z krótko obciętymi włosami i z jakiegoś powodu nosząca mnóstwo kolczyków. Zwraca spojrzenie na mnie.

–Jesteś pijanym durniem, Thraxasie – mówi z pewną odrazą.

–To twoja znajoma? – dopytuje Makri, która kuca gotowa do skoku.

–Nigdy w życiu jej nie widziałem.

–Widziałeś. Wyglądałam wtedy inaczej. Jestem Sarin. Sarin Bezlitosna. A ty byłbyś martwym detektywem, gdybyś nie zwałił się z konia.

Wybuchą posępnym śmiechem.

–Ale szybko można to naprawić.

Wyczuwając, że Makri jest gotowa do skoku, kieruje kuszę w jej stronę.

Nie bardzo mogę zrozumieć. Sarin Bezlitosna nigdy nie używała kuszy. Musiała brać lekcje. Przeklinam się za wypicie takiej ilości miodu i potrząsam głową, żeby choć trochę w niej przejaśniało.

–Czego chcesz?

Przeszywa mnie spojrzeniem. Jej oczy są czarne i zimne jak serce Orka. To absolutnie nie ta sama kobieta, jaką pamiętam.

–Twojej śmierci na dobry początek, pijanico. Ale to może zaczekać. Najpierw zabiorę dwa.

Jej czarne oczy przeskakują na Makri.

–Wróżki cię polubiły. Dziwne. Do mnie nie czują sympatii.

–Mnie też nie lubią – warczę. – Prawdopodobnie zgadują, że mam paskudny charakter. Dlatego zjeżdżaj.

Sarin wyjmuję coś spod kaftana.

–Zakładam, że liczysz na wymianę dwa za ten papier?

To akredytywa księcia, ale Sarin nie wydaje się skłonna do wchodzenia w negocjacje.

–Doszłam do wniosku, że mogę zatrzymać list i zabrać dwa. Gra skończona. Jestem dobra w strzelaniu z kuszy. Powiedziałabym, że jesteś na mojej łasce. Jak zapewne wiesz, nie mam tego w nadmiarze.

Śmieje się.

Na nieszczęście Makri nie jest osobą, którą można obrabować i nie spodziewać się oporu. Jej kodeks wojowniczeki, nie wspominając o dumie, po prostu na to nie pozwala. Przewiduję, że lada moment albo skoczy na Sarin, albo spróbuje rzucić w nią gwiazdką lub nożem. Nie podoba mi się to za bardzo. Sarin Bezlitosna udowodniła, że umie strzelać z kuszy, a ja nie jestem pewien, czy Makri będzie szybsza od bełta.

Zalewa mnie okropna fala zmęczenia. Opóźniony szok po spotkaniu z bojowym smokiem. Albo za dużo miodu. Podejmuję szybką decyzję. Muszę coś zrobić, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Nadal noszę zakłęcie snu. Uśpię Sarin, zanim zdąży zrobić coś złego. Zmęczenie jest przytłaczające. Ledwo mogę utrzymać się na nogach. Wyszczekuję zakłęcie. Makri robi zdumioną minę i miękko osuwa się na ziemię. Uświadamiam sobie, że chyba coś poplątałem. Wysilek rzucania czaru kompletnie mnie rozkłada. Padam jak długi. Ostatnią rzeczą, jaką słyszę przez zaśnięciem, jest szydrczy śmiech Sarin.

Stoi nade mną jakiś Elf. To Callis, wymachujący liściem lesady. Pewnie domyślił się, że piłem. Przelykam listek i próbuję się pozbierać. Makri nadal śpi w trawie. Jaris spędził nasze konie i teraz je oprowadza.

–Co się stało? – pyta Callis i odchodzi, żeby zająć się Makri. Nie komentuję. Callis mówi jeszcze, że kiedy się pojawił, jakaś kobieta ładowała worki na swojego konia.

–Odjechała. Czy to była tkanina? – pyta.

–Nie. Coś innego. Ale związanego z waszą sprawą – dodaję na wypadek, gdyby pomyślał, że nie staram się dość mocno. Przeklinam. Wszystko poszło źle. Teraz Sarin Bezlitosna ma dwa i dokument. I tak dobrze, że przybycie Elfów zapobiegło wykorzystaniu mojego ciała, kiedy spałem, jako celu dla jej kuszy. Ciekaw jestem, co ich tu sprowadziło.

–Szukaliśmy cię – wyjaśnia Callis. – Gurd “Pod Mściwym Toporem” powiedział nam, że poszedłeś zmierzyć się z Hormem Martwym. Chcieliśmy ci pomóc. Nawet w Elfich Krainach Horm ma złą reputację.

Makri budzi się nagle i z dzikim warknięciem, z mieczami w obu rękach, zrywa się na nogi. Rozgląda się nieprzytomnie, wypatrując wroga. Kiedy dociera do niej, co się stało, jest bardziej wściekła niż kiedykolwiek. Elfy obserwują z rozbawieniem, gdy miota wyszukane przekleństwa, rugając mnie za bezbrzeżną głupotę: źle wymierzyłem zakłęcie snu, czego efektem było zaśnięcie nie Sarin, lecz jej, Makri.

Niewiele mam do powiedzenia na swoją obronę. Muszę zatem wysłuchać, jak wytyka mi pijaństwo, brak kompetencji i generalną głupotę, a następnie pieni się, że splamiłem jej honor wojownika.

–Na arenach spotykałam nie tylko ludzi, ale nawet zwyczajne Trolle, które były mądrzejsze od ciebie! Chwalisz się, że jesteś dobry, co? Sarin naszpikowałaby cię bełtami, gdyby Elfy nie pospieszyły na ratunek. Tyle z ciebie pożytku, co z jednonogiego gladiatora. Uśpiłeś mnie w obliczu przeciwnika! – ryczy. – Nigdy nie wymażę tego wstydu. Jestem skończona. Następnym razem, jak będziesz potrzebować pomocy, nawet nie próbuj prosić. Będę zajęta.

Po tej przemowie skacze na konia i odjeżdża galopem, nawet nie patrząc na Elfy. Oni za to spoglądają na mnie w zdumieniu.

–Bardzo porywczy charakter – mówię i lekceważąco macham ręką. – Zbyt osobiście przyjmuje porażkę.

Jadę z Elfami do Turai. Dziwią się, że taki wybitny magiczny detektyw jak ja rzeczywiście mógł źle skierować zaklęcie. Wyjaśniam, że Sarin włada znaczną mocą czarodziejską i że zaklęcia sypały się na mnie z prawa i z lewa. Nie sadzę, by ich zaufanie do mnie zostało poważnie nadszarpnięte.

Następnego dnia rano budzę się z monstualnym kacem. Bractwo dobija się do moich drzwi, a miasto pogrążone jest w gwałtownych zamieszkach. Jeszcze jeden mamie rozpoczęty dzień.

–Jutro masz oddać pieniądze – mówi Karlox.

–Świetnie – stękam, uchylając się przed lecącym kamieniem. – Forsa będzie. Tylko nie wiadomo, czy wy również, jeśli Towarzystwo Przyjaciół nadal ma zamiar strzelać do was jak do kaczek.

Karlox warczy. Nie podoba mu się to, co mówię.

–Wiemy, ile są warci. Ty też. Jak nie zapłacisz do jutra, nie zapomnij się pomodlić.

Zatrzasnę mu drzwi przed nosem.

Nie modlę się, ale to nie powstrzymuje młodego pontyfika Derlexa od złożenia mi wizyty zaraz po stłumieniu zamieszek. Słońce pali zajadlej niż zwykle. Pontyfik poci się wewnątrz swojej czarnej religijnej szaty, ale odrzuca zaproszenie na piwo. Obchodzi swoją parafię, sprawdzając kondycję ludzi po rozruchach. Makri wtyka głowę w drzwi i już ma coś powiedzieć, gdy dostrzega gościa. Nabiera wody w usta. Odchodzi. Dostrzegam, że Derlex jest bardzo niezadowolony.

–Wyluzuj się, Derleksie. Nie musisz wyglądać jak udręczona dusza za każdym razem, gdy zobaczysz Makri.

Przeprasza, raczej sztywno, ale przyznaje, że przy niej czuje się niezręcznie.

–Orkijska krew, wiesz.

–Ma w sobie również ludzką krew. I elfią. Jej dusza musi być ogromnie interesująca. Powinieneś spróbować ją nawrócić.

Znów pochmurnieje.

–Nie wolno. Świętokradztwem jest głoszenie Prawdziwej Religii Orkowi... a nawet ćwierć-Orkowi. Mógłbym zostać oskarżony o herezję...

Śmiesz mi to i mówię mu, żeby się nie martwił. Nawracanie się nie leży w charakterze Makri. Po krótkiej pogawędce o tym i o owym pontyfik rusza dalej.

Wychodzę na korytarz. Nagle świta mi pewna myśl. Pojawia się Makri, skręca ku schodom, spiesząc na poranną zmianę. Pytam ją, czego chciała.

–Miałam zamiar powiedzieć ci, żebyś nigdy się do mnie nie odzywał. Ani nie próbował porozumiewać się w inny sposób. Od teraz, Thraxasie, dla mnie nie istniejesz.

–Makri...

Mija mnie sztywno i tak podrzuca głową, że długie włosy omiatają jej ramiona. Najwyraźniej jeszcze nie wybaczyła mi wczorajszej wpadki.

–To mogło się zdarzyć każdemu! – wołam za nią. Jestem zdekoncentrowany. O czym to ja myślałem? Prawdziwy Kościół. Coś w związku z nim mnie tknęło.

Na dole siadam nad piwem i talerzem gulaszu i zastanawiam się nad różnymi sprawami. Dlaczego Derlex mnie odwiedził? Mnóstwo innych ludzi w targanych zamieszkami Dwunastu Morzach musiało bardziej potrzebować jego pomocy. Tymczasem ostatnio Derlex zachodził do mnie na okrągło. Nigdy dotychczas nie widywałem go częściej niż raz na rok. Dlaczego Kościół tak nagle zainteresował się moją skromną osobą?

Rozmyślanie o Kościele pobudza moje wspomnienia i uświadamiam sobie, co mnie tknęło. Pazaz. Orkijski dozorca smoków. Powiedział, że nikt z nim nie rozmawiał oprócz biskupa Gzekiusza. Według niego, biskup próbował go nawrócić.

–Ale to niemożliwe – mówię głośno sam do siebie. – Derlex powiedział mi, że głoszenie Prawdziwej Religii Orkom jest świętokradztwem. Biskupowi nie mogło chodzić o nawracanie Orka. Przecież nie chciałby narażać się na oskarżenie o herezję dla jednego dozorca smoków. Inni biskupi dopadliby go niczym zły czar.

Podnoszę się, tłukąc pięścią w stół. Makri patrzy na mnie lodowato.

–A więc o to chodzi! Dlatego Derlex płacze się tutaj przez cały czas. Szpieguje mnie na polecenie biskupa. A biskup szuka tkaniny!

To Kościół stoi za tym wszystkim! Kiedy smokowi rozplątano brzuch, rodzina królewska uczestniczyła w jakimś specjalnym nabożeństwie. Znaczy to, że Kościół dokładnie wiedział, kiedy w zoo będzie pusto. A wcześniej biskup rozmawiał z dozorcą smoków. Wcale nie próbował go nawrócić. Pompował z niego informacje! Tak samo jak Derlex ze mnie! Derlex był tego dnia w pałacu; jechał z nami w landusie. Prawdopodobnie miał wówczas przy sobie tkaninę, przekazaną mu przez jakiegoś innego duchownego. Pomyślmy. Kiedy wróciłem do domu Attilana po zaklęcie, minąłem jakiegoś młodego pontyfika. Mógł ukraść zaklęcie na chwilę przedtem, zanim ja rozpocząłem poszukiwania.

Makri wznosi brwi. Pot spływa po jej ciele, mięsny błyszczą jak natarte oliwą. Na pewno słyszała, ale nadal udaje, że mnie nie dostrzega.

Zastanawiam się, po co Kościołowi elfia tkanina. Powodów może być mnóstwo. Może chcą ją po prostu sprzedać. Albo biskup planuje jakieś sekretne posunięcie i nie chce się narażać na wyspiegowanie przez innych biskupów. Gzekiusz jest ambitnym człowiekiem, niedawno przymierzał się do arcybiskupstwa. Wydaje się, że wszystko pasuje. Jeżeli mam rację, Czerwona Tkanina Elfów powinna być teraz w posiadaniu Kościoła.

–Możliwe nawet, że jest w kościele Derlexa. I jeśli tak, zamierzam ją odnaleźć! Masz wolny wieczór?

Makri piorunuje mnie wzrokiem.

–Nie. Uczę się. Jesteś zdany na własne siły.

Chwyta ścierkę, zamasyżuje wyciera kilka stołów, następnie dumnym krokiem wychodzi na zaplecze po pudło kufli. Pojawia się Tanrose z wielkim kawałem wołowiny na gulasz. Kupuję u niej ciasto i mówię, że Makri jest na mnie wściekła. Tanrose już wie o wszystkim.

–Jest bardziej rozeźlona niż Troll z bólem zęba – powiada. – Ale niedługo jej przejdzie.

–Dziś wieczorem musi mi pomóc. Co trzeba zrobić, żeby do tej pory jej przeszło?

–Przynieś jej kwiatki – podpowiada kucharka.

Ta sugestia jest dla mnie tak dziwaczna, że początkowo w ogóle nie chwytam, o co chodzi.

–Kwiatki? A niby po co?

–Oczywiście, na przeprosiny.

–Przepraszać z kwiatami? Makri? Mam wyjść, kupić parę kwiatków i dać je Makri w prezencie? Na przeprosiny?

–No właśnie.

–Czy na pewno rozmawiamy o tej samej Makri? O Makri, kobiecie z toporem?

–Fakt, że kobieta umie posługiwać się toporem wcale nie znaczy, że nie potrafi docenić bukietu kwiatów.

–Prawdopodobnie dostanę nimi po głowie.

–Zdziwisz się – mówi Tanrose i zabiera się za ćwiartowanie mięsa.

Najpewniej straciła rozum. Kwiatki dla Makri, też mi pomysł! Aż mnie głowa rozboleła. W tej chwili wchodzi pretor Cycleriusz w towarzystwie samego konsula. Proszę, proszę. Ostatnio mam gości wyższej klasy.

Cycleriusz zwięźle oznajmia, że miasto w błyskawicznym tempie pogrąża się w chaosie. Potyczki między Bractwem a Towarzystwem Przyjaciół osiągnęły nowy wymiar i Straż Obywatelska traci kontrolę.

–Poradziłem królowi zawieszenie konstytucji – mówi konsul Kaliusz – i wysłanie wojska na ulice.

Wyobrażam sobie, że król odniósł się z niechęcią do tej propozycji. Popularzy mogliby rozpętać prawdziwą rewolucję. Podejrzewa się, że różni generałowie są poplecznikami senatora Lodiusza, i posłuszeństwo armii stoi pod znakiem zapytania.

–Stoimy w obliczu totalnej anarchii – skarży się Cycleriusz. – Jeśli to miasto ma przetrwać, to Tradycjoniści muszą zachować władzę. Zdobyłeś dokument?

Muszę zaprzeczyć. Nie zostaje to dobrze przyjęte. Zdaję mniej lub bardziej wierną relację z wypadków dnia wczorajszego. Nie wyjaśniam, w jaki sposób Sarin Bezlitosna stała się właścicielką dwa i akredytywy. Cycleriusz i Kaliusz są skonsternowani i rugają mnie za zawalenie sprawy. Konsul otwarcie daje do zrozumienia, że sfabrykowałem całą historię o smoku na Czarownej Polanie, żeby usprawiedliwić swoją nieudolność, i zastanawia się głośno, czy przypadkiem na własną rękę nie sprzedałem dwa.

Jestem niewyspany. Nigdy nie mogę się wyspać. Jest gorąco jak w orkowym piekle. W głowie mi huczy. Nie przejmuję się jego słowami.

Wskazuję drzwi i każę im wyjść. Konsul jest zszokowany.

Jako najpotężniejszy administrator w Turai nie przywykł do tego, żeby pokazywano mu drzwi.

–Jak śmiesz!

–Czemu nie? Jestem wolnym człowiekiem. Nie muszę słuchać nikogo, kto nazywa mnie kłamcą, nawet konsula. Zwłaszcza kiedy boli mnie głowa. Zrobiłem, co mogłem. Jeśli to za mało, to szkoda. Proszę wyjść.

Cycleriusz próbuje mnie ułagodzić.

–Nie ma czasu na sprzeczki – oznajmia. – Jeśli Towarzystwo Przyjaciół uzyska...

Przerywam mu ruchem ręki. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwanie przemówień.

–Wiem. Książę skompromitowany, twój syn skompromitowany. Tradycjoniści skompromitowani, przegrywasz wybory. Popularzy wygrywają, Lodiusz sięga po władzę. Taki jest według ciebie scenariusz. Już go słyszałem. Czego się po mnie spodziewasz?

–Masz znaleźć dokument – mówi pretor.

–Już zawiodłem.

–Musisz spróbować jeszcze raz. Nie zapominaj, że mój syn Ceriusz jest twoim klientem. Przez ten dokument trafi do więzienia.

Marszczę czoło. Nienawidzę sposobu, w jaki Cycleriusz szermuje zasadą “nie opuszczaj swojego klienta”. Żałuję, że kiedykolwiek usłyszałem o tym przeklętym kliencie. Jest zbyt gorąco, żeby jasno myśleć. Co zrobi Sarin Bezlitosna z tą cholerną akredytywą? Nie będzie zainteresowana wykorzystaniem jej do celów politycznych, ale z pewnością wie, jaką przedstawia wartość dla przeciwników króla. Zechce ją sprzedać, a Popularzy są oczywistymi kandydatami. Ma zresztą do nich dostęp, bo senator Lodiusz jest popierany przez Towarzystwo Przyjaciół, a ona sama jest powiązana z Gliksiuszem, a on z kolei z Towarzystwem. Choć nie wiadomo, czy nadal razem pracują.

Sarin mogła zacząć działać na własną rękę. Wystawianie współników do wiatru jest normą w turajskim świecie przestępczym.

–Może uda nam się odkupić akredytywę, ale trzeba będzie przelicytować Towarzystwo. Byłoby lepiej, gdybyśmy po prostu ją ukradli. Czy twoi magowie nie potrafili zlokalizować Sarin? Wiozła sześć worków dwa. Ktoś powinien wychwycić jej aurę.

–Tas ze Wschodniej Błyskawicy przeczesał całe miasto i niczego nie znalazł.

Tas ze Wschodniej Błyskawicy zastąpił zamordowanego Miriusza Jeżdżącego na Orłach jako naczelny mag Ochrony Pałacowej. Jest dość potężny. Jeśli on nie może znaleźć Sarin za pomocą magii, to prawdopodobnie nie zdoła dokonać tego nikt inny.

W mieście niesie się echem wezwanie do porannej modlitwy. Konsul i pretor są mniej niż zadowoleni z obowiązku modlenia się na klęczkach w tawemie, ale nie mają wyjścia. Sam padam na kolana obok tóg o błękitnych i złotych lamówkach. Zauważam, że mam wystrzępioną tunikę. Zastanawiam się, czy moje modlitwy przyniosą dodatkowy skutek, skoro odklepuję je w takim doborowym towarzystwie.

Później przez chwilę rozmawiamy i zgadzam się zrobić co w mojej mocy, żeby znaleźć Sann. Wielmoże odchodzą, otrzepując kurz z kolan.

Przybywa Makri i zaczyna zamiatać podłogę. Apeluję do lepszej strony jej natury i mówię, że byłoby miło, gdyby tak ktoś pomógł mi dziś wieczorem. Nie chce ze mną rozmawiać i przepędza mnie ścierką. Kątem oka dostrzegam, że Tanrose popatruje na mnie zza wielkiego gara z gulaszem.

–Do diabła z tym – stękam i wypadam z tawerny. Baxos, sprzedawca kwiatów, od trzydziestu lat wykonuje swój zawód na rogu Ulicy Kwintesencji. Szacuję, że minęło co najmniej dwadzieścia lat, od kiedy pozwoliłem sobie skorzystać z jego usług. Niemal fika koziółka ze zdumienia, kiedy podchodzę i proszę o bukiet.

–Hej, Rox! – woła do sprzedawcy ryb po drugiej stronie ulicy – Thraxas kupuje kwiaty.

–Czyżby miał przyjaciółkę? – odkrzykuje Rox dość głośno, by słyszała go cała ulica.

–Pora, żebyś znów uderzył w koperczaki, Thraxasie! – ryczy Birix, jedna z najbardziej rozchwytywanych prostytutek w Dwunastu Morzach. Jej koleżanki z entuzjazmem podchwytyją okrzyk.

Łapię bukiet, rzucam Baxosowi parę drobniaków i oddalam się w pośpiechu, ścigany lawiną nieprzyzwoitych dowcipów. Jestem w najpaskudniejszym nastroju i mam więcej niż parę ostrych słów do powiedzenia tej idiotce Tanrose.

“Pod Mściwym Toporem” zderzam się z Makri i jej szmatą. Wciskam kwiaty w rękę dziewczyny, wyobrażając sobie, że im szybciej będę miał to z głowy, tym lepiej.

–Przepraszam, że uśpiłem cię w obliczu przeciwnika – mamroczę. – Masz tutaj parę kwiatków.

Makri rozdziawia usta ze zdziwienia, a ja maszeruję chyżo w kierunku baru po wielce mi potrzebny gąsiorek piwa.

Prawie natychmiast ktoś klepie mnie po ramieniu. To Makri, która następnie wykonuje mnóstwo dziwnych rzeczy. Najpierw bierze mnie w objęcia, potem wybucha płaczem i wybiega z baru.

Jestem zbity z pantałyku.

–Co jest grane?

–Przeprosiny odniosły skutek – wyjaśnia Tanrose nie bez satysfakcji.

–Jesteś pewna?

–Oczywiście.

–Wydaje mi się to bardzo osobliwe, Tanrose.

–Nie dziwię się, Thraxasie, że twoje małżeństwo nie przetrwało próby czasu – mówi Tanrose, nakładając mi na talerz trochę gulaszu.

Popołudnie spędzam, popijając piwo. Myślę sobie o różnych rzeczach i wymieniam się opowieściami z najemnikiem z dalekiej północy. Wędrował przez Nioj w drodze do Turai i z jego relacji wynika, że Niojańczycy przygotowują się do wojny.

–Mówią, że słyszeli pogłoski o Orkach, którzy plądrują pogranicze.

To może być prawdą. Albo też chcą, żeby nasz król myślał, że mają zamiar nas zaatakować. Kiedyś na pewno do tego dojdzie, a Niojańczycy nadal mają pretekst w postaci nie wyjaśnionego morderstwa swojego dyplomaty. Miasta padały z bardziej błahych powodów.

Czy Attilan mógł zostać zamordowany przez Kościół? Czy biskup Gzekiusz posunąłby się tak daleko? Możliwe. Nie nasuwają mi się żadni inni kandydaci.

Makri wraca z wykładu logiki, na który wyskoczyła w czasie przerwy obiadowej. Wygląda na to, że bukiet ją ułagodził. Najwyraźniej nikt wcześniej nie dał jej kwiatów. Muszę przyznać, że Tanrose wpadła na sprytny pomysł, choć Makri jest zakłopotana tym, że się rozbeczała. Przykazuje mnie i Tanrose, żebyśmy nigdy nie wazyli się nikomu o tym pisać.

Makri oznajmia, że sprawy w mieście idą ku gorszemu. W drodze do Kolegium Gildii musiała przebijać się przez trzy uliczne burdy.

–Po południu nam wykład z matematyki – mówi. – Będzie lepiej, jak przed wyjściem naostrzę topór. Nawiasem mówiąc, Sarin Bezlitosna nie wydaje się taka do chrzaniu, jak ją przedstawiłeś.

–Miała szczęście. Nauczyła się posługiwać kuszą. Wielkie mi rzeczy. Zaczekam spokojnie na następne spotkanie. Przypuszczam, że do niego dojdzie, bo konsul chce, żebym ją znalazł. Ale to będzie musiało poczekać, ponieważ najpierw zamierzam odszukać Czerwoną Tkaninę Elfów. Może i dobrze, bo i tak nie mam pojęcia, gdzie jest Sarin. Jeśli Tas ze Wschodniej Błyskawicy nie mógł jej znaleźć, czego spodziewają się po mnie? Zastanawiam się, czy Rycjusz naprawdę ma zamiar odebrać mi licencję. Wiesz, chodzą plotki, że chce przedłożyć projekt ustawy zakazującej legalizację Ligi Kobiet Wyzwolonych?

Makri kiwa głową. Zeszłej nocy uczestniczyła w zebraniu LKW i w konsekwencji jest lepiej zorientowana w zawiłościach polityki turajskiej.

–Można się w tym pogubić – przyznaje. – Parę bardzo wpływowych kobiet w mieście już przeprowadza zakulisową kampanię przeciwko Rycjuszowi, ponieważ on jest przeciwny Lidze. Ale przeważająca większość członkiń Ligi Kobiet Wyzwolonych

nadal popiera Popularów, ponieważ oni optują za przeprowadzeniem reform. Zebranie zakończyło się jedną wielką kłótnią.

–Nie jestem zaskoczony. Jeśli chodzi o politykę, w Turai nigdy nie będzie zgody. Chciałbym wyjechać na urlop, dopóki to się nie skończy.

–Dokąd?

–Wszędzie tam, gdzie nie jestem poszukiwany przez prawo. Co ogranicza wybór, gdy się nad tym zastanowić. Pogwałciłem przepisy prawne we wszystkich sąsiednich krajach. Może mógłbym pojechać na najdalszy zachód i zobaczyć, jaka jest Kamara.

–Thraxasie, przyznawanie się do porażki jest do ciebie niepodobne.

–Wiem. Ale naprawdę nie mam pojęcia, jak znaleźć Sarin. Skoro Tas nie może ustalić, gdzie ona jest, to żadna magia, moja czy nawet Astartha, nie na wiele się przyda. I brak mi chodów w północnej części miasta. Jeśli Sarin jest gościem Towarzystwa, nigdy jej nie dosięgnę.

Przybywa posłaniec z krótkim listem: “Jeśli chcesz wykupić dokument, o północy przyjdź sam na Stadion Superbiusza.” Podpisano: Sarin Bezlitosna.

Masz coś przeciwko pójściu do kościoła, Makri?

–Skoro musimy...

Ulice są ciche, marnie oświetlone lampami olejowymi na rogach. Dziwki poszły do domu i jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku są bezdomni żebracy, którzy śpią w bramach.

Idziemy do końca Ulicy Świętego Woliniusza, zaraz przy dokach. Za nami nad wodą wznoszą się wysokie kadłuby trirem i kwinkwirem, gotowe do przyjęcia ładunku. Przystaję na ich widok. W czasach młodości obejrzałem kawał świata, ale minęło dobrych parę lat, od kiedy wyjeżdżałem daleko od Turai. Jak to byłoby, zastanawiam się, gdyby tak wejść na pokład i pożeglować do Samsariny albo Simnii na zachodzie? Albo dalej, ku odległym, ledwo zbadanym brzegom Kastlinu? Może na południe, na Elfie Wyspy, gdzie słońce opromienia idealnie białe plaże, a muzyka płynie wśród drzew? Potrząsam głową. Jestem za stary na wojaże. Przypuszczam, że będę tkwić w tym mieście do końca życia.

Przed nami wznosi się wielki, imponujący kościół Świętego Woliniusza, jedyna bogato zdobiona budowla w Dwunastu Morzach. Jak na razie ludzie uzależnieni od dwa jeszcze nie zaczęli rabować kościołów. To tylko kwestia czasu. Okna przykościelnego domku, w którym mieszka pontyfik, są ciemne. Spieszymy na tyły świątyni. Waham się. Nigdy wcześniej nie włamywałem się do kościoła i nie uśmiecha mi się ta perspektywa. Fakt, iż się nie modlę, wcale nie oznacza, że znajduję przyjemność w obrażaniu Pana Boga.

Makri dostrzega moje niezdecydowanie.

–Jeśli ktoś nas tu znajdzie, a ja utnę mu głowę. Pan Bóg będzie o wiele bardziej oburzony.

Mruczę zakłęcie otwierające. Nic się nie dzieje. I nic dziwnego. Taki pontyfik jak Derlex musi znać pospolite drobne zakłęcia, mimo że kościół nie pochwała magii.

–Zakłęcie zamykające – mruczę i zabieram się do pracy. To nie trwa długo. Otwieram zamki od czasu, gdy nauczyłem się chodzić. Mam wrodzony talent. Wpadamy do środka. Makri bierze z ołtarza wielki świecznik i zapala go krzesiwem. Odnoszę wrażenie, że bawi ją to świętokradcze zachowanie, ale ja czuję się nieswojo. Cienie rzucane przez otaczające nas posągi chwieją się niesamowicie i w głębi duszy oczekuję, że jakiś pradawny święty wyjdzie z niszy i zgani mnie za profanowanie kościoła.

Zaczynamy poszukiwania. Podnosimy kapę okrywającą ołtarz, zaglądamy pod ławki, wtykamy nosy we wszystkie zakamarki kościoła. Przerywa nam hałas od strony drzwi, którymi weszliśmy. Makri szybko zdmuchuje świece i znikamy bezszelestnie pod ławką. W polu widzenia pojawia się migotliwe światełko. Ryzykuję szybkie zerknięcie, potem przysuwam usta do ucha Makri.

–Gliksiusz – szepczę. – I trzech innych.

Czekamy ukryci pod ławką, podczas gdy czarnoksiężnik i ludzie z Towarzystwa Przyjaciół przeszukują świątynię. Najwyraźniej nie jestem jedyną osobą, która podejrzewa Prawdziwy Kościół o kradzież.

Znów rozlega się szmer przy drzwiach. Gliksiusz gasi świetlną laskę i czterej mężczyźni kryją się gdzieś po drugiej stronie kościoła. Znów zerkam dyskretnie z kryjówek. Do wnętrza, z mieczem w ręku, wchodzi Hanama. Gdy widzę, jak skrada się bez głośno w stronę ołtarza, zastanawiam się, skąd to zainteresowanie zabójców elfią tkaniną.

Hanama ma mniej czasu na poszukiwania niż Gliksiusz. Przerywa prawie natychmiast, kiedy słyszy odgłosy towarzyszące przybyciu następnej partii poszukiwaczy, i chowa się za ołtarzem. Znika ledwie parę sekund przed wejściem Yubaxasa i pięciu ludzi Bractwa.

–Zaraz wybuchnę śmiechem – szepcze Makri.

Rzucam jej ostrzegawcze spojrzenie, choć muszę przyznać, że na swój sposób to nawet zabawne. Tkwimy, wraz z Towarzystwem Przyjaciół i zabójczynią, ukryci pod krzesłami i w różnych innych miejscach. Sytuacja zaczyna mi się kojarzyć ze sceną z najbardziej nieprawdopodobnej komedii.

Kiedy odgłosy przy drzwiach zmuszają Yubaxasa i jego kamratów do pospiesznego szukania kryjówek, Makri naprawdę chichocze. Na szczęście jej śmiech zagłuszają głosy nowych przybyszów, którzy nie starają się zachowywać po cichu. Wychylam głowę i widzę biskupa Gzekiusza i czterech wikarych z latarniami, prowadzonych przez pontyfika Derlexa.

–Gdzie jest? – pyta Gzekiusz, a jego głos dudni echem w kościele.

Derlex otwiera drzwi wiodące do bocznego pomieszczenia. Po chwili wraca z okazałą sztuką Czerwonej Tkaniny.

–Wybornie – mówi biskup.

Czekam w napięciu. Czy ludzie skrywający się tutaj obrabują biskupa? Ja nie mam takiego zamiaru, nawet w imię oczyszczenia księżniczki i ogromnej nagrody.

Znalazłbym się w nie mających końca kłopotach. Jestem rozczarowany, że tylu innych pojawiło się w miejscu, gdzie była Czerwona Tkanina Elfów, ale potrafię z tym żyć. To lepsze niż stawanie przed sądem za włamanie oraz przypuszczalnie herezję i zdradę.

Otwierają się drzwi na tyłach kościoła. Niesamowite – wchodzi czterech Orków. Biskup krzyczy z przerażenia. Orkom pod żadnym pozorem nie wolno wchodzić do tego kościoła. Pojękuję. Wiem, co się zaraz stanie, ale jestem bezsilny – nie mogę temu zapobiec. Makri wyskakuje spod ławki i śmiga w stronę Orków, z mieczami w rękach i mordem w oczach. Podnoszę się i biegnę za nią. Nie mogę pozwolić, by sama walczyła z Orkami.

–Thraxas! – wyje pontyfik Derlex.

–Orkowie! – wrzeszczy Yubaxas, gdy Bractwo zdradza swoją obecność.

Orkowie nie mają szans. Ja i Makri walczymy, a Bractwo i Hanama ich oskrzydlają. Nawet wikarzy spieszą z pomocą. Orkowie szybko zostają zlikwidowani.

–Orkijskie męty – syczy Makri i kopie jedno z ciał.

–Co tu robicie? – krzyczy biskup Gzekiusz.

Osobiście nie rwę się do udzielenia odpowiedzi. Krępująca cisza nie trwa jednak długo. Rozlega się potężny grzmot, strzela błyskawica i wszyscy za wyjątkiem mnie rzucają się na podłogę. Ja stoję, aczkolwiek chwiejnie. Jedyna zaleta nadwagi to nisko ulokowany środek ciężkości. Gliksiusz Pogromca Smoków wkracza na pobojuwisko. I zmierza prosto do tkaniny.

–Zauważyłem, że nie wzięłeś udziału w walce z Orkami – powiadam, podnosząc tkaninę z podłogi.

–Przymierza się zawiązują i przymierza się rozpadają. Dawaj mi to! – krzyczy.

–Świętokradcy! – ryczy biskup Gzekiusz. – Wszyscy za to zapłacicie! Wynocha z mojego kościoła!

Gliksiusz rzuca się na mnie. Makri podstawia mu nogę i mag wyklada się jak długi. Korzystam z rady biskupa i uciekam z tkaniną.

Makri pojawia się u mego boku jeszcze przed skręceniem w uliczkę. Mamy około piętnastu sekund przewagi nad Gliksiuszem i Towarzystwem Przyjaciół.

–Patrz! – sapie Makri. No końcu mrocznej alejki czeka ośmiu uzbrojonych ludzi.

Makri chwyta miecze.

–Jesteśmy w potrzasku – jęczę.

Dziwne, przed nami podnosi się pokrywa wjazdu do kanalizacji.

–Tutaj! – syczy ktoś.

To Hanama. Jak to ona, wymknęła się z kościoła przez nikogo nie zauważona.

Waham się. Spotkanie z zabójcami w kanałach nie jest zbyt kuszącą perspektywą. I nie zapomniałem o aligatorze. Nagle moje zmysły zaczynają świrować. Gliksiusz Pogromca Smoków wylania się zza rogu i ma zamiar rozpętać straszliwe zakłęcie. Błyskawicznie rozwijam belę tkaniny i zarzucam ją na siebie i Makri. Zakłęcie odbija się od nas nie czyniąc szkody, ale Makri, zaskoczona moim niespodziewanym manewrem, wpada na mnie i oboje szybujemy w cuchnącą ciemność.

–Tylko nie to – jęczę, taplając się w nieczystościach. Dwie wizyty w kanałach z okazji jednej sprawy to nadmiar szczęścia.

–Idziemy.

Jak najszybciej zwijam tkaninę w kłęb i ruszamy, podczas gdy nad nami słychać krzyki i zamieszanie.

Nie wiem, gdzie jesteśmy. Jeszcze nie byłem w tej części kanałów, prowadzi więc Hanama. Niesie niewielką, przemyślnie skonstruowaną latarnię, którą oświetla nam drogę.

Nie jestem pewien, dlaczego za nią idziemy. Nie sędzę, żebyśmy byli sprzymierzeńcami. Ale dobrze, że zabiera mnie jak najdalej od Gliksiusza. Solennie przysięgam sobie, że jeśli przeżyję tę noc, to poniosę każdą ofiarę, łącznie z czasowym wyrzeczeniem się piwa, by kupić sobie nowe zakłęcie ochronne. Są niebotycznie drogie, ale nie mogę na okrągło uciekać przed czarnoksiężnikami, nie w tym zawodzie.

–Dokąd idziemy?

–Do wyjścia na brzegu – odpowiada Hanama, która czuje się w kanałach jak w domu.

–Uważaj na aligatory – sapię do Makri.

–Jasne. – Nawet ona jest lekko zaniepokojona perspektywą takiego spotkania. Mamy niezły czas. Z powodu długotrwałej suszy i upałów poziom ścieków jest niski.

Już zaczyna brakować wody w turajskich akweduktach.

Hanama zatrzymuje się nagle.

–Jesteśmy blisko wyjścia.

I gasi latarnię. Zanim mam czas połapać się, do czego zmierza, chwytając tkaninę i próbuje mi ją wyrwać. Ja nie puszczam i w efekcie oboje wywracamy się i zaczynamy tarzać w brudach, walcząc o cenną zdobycz. Powiedziałbym, że jest lepszym zapaśnikiem, ale ja mam przewagę masy.

–Puszczaj! – głośno syczy Hanama. Tarmosimy się jeszcze trochę, a w pewnej chwili moje zmysły odbierają złowieszcze ostrzeżenie.

–Gliksiusz – mówię. – Nadciąga magia.

–Co to za hałas? – woła Makri, gdy w tunelach zaczyna się rodzić potężny ryk.

–Brzmi jak powódź.

–Niemożliwe, jest lato.

Niespodziewana i przerażająco ogromna fala wody pojawia się w tunelu i unosi nas z sobą. Obijam się o ściany i szoruję po dnie, niezdolny zaczerpnąć tchu, gdy czoło powodzi pcha nas przed sobą niczym szczury. Moja ostatnia świadoma myśl sprowadza się do ciśnięcia klątwy na głowę Gliksiusza Pogromcy Smoków za rozpętanie podobnego piekła. Ten człowiek jest kompletnie bezduszny. Nawet nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak zakłęcie powodzi. Wreszcie tracę przytomność. Przed oczami przemykają mi obrazy z mojego życia.

Przytomnieję powoli gdzieś na brzegu morza, leżąc jak wieloryb wyrzucony na plażę. Kaszlę i wyrzucam z płuc całe hektolitry wody, wreszcie podnoszę się chwiejnie na kolana. Jest bardzo ciemno, ale dostrzegam leżącą w pobliżu Makri. Gdy brnę ku niej z trudem, otwiera oczy i przekręca się na bok, żeby zwrócić to co połknęła.

–Żyjesz?

–Mniej więcej – mamrocze Makri, zbierając się na nogi. Cieszy się, że nadal ma oba miecze. Przyniosła je z sobą z orkijskich aren. Orkowie mogą być zniechęceni jak świat długi i szeroki, ale wyrabiają doskonały oręż. Potem zauważam coś owiniętego wokół dłoni. Strzęp Czerwonej Tkaniny, oddarty z beli. Patrzę na niego ponuro. Wątpię, czy ktoś wypłaci mi nagrodę w wysokości sześciuset guranów za ten żalony fragment. Klnę i wpycham go do kieszeni. Hanama musiała pochwycić resztę. Jak zwykle zniknęła. Z tkaniną. Klnę na czym świat stoi.

–Nie mogę pozbyć się tej przeklętej baby. Jest ostra jak ucho Elfa w prowadzeniu śledztwa. Do diabła, skąd wiedziała, żeby przyjść do kościoła?

Brnę w górę kamienistej plaży. I staję jak wryty. Obok kałuży leży drobna postać Hanamy. Gdy się zbliżamy, przekręca się na bok i jęczy. Makri podbiega i klęka obok niej.

–Ktoś uśpił ją czymś ciężkim.

Zabójczym ma paskudną ranę na potylicy. Odwraca się, gdy słyszy nasze głosy. Makri bierze w dłonie jej głowę i wpuszcza jej do ust parę kropel wody z manierki.

–Dzięki, Makri – chrypi zabójczyni. Podnosi się z kamieni.

–Co się stało?

–Ktoś uderzył mnie od tyłu. Wymiotowałam wodą z powodzi...

–Gdzie jest tkanina? – pytam ostro.

Hanama patrzy na mnie zimno i odwraca się na pięcie. Rusza chwiejnie w górę plaży. Patrzę za nią, ale pościg ani mi w głowie. Nie odpowiedziałaby na to pytanie, nawet gdyby zależało od tego jej życie.

Na niebie widnieją dwa spośród trzech księżyców. Poświata połyskuje na kamieniach wielkości mojej pięści. Pochylam się i znajduję otoczek jeszcze lepki od krwi. Ten, kto uderzył zabójczynię, nie bawił się w finezję. Chowam kamień do kieszeni.

Przez nieużytki, za którymi stoją magazyny, docieramy z Makri do ścieżki. Moje ubranie paruje w gorączce nocy. Przynajmniej woda z powodzi zmyła nieczystości. Mijamy magazyn, skręcamy za rogiem i tam, wprost przed nami, stoi Gliksiusz Pogromca Smoków. Jest sponiewierany, jakby porwała go własna powódź.

–Ty... – zaczyna i podnosi głos, żeby rzucić zaklęcie.

Nic się nie dzieje. Zaklęcia mu się wyczerpały. Uśmiecham się.

–Paskudnie, Gliksiuszu – powiadam i z całej siły walę go w pysk. To porządny cios. Włożyłem w niego dużo uczucia, a i niemało ciężaru. Czarnoksiężnik nakrywa się nogami i ani drgnie.

–Śliczny cios – mówi Makri z podziwem.

–Dziękuję.

Po całej tej magii wymierzenie przyzwoitego ciosu naprawdę sprawia przyjemność.

Idziemy dalej. Część nocnej misji zakończyła się porażką. Miejmy nadzieję, że następna pójdzie lepiej. Mamy spotkanie z Sarin Bezlitosną, ale nie docieramy daleko. Z Alei Kwintesencji wypadają trzy landusy i z piskiem hamują obok nas. Wyskakują z nich pontyfikowie, cały tuzin. Noszą kapłańskie stroje, ale mają też miecze i wyglądają tak, jakby wiedzieli, do czego one służą. Przypuszczam, że stanowią naprawdę wyspecjalizowane ramię Kościoła.

–Biskup Gzekiusz chciałby cię widzieć.

Ręce Makri wędrują do mieczy. Kręcę głową.

–Świetnie. Z rozkoszą zobaczę biskupa.

Wsiadamy i landusy wiozą nas przez nadal ciemne ulice miasta.

Głową Kościoła w Turaijest arcybiskup Xeriusz, mający pod sobą czterech równych sobie biskupów. Parafia Gzekiusza obejmuje Dwanaście Mórz, ale on oczywiście tu nie mieszka. Ma wielką willę w Thamlinie, gdzie wraca do sił po pełnieniu obowiązków duszpasterskich w dzielnicy nędzy, wylegując się przy basenie kąpielowym i pogryzając frykasy przyrządzone z ryb z prywatnych stawów.

Gzekiusz, około pięćdziesiątki, z gęstymi siwymi włosami, jest wielkim, potężnym człowiekiem. I ambitnym, choć zwykle ukrywa to całkiem dobrze pod maską spokoju. Kiedy zostajemy wprowadzeni na jego pokoje, daleko mu do opanowania. W rzeczywistości jest bliski wybuchu i na wstępie grozi mi aresztem, ekskomuniką i przedłużonym pobytem na galerze w charakterze niewolnika.

Spoglądam na niego chłodno, podczas gdy on grzmi o bezczeszczeniu kościołów i sromocie, w jakiej pogrążeni są mieszkańcy Turai w ogólności, a ja szczególnie.

–Strasznie się boję, biskupie – mówię, kiedy nadarza się okazja wtrącenia słowa. – Ale nie powiedziałbym, że twoja pozycja jest zbyt mocna. Wątpię, czy król będzie rozbawiony słysząc, że to ty ukradłeś tkaninę. Tylko on może ją posiadać, pamiętaj. I, oczywiście, jest jeszcze kwestia śmierci Attilana. Twój człowiek ukradł zakłęcie z jego ogrodu. Czy również zamordował dyplomatę przed moim przyjściem?

–Jak śmiesz oskarżać Prawdziwy Kościół o zbrodnię?! – oburza się biskup.

–Nie zapominaj też o kradzieży zakłęcia, uśpieniu królewskiego smoka, a następnie zarabaniu go na śmierć. Rzekłbym, że możesz dołączyć do mnie na galerze.

Miałem nadzieję wstrząsnąć biskupem do żywego. Nie wygląda na wstrząśniętego, ale trochę się uspokaja.

–Ani ja, ani Kościół nie byliśmy zamieszani w kradzież tkaniny. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tkanina trafiła do kościoła Derlexa. Poważnie spodziewasz się, iż ktoś uwierzy, że jeden pontyfik skradł niojskiemu dyplomacie zaklęcie usypiające smoka, inny zaś pomógł wyjąć tkaninę z brzucha bestii?

–Tak.

–Nikt nie uwierzy. Przynajmniej nie wtedy, kiedy oskarżenie padnie z ust kogoś takiego jak ty, Thraxasie – powiada lekceważąco.

–Może nie zdołam przekonać króla ani konsula, biskupie Gzekiuszu, jednak podejmę taką próbę. Ale jestem stuprocentowo pewny, że przekonam pretora Cycleriusza. I pamiętaj, nie tylko ja widziałem ciebie i Derlexa z tkaniną. Widziała cię zabójczyni. Bractwo i Towarzystwo Przyjaciół. Orkijscy ambasadorowie też muszą wiedzieć, że ją miałeś, bo przysłali po nią Orków. W sumie to cała czereda świadków. Przyznaję, żaden z nich nie jest dobry, ale jest ich więcej niż trzeba, by przekonać ludność, że coś knułeś. Ogromnie soczysty kąsek dla “Kroniki”. Bardzo dobra reklama dla Kościoła, biskupie, zwłaszcza w czasie, kiedy senator Lodiusz idzie na całość i nie przebiera w środkach. Nie spodobasz mu się, to pewne. Jak nazwał was w zeszłym tygodniu? “Krwio pijące pasożyty biedaków”, jak mi się wydaje.

Przez chwilę w milczeniu mierzymy się wzrokiem. Częstouję się odrobiną wina, Makri stoi bez słowa w kącie, bo czuje się nieswojo w tym otoczeniu.

–Nie wiem, po co chciałeś zdobyć tkaninę. Może po prostu potrzebowałeś gotówki. Ale myślę, że mogło ci chodzić o sprokurowanie sobie prywatnej komnatki odpornej na czary. Jesteś ambitnym człowiekiem, biskupie Gzekiuszu. Arcybiskupstwo niedługo będzie do wzięcia. Nie należysz do faworytów wśród kandydatów na to stanowisko, ale wszyscy wiedzą, że go pożądasz. Dlatego musisz nieźle pokombinować, żeby je uzyskać. Inni biskupi w Turai nie byłiby zadowoleni, gdybyś miał pokój odporny na magię. Zbyt wielka przewaga w knuciu intryg. Raczej więc uwierzą w moją historię.

Biskup lekko wznosi brwi, co chyba oznacza, że moje argumenty trafiły mu do przekonania. Wyprawia swoich pomagierów z pokoju. Nalewam sobie więcej wina. Doskonały rocznik.

–Gdzie teraz jest tkanina? – pyta, kiedy zostajemy sami.

Mówię mu zgodnie z prawdą, że nie wiem.

–Zniknęła w kanale i prawdopodobnie już się nie pojawi. Dla mnie to źle, jako że polecono mi ją znaleźć. Ale nie to jest moim głównym problemem. Miałem oczyścić imię księżniczki. Do tego zostałem wynajęty. Reszta nie trapi mnie przesadnie. Pomóż mi w tej jednej sprawie, a nie wspomnę nikomu słowem o całej tej niecnej

historii.

Biskup Gzekiusz też nalewa sobie wina i delektuje się jego smakiem.

–Mówisz, że nie szukałeś tkaniny dla siebie, detektywie?

Potrząsam głową.

–Wykonywałem robotę, do której zostałem wynajęty.

Biskup patrzy na mnie przez długi czas. Zdumiewa go myśl, że mogę być uczciwy. Przenosi spojrzenie na Makri. Zastanawia się, na ile może nam zaufać.

–Słyszałem, Thraxasie, że wykonujesz robotę, za którą bierzesz pieniądze. W uczciwy sposób. Być może mogę ci zaufać, że dotrzymasz słowa. Pod pewnymi względami byłoby to łatwiejsze niż odbieranie ci życia.

Wlepiamy w siebie wzrok. Przychodzi mi na myśl, że pontyfik Derlex musiał złożyć mu pochlebne sprawozdanie na temat mojego charakteru. To dla mnie niespodzianka.

–I, jak sugerujesz, miałbym pomóc w oczyszczeniu imienia księżniczki?

Wzruszam ramionami.

–Masz w pałacu niemało dłużników, jeśli chodzi o wyświadczone przysługi. Z tego, co słyszałem, nawet król jest ci coś winien. Tkanina przepadła, a skandal w rodzinie królewskiej nie przyniesie niczego dobrego ani tobie, ani Kościołowi.

Biskup patrzy na mnie jeszcze przez chwilę.

–Mam wpływy – powiada. – Możliwe, że wystarczające, aby powodować królem. I dostateczne, aby twoje życie w Dwunastu Morzach stało się krótkie i pełne wypadków. Żeby być pewnym, że nigdy nie sprawisz mi kłopotów.

Odprawia nas ze swojej siedziby.

–Co chciał przez to powiedzieć? – pyta Makri, gdy znów jesteśmy na rozgrzanej ulicy.

–Myślę, że pomoże księżniczce. I że będę miał się z pyszna, jeśli nasze drogi znów się skrzyżują. Cóż, na razie nie muszę się martwić.

Spoglądam w gwiazdy.

–Mamy jeszcze godzinę do spotkania z Sarin. Wykorzystamy ten czas na rozmowę z

Astrathem Potrójnym Księżycem. Najwyższa pora skorzystać z właściwej czarnoksięskiej pomocy. Ktoś walnął Hanamę po głowie i zabrał tkaninę. Chciałbym wiedzieć, kto to zrobił. Poza tym zastanawiam się, czy Astrath mógłby namierzyć Sarin. Tas ze Wschodniej Błyskawicy nie mógł jej znaleźć, ale może to oznaczać, że się ukrywała. Jeśli wyszła już z kryjówki i dowiem się, gdzie przebywa, będę mógł zaskoczyć ją i odzyskać dokument bez zapłaty. Po co wydawać bez potrzeby tysiące Cyceriuszowych guranów?

Zerkam na Makri.

–Przy okazji, kiedy ty i Hanama zostałyście przyjaciółkami?

–Co?! Nie jesteśmy przyjaciółkami.

–Doprawdy? Trzymałaś jej głowę, kiedy znaleźliśmy ją nieprzytomną, w sposób jak najbardziej przyjacielski. A ona powiedziała “dzięki, Makri”, kiedy dałaś jej wody. To przyjazna odżywka, jak na zabójczynię.

Makri prycha wymijająco.

–Tak? Dostała po głowie. Stajesz się mamony, Thraxasie. Spotkałam ją tylko raz, kiedy atakowała cię w twoim pokoju.

Mam co do tego poważne wątpliwości, ale odkładam je na bok. Idziemy złożyć wizytę Astrathowi Potrójnemu Księżycowi. Jest środek nocy. Ulice są ciche, pomijając paru pracowników piekarni, którzy spieszą rozpalać w piecach przed wypiekaniem jutrzejszego chleba.

Nasza wizyta u Astratha okazuje się bezużyteczna. W gruncie rzeczy mag nie ma nic przeciwko temu, że budzę go w środku nocy, ale kiedy proszę go o pomoc w odnalezieniu Sarin, efekty są zerowe. Nie inaczej idzie w kwestii sześciu worków dwa.

–Musiała opuścić miasto.

–Niemożliwe. Za pół godziny ma spotkać się z nami na Stadionie Superbuisza.

Czarnoksiężnik wzrusza ramionami i pyta, czy może jeszcze coś dla nas zrobić. Nadal mam kawałek Czerwonej Tkaniny Elfów, ale oczywiście z niej nie da rady nic odczytać. W tej chwili mam powyżej uszu Czerwonej Tkaniny Elfów. Ta szmata nie przynosi nic prócz kłopotów. Podaję Astrathowi kamień, którym została ogłuszona Hanama, i pytam go, czy z niego można się czegoś dowiedzieć.

–Daj mi chwilę, Thraxasie. Wydobywanie informacji z kamienia zawsze jest trudne. Aura przywiera do nich bardzo słabo, jeśli w ogóle.

Proszę go, by zrobił wszystko, co w jego mocy, i pytam, czy może pożyczyć nam swój landus.

–Nie możesz jeździć nocą po mieście.

–Mam senatorski przywilej.

–Naprawdę?

–Nie. Ale pracuję dla Cynceriusza, mogę więc udawać.

–Które z nas jest senatorem? – dopytuje Makri, gdy pędzimy powozem.

Makri doskonale wie, że kobieta nie może być senatorem. Zaczynam myśleć, że po zebraniach Ligi robi się coraz bardziej przemądrzała.

Nad miastem wisi napięcie, dlatego w centrum Straż Obywatelska nadal patroluje ulice. Krążą nieprawdopodobne pogłoski o odwołanych wyborach, planowanych przewrotach, przekupstwie i zamachach. Chodzą nawet szept, że rodzina królewska kupowała narkotyki od Orków i sprzedawała je mieszkańcom.

Strażnicy chcą nas zatrzymać.

–Pilna sprawa z polecenia pretora Cyceriusza! – ryczę i galopujemy w kierunku stadionu. Mam przy sobie worek złota od Cyceriusza i przykazanie, żeby zapłacić, ile będzie trzeba, byle tylko odzyskać książęcą akredytywę.

Stadion Superbiusza leży zaraz przy murach we wschodniej części miasta. Jest to wielki kamienny amfiteatr, zbudowany przez króla Warkujusza sto czy ileś tam lat temu. To bardzo ważne miejsce. Odbywają się tutaj występy cyrkowe, przedstawienia teatralne, ceremonie religijne, pokazy gladiatorów i przyczyna moich ostatnich kłopotów, wyścigi rydwanów, Uwielbiam wyścigi rydwanów. W sezonie dwa razy w tygodniu amfiteatr wypełniają po brzegi miłośnicy wyścigów ze wszystkich warstw społeczeństwa Turai. Pretorzy, prefekci, senatorowie, kapłani, damy z towarzystwa, magowie, wysocy urzędnicy gildii mieszają się tu z ogromną masą turajskiego proletariatu, żeby cieszyć się dniem wolnym od obowiązków i przy okazji zgarnąć trochę forsy. Książę Frisen-Akan jest entuzjastą wyścigów i właścicielem stajni rydwanów. Nawet król czasami przychodzi. Naturalnie, Stadion Superbiusza przyciąga również chmarę drobnych łotrzyków, a większość bukmacherów jest kontrolowana przez Bractwo lub Towarzystwo Przyjaciół.

Wysiadamy z landusa i wchodzimy do kolosalnej, mrocznej budowli. Makri ma z sobą latarkę. Gdy ją zapala, posągi słynnych gladiatorów i woźniców rzucają rozkołysane cienie na stare kamienne mury. Nikogo nie ma.

Wyjmuję pasek Czerwonej Tkaniny Elfów wydarty w kanałach z rąk Hanamy i rozdieram go na dwoje.

–Zawiąż sobie na szyi.

Makri robi zdziwioną minę.

–Jeśli jest tutaj Sarin, to nie brakuje jej współnika Gliksiusza Pogromcy Smoków. Ten pasek materiału zadziała jako zakłęcie ochronne.

–Jesteś pewien?

–Nie do końca. Ale mogę mieć rację.

Okrażamy Łuk Triumfalny, przez który przechodzi parada zwycięzców na końcu igrzysk. Przed nami, w cieniach, na ziemi leży jakaś postać. Wyciągamy miecze i zbliżamy się ostrożnie. Makri klęka.

–To Sarin – syczy. – Oberwała w tył głowy.

Najpierw Hanama, a teraz Sarin. Ktoś ułatwia mi życie. Rozglądam się. Nikogo, ale pod murem dostrzegam kupkę białego proszku. Nabieram trochę na palec i smakuję.

–Dwa. Wygląda na to, że Sarin miała z sobą worki i ktoś je porwał.

Makri też oblizuje palec unurzany w proszku. Nie sędzę, żeby to było konieczne, ale nawet nie komentuję.

Klękam i zaczynam przeszukiwać Sarin.

–Może nadal ma dokument. Nie ma sensu za niego płacić, jeśli można załatwić to inaczej.

Sarin oberwała naprawdę mocno i przysięgłbym, że będzie nieprzytomna przez długi czas, ale ku mojemu zdumieniu nagle i otwiera oczy. Jestem jeszcze bardziej zdumiony, gdy szarpie mnie za włosy i przewraca na ziemię. Podrywa się na nogi i, choć ocknęła się dopiero przed chwilą i ma paskudną ranę na głowie, przyjmuje bojową postawę.

–Zgubiłaś swoją kuszę? – szydę i atakuję. Jako doświadczony uliczny zabijaka markuję lewą i trafiam ją prawą. Przynajmniej taka jest teoria. Sarin unika obu ciosów i kopie mnie w żebra. Znów padam na ziemię. Podnoszę się, naprawdę zaskoczony takim rozwojem wypadków. Rzucam się na nią, wyobrażając sobie, że zyskam przewagę dzięki swojej wadze, ale Sarin wykonuje jakiś skomplikowany ruch, za którym nie do końca nadążam, i znów ląduję na ziemi. Wściekam się poważnie, bo kątem oka dostrzegam, że Makri, zamiast skoczyć mi z pomocą, zwija się ze śmiechu. Wyciągam miecz. Sarin wyjmuję nóż. Krążymy dokoła. Nie mogę znaleźć luki w obronie. Kompletnie tego nie rozumiem. Nie kłamałem mówiąc, że kiedyś wypędziłem ją z miasta. Do licha, jakim cudem wróciła jako zaprawiony w boju wojownik? To mnie przerasta.

Wymieniamy parę ciosów. Zaczyna brakować mi tchu. Walczyłem i biegałem aż do przesady przez ubiegłe dwadzieścia cztery godziny i nie miałem czasu ani na jedzenie, ani na sen. Gorąco mnie rozkłada. Skaczę na Sarin, ona w rewanżu podcina mi nogi i ponownie padam ciężko na ziemię. Podnoszę się i odwracam głowę ku Makri.

–Przestaniesz zgrywać eunucha w burdelu i pomożesz człowiekowi w potrzebie?

–Ja tylko daję ci szansę, Thraxasie. Powiedziałeś, że spadniesz na nią niczym zły czar, jeśli znów pokaże się w Turai.

Piorunuję ją wzrokiem, a następnie przypuszczam kolejny atak na Sarin. Pokażę jej, kto jest tutaj najlepszy w swoim fachu. Ona paruje cios swym niewielkim nożem i uderza mnie tak mocno otwartą dłonią, że obracam się jak fryga, wpadam na mur i osuwam na ziemię.

Makri dochodzi do wniosku, że naśmiała się dość jak na jeden dzień, i staje nade mną z wyciągniętym mieczem.

Stawia czoło Sarin.

–Thraxas mówił mi, że nie umiesz walczyć.

Podnoszę się, cały obolały.

–Takie sprawiała wrażenie.

–Spędziłam trzy lata w klasztorze wojowników w Kvalirze – mówi Sarin i niemal się uśmiecha.

–Przypuszczam, że nie zgłębiałaś tam religii – powiadam, wdzięczny za szansę na odzyskanie tchu.

–Nie. Tylko sztukę walki. Uznałam, że drażni mnie, gdy ponoszę klęskę. Teraz już nikt mnie nie pokona.

–Nie wyglądałaś zbyt dobrze, kiedy cię znaleźliśmy.

–Ktoś zaszedł mnie od tyłu. – Sarin Bezlitosna marszczy brwi i popada w krótką zadumę. – Normalnie nikomu nie udałoby się ta sztuka.

–Może twój kumpel Gliksiusz Pogromca Smoków zdecydował, że już cię nie potrzebuje.

Potrząsa głową.

–Już z nim nie pracuję. Horm i Gliksiusz wystawili mnie do wiatru. Po tym, jak swoją kuszą oczyściłam im drogę, próbowali wykluczyć mnie z operacji. Nie chcieli dzielić się zyskami z trzecią osobą. A zwłaszcza nie z kobietą.

Wzrusza ramionami.

–Tym gorzej dla nich. Przechytrzyłam ich. I to nie Gliksiusz mnie uderzył. Nie byłby do tego zdolny.

Rozgląda się z zakłopotaną miną.

–Mój koń zniknął. I dwa. – Sięga za pazuchę i wyjmuję dokument księcia. – Ale nadal mam list. Kosztuje dziesięć tysięcy guranów. A może spróbujesz mi go odebrać?

Na razie nie. Milczę.

–Przejdźmy do interesów – mówi.

–Wydaje mi się, że ten dokument należy do mnie – oznajmia obcy głos.

Z mroku wyłania się wysoka postać w tęczowym płaszczu. To Gliksiusz Pogromca Smoków. Patrzy na mnie z nienawiścią w oczach.

–Mniemam, że szukamy tego samego drobiazgu – powiada.

Chrząkam w odpowiedzi.

–Tracisz czas, Thraxasie. Dokument jest mój.

–Zdaje się, że będziesz miał problem z wejściem w jego posiadanie.

–Nie spodziewałem się takiej zdrady ze strony Sarin.

Odwracam się do niej.

–I co teraz zrobisz? Wątpię, czy twoje klasztorne szkolenie wystarczy, żeby obronić się przede mną, Makri i Gliksiuszem.

Sarin parska pogardliwie. Nie wywarłem na niej wrażenia.

–Jako reprezentanci poważanych polityków w mieście stanowicie żalosalną parę. Gruby, zapijaczony detektyw i mag-kryminalista. – Podnosi dokument. – Przyda się do szantażowania księcia. Stawka wyjściowa wynosi dziesięć tysięcy guranów. Kto da więcej?

Gliksiusz Pogromca Smoków nie ma zamiaru licytować. Podnosi rękę, żeby rzucić w nią zaklęciem. Parę sekund później leży ogłuszony na ziemi, powalony przez własną magię. Kolejna postać w tęczowym płaszczu splywa łagodnie z wierzchołka łuku.

–Kto to? – pyta Makri.

–Tas ze Wschodniej Błyskawicy – wyjaśniam. – Wygląda na to, że Ochrona Pałacowa wreszcie wkroczyła do akcji.

Spodziewam się, że Tas wyrwie Sarin dokument i na dokładkę rzuci ją o mur

zaklęciem. Zamiast tego podchodzi do niej i cmokają lekko w policzek. Makri i ja wytrzeszczamy zdumione oczy, gdy ona oddaje mu pocałunek.

–Nic dziwnego, iż powiedział, że nie może jej znaleźć. Są w zмовie.

–W rzeczy samej – dudni Tas, wysoki mężczyzna z długimi brązowymi włosami spływającymi po tęczowym płaszczu.

–Co się dzieje z tymi magami w Turai? – warczę, przeklinając ich wszystkich. – Jeśli nie są uzależnieni od dwa albo gorzały, to są psychopatycznymi kryminalistami.

–Szkoda, że nie ukończyłeś studiów – szepcze Makri, czujnie przypatrując się przestępczej parze. – Czy Tas jest potężniejszy od ciebie?

–Jak tygrys w porównaniu ze szczurem. Radzę, nie próbuj go drażnić. Pamiętaj, co się stało z Miriuszem Jeżdżącym na Orłach.

–Czyżbym słyszała ofertę? – woła Sarin Bezlitosna.

Proponuję jej dziesięć tysięcy guranów. Gliksiusz Pogromca Smoków podnosi się i rzuca ordynarne przekleństwo. Miota następne zaklęcie, a Tas odbija je zwinnie. Gliksiusz z powrotem rozkłada się na ziemi. Podoba mi się ten widok. Kopnąłbym go, póki leży, ale nie mam czasu.

–Wydaje się, Thraxasie, że jesteś jedynym uczestnikiem licytacji – mówi Sarin. – Doskonale, sprzedano za dziesięć tysięcy guranów.

Wyciąga list. Ja wyciągam worek ze złotem. Transakcję przerywa błyskawica, która topi piasek między nami i wyrzuca wszystkich w powietrze. Ląduję na plecach, gapiąc się durnie w niebo. W ciemności można rozróżnić kolosalną sylwetkę smoka bojowego, coś, czego tak daleko na zachodzie nie widziano od piętnastu lat, to znaczy od zakończenia wojny. Bestia ma nozdrza czerwone od ognia, a dosiada ją Horm Martwy. Jego długie czarne włosy i ozdoby ze skóry powiewają na wietrze. Ostry głos przecina noc.

–Dokument jest moją prawną własnością.

Tas ze Wschodniej Błyskawicy spokojnie podnosi się z ziemi.

–Nie, Hormie Martwy.

I z tymi słowy rzuca zaklęcie, które wprawia smoka w szaleńcze obroty i śle go w niebo.

–O kurczę! – sapie Makri z nutką podziwu.

Jesteśmy pod wrażeniem. Horm Martwy i smok bojowy najwyraźniej nie przyprawiają Tasa o ból głowy. Horm odzyskuje kontrolę nad bestią i wraca nad stadion.

–Oszczędzaj energię, Tasie ze Wschodniej Błyskawicy! – krzyczy. – Nie przybywam po list ani po złoto, ani żeby z tobą walczyć, choć pewnego dnia zabiję cię w dogodnej chwili.

–W dogodnej chwili! – woła Tas. – W takim razie po co przyszedłeś?

–Zniszczyć wasze miasto i wszystkich ludzi, którzy ostatnio tak mi dokuczali. Ludzi takich jak ty, Thraxasie.

Horm Martwy zaczyna intonować zaklęcie. Bardzo długie zaklęcie w języku Orków, jakiego świat jeszcze nie słyszał. Kończy, kiwa nam drwiąco na pożegnanie, potem podrywa smoka w górę i rozplywa się w mrokach nocy. Patrzymy jedno na drugie. Na razie nic się nie dzieje.

–Co jest grane?

Tas ze Wschodniej Błyskawicy ma wielce ponurą minę. Bierze Sarin za rękę.

–Trzymaj się. Czas lecieć. To było zaklęcie unicestwiająca miasto. Horm musiał je przerobić. Mieszkańcy popadną w szaleństwo. Turai zostanie zniszczone.

Powinienem być mądrzejszy i nie rozdrażniać szalonych półorkijskich czarnoksiężników. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą przyjść i zniszczyć człowiekowi miasto.

–Nic nie czuję – zauważa Sarin.

–Masz ochronny naszyjnik – powiada Tas. – Ja też. Ale mieszkańcy ich nie mają.

Za murem narasta niski pomruk. Wybiegamy ze Stadionu Superbiusza i stajemy jak wryci na widok miasta, które zaczyna ogarniać pożoga. Żółte płomienie skaczą w niebo na spotkanie pierwszych promieni słońca. Sarin wyciąga dokument.

–Złoto – warczy.

Ubijam interes, choć nie wiem, jaki będzie z niego pożytek, skoro Turai strawią płomienie szaleństwa. Gliksiusz Pogromca Smoków zachodzi mnie od tyłu i próbuje wydrzeć list z mojej dłoni.

Sarin Bezlitosna wymierza mu bezbłędny kop w głowę, rzeczywiście godnego szkolonego mnicha-wojownika, i Gliksiusz bez zmysłów osuwa się na ziemię.

–Próba wykiwania mnie jest paskudnym błędem – mruczy Sarin. Wyjmuje nóż i pochyła się nad magiem. Myślę, że chce go dobić, ale ona ze złośliwym uśmiechem przecina i zabiera jego ochronny naszyjnik.

–Wesołego przebudzenia – mówi, mocno obejmując Tasa w pasie. Tas mamrocze zaklęcie i oboje powoli unoszą się w powietrze.

–Nie możecie zostawić Turai na pastwę szaleńcom!

–Jestem pewien, że Lisutaris, Kochanka Niebios, pracowała nad stosownym kontrzaklęciem! – woła Tas, wysoko nad nami. – Może uratuje was wszystkich, o ile będzie przytomna.

Znikają w ciemności.

–Czemu Lisutaris, Kochanka Niebios, miałyby nie być przytomna? – chce wiedzieć Makri.

–Zawsze jest zaćpana. Pali thazis przez wielką fajkę wodną.

Gliksiusz porusza się lekko.

–Lepiej chodźmy stąd.

Biegniemy.

Za nami Gliksiusz wrzeszczy jak opętany i zaczyna wykrzykiwać zaklęcie po zaklęciu, dużo więcej, niż mógłby odnaleźć w pamięci w normalnych okolicznościach. Posągi spadają z cokołów, a mury stają w płomieniach, gdy obłąkany czarnoksiężnik wyładowuje swój gniew wobec świata.

–Ta Sarin to podłe babsko! – wysapuję, gdy wpadamy między najbliższe zabudowania. – Nie daję Tasowi większych szans, kiedy przestanie jej być potrzebny.

Znienacka otaczają nas obłąkani mieszkańcy miasta. Wymachują pałkami i mieczami i atakują wszystko, co tylko się rusza. Jakaś staruszka z kijem rzuca się na Makri. Dziewczyna usuwa ją z drogi, ale zaraz po tym musi wypatroszyć ogromnego najemnika z pomocy, który groził jej bojowym toporem. Uciekamy w zaułek i przeskakujemy zamykający go mur, szukając bezpieczeństwa, choć nigdzie nie jest bezpiecznie. Między nami a każdą z miejskich bram kłębi się tłum doprowadzony do szaleństwa przez zły czar Horma Martwego.

Nagle znikąd pojawia się czyjaś ręka. Chwyta Makri i wciąga ją w ciemną bramę. Makri znika ze zduszonym skowytym. Rzucam się za nią i wpadam na drobną postać

w ciemnym stroju. To Hanama, Mistrzynie Zabójców.

–O Boże, brakowało nam tylko oszalałej zabójczynie! – krzyczę i skaczę jej do gardła. Hanama odsuwa się zwinnie i wpadam na ścianę.

–Nie oszalałej – poprawia zimno Hanama i wskazuje swój ochronny naszyjnik sporządzony z kawałka Czerwonej Tkaniny Elfów.

Nie wiem, czy to spotkanie jest przypadkowe, czy też Hanama nas śledziła. Całe miasto z ochotą przystępuje do samozniszczenia i nie mam czasu na myślenie.

Zabójczym z niesmakiem omiata wzrokiem rozpasaną tłuszcę.

–Mój cech nie lubi zbyt wielkich niepokojów społecznych – powiada. – Umiarkowany ferment jest dobry dla interesów, ale zbyt wielki wszystko psuje.

–Prawda, Hanamo. Nikt nie potrzebuje zabójców, kiedy i tak wszyscy się zabijają. Przypuszczam, że nasze detektywistyczne zapędy też wezmą w łeb.

–Spróbujmy dostać się do domu Lisutaris – mówi Makrij i wyjaśnia Hanamie, że czarodziejka może mieć zaklęcie kasujące magię unicestwienia. Hanama wyraża zgodę. Spoglądam na nią podejrzliwie. Ostatnio zachowywała się dziwnie nietypowo, jak na zabójcę. Tacy zwykle nie zadają się z innymi, pomijając te okresy, kiedy zabijają ludzi.

Nie żywię zbyt wielkich nadziei, że Lisutaris położy kres szaleństwu, ale brakuje mi lepszego pomysłu. Poza tym możliwe, że magowie z Alei Prawda jest Pięknem będą w stanie powstrzymać obłąkane tłumy, ulica ta jest więc chyba równie dobrym punktem przeznaczenia jak każdy inny. Nie mogę jednak powiedzieć. I że jestem zadowolony z powierzenia swojego losu zabójczym, dlatego każę jej odejść.

Ponad dwudziestu żołnierzy, kompletnie oszalałych i uzbrojonych po zęby, pędzi w naszą stronę. Uciekamy, a zatem wbrew własnej woli nadal przebywam w towarzystwie Hanamy.

Na nieszczęście Aleja Prawda jest Pięknem staje się ulubionym miejscem obłąkanych mieszkańców miasta. Nawet w swym szaleństwie dostrzegają, że tutejsze domy to wspaniały żer dla płomieni. Wszyscy wpadli w obłąd. Poza rodziną królewską tylko magowie, starsi urzędnicy państwowi i kilku bogatych kupców ma ochronne naszyjniki. Nie dają im większych szans w konfrontacji z rozszalałą tłuszcą.

Dzięki umiejętnościom bitewnym Makri i Hanamy oraz znacznej sile rażenia mojego potężnego ciała zbliżamy się do celu. Magowie podejmują rozpaczliwe wysiłki, żeby utrzymać oszalałych obywateli na dystans. W powietrzu trzaska magiczna energia,

gdy płonące pochodnie i pociski bombardują wzniesioną przez nich barierę. Nie wszyscy magowie z Alei Prawda jest Piękem mają taką moc jak Tas ze Wschodniej Błyskawicy czy Harmon Pół-Elf. Niektórzy z nich są tylko trochę lepsi od astrologów, dysponujących możliwościami niewiele większymi niż moje, i wysiłek zaczyna ich przerastać. Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd i stary Hazjusz Olśniewający, naczelny mag w Pałacu Sprawiedliwości, obaj potężni, stoją pewnie na środku ulicy i odpierają ataki hałasty, ale paru ich kolegów zaczyna się wycofywać pod gradem pocisków. Kilka płonących głowni przenika przez magiczną barierę i domy na końcu ulicy stają w płomieniach. Nigdzie nie widać Lisutaris, Kochanki Niebios.

Uwaga tłumu jest całkowicie zaprzątnięta atakiem i nikt nie podejmuje próby zatrzymania nas. Kiedy docieramy do końca ulicy, co sił w płucach ryczę do Gorsjusza Poszukiwacza Gwiazd, starając się przekrzyknąć panujący harmider. Gorsjusz słyszy i spogląda na mnie z powątpiewaniem. Podnoszę swój ochronny naszyjnik, wrzeszcząc, żeby mnie wpuścił. Macha laską. Bariera migocze. Hanama, Makri i ja prześlizgujemy się na drugą stronę.

–Złe miejsce na azyl – sapie Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd i miota zaklęcia. Jest tylko w bieliźnie, bo nie miał czasu nawet na narzucenie tęczowego płaszcza. – Nie powstrzymamy ich zbyt długo.

–Gdzie jest Lisutaris?

–Pewnie naćpana – mówi Gorsjusz, robiąc unik przed nadlatującym kamieniem.

–Tas ze Wschodniej Błyskawicy powiedział mi, że pracowała nad kontrzaklęciem na to, co się dzieje. Określiła to jako Ośmiomilowy Terror.

–Ośmiomilowy Terror?! – wrzeszczy Gorsjusz. – W tym tkwi przyczyna?

–A jak myślisz? Chyba nie wzięło się to z wody?

Gorsjusz jęczy.

–Zatem nie ma szans na zakończenie tego szaleństwa. Gdzie jest Tas? Potrzebujemy jego pomocy.

–Obawiam się, że nie przyjdzie.

W dali widać płomienie wznoszące się z Pałacu Imperialnego. Kolejny kamień przebija barierę. Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd osuwa się na ziemię. Jego uczeń odciąga go w bezpieczne miejsce, ale magowie są teraz naciskani bardziej niż dotychczas. Paru młodszym, którzy nigdy nie byli na wojnie, puszczają nerwy. Pędzimy do dworu Lisutaris. Wokół leżą ciała jej sług. Zostali powaleni przez magów, gdy ogarnęło ich szaleństwo. Drzwi są zamknięte.

–Tłum nadciąga – oznajmia Makri.

Szarżuję niczym słoń i drzwi stają otworem. Hanama, najszybsza z nas, pierwsza znajduje Kochankę Niebios, potężną czarodziejkę i nałogową palaczkę thazis. Leży obok swojej fajki wodnej z nieobecny wyrazem twarzy. W pokoju jest gęsto od dymu, gęściej niż “Pod Mściwym Toporem” po całonocnej hulance. Ta kobieta naprawdę pali zbyt dużo tego świństwa. Po raz kolejny przeklinam zwyrodnienie naszych pałacowych magów.

–Spróbuj ją obudzić, Makri. Poszukam zaklęcia.

Makri zaczyna potrząsać Lisutaris, a Hanama i ja rozbieramy dom na kawałki, szukając kontrzaklęcia na Ośmiomilowy Terror. Dobiegający z zewnątrz ryk tłumu potężnieje, coraz większa liczba oszalałych obywateli przedziera się przez magiczną zaporę.

Gdy wpadam do pracowni Lisutaris, znikąd pojawia się obłąkany służący, machając rzeźniczym nożem. Robię unik i walę go na odlew, ale jest zbyt otumaniony, żeby cokolwiek poczuć. Znów mnie atakuje. Podstawiam mu nogę i rozwalam krzesło na jego głowie. Jeśli przeżyjemy, Lisutaris poskłada go do kupy. Zaczynam wertować księgi magiczne.

–Czy to to? – pyta Hanama, pokazując mi świeżo zapisany pergamin. Czytam go szybko.

–Obawiam się, że nie. To zaklęcie przyspieszające wzrost roślin thazis.

Hanama ze wstrętem odrzuca arkusz i podejmujemy poszukiwania. Kamień wpada przez okno. Tłum jest coraz bliżej. Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd i jego uczeń wpadają chwiejnie tylnymi drzwiami, wlokąc starego Hazjusza Olśniewającego. Wszyscy trzej są pokiereszowani i broczą krwią.

–Tłum się przedziera!

Hazjusz Olśniewający ma jakoby sto dziesięć lat. Nie wiadomo, czy będzie miał szczęście dożyć stu jedenastu, jeśli zaraz nie znajdzie się kontrzaklęcie. Wysuwam następną szufladę i odkrywam w niej stos nowych pergaminów. Przeglądam je w szaleńczym tempie.

–Jest! – wrzeszczę triumfalnie. – Kontrzaklęcie na Ośmiomilowy Terror!

Gorsjusz kuśtyka, żeby je obejrzeć. Czyta je pospiesznie, jednocześnie wycierając krew z twarzy. Następne kamienie wpadają przez okno. Mina mu rzednie.

–Nie skończyła go.

Natychmiast wychodzę z pokoju i mówię Makri, żeby przestała cucić Lisutaris, Kochankę Niebios.

–Nie dokończyła zaklęcia. Nie pozostaje nic innego, jak wynieść się, zanim całe miasto stanie w płomieniach.

–I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o cywilizację – mówi Makri i zbiera się do wyjścia.

–Dokąd idziecie? – pyta Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd, pojawiając się obok nas.

–Dokądkolwiek. Chcemy wywalczyć sobie drogę, zanim miasto strawią płomienie.

–Nie możecie uciec tak po prostu – protestuje mag.

–To jedyne wyjście – mówi rzeczowo Makri. – Nie da rady walczyć ze wszystkimi mieszkańcami.

–Dajcie nam trochę czasu. Lisutaris może dokończyć zaklęcie.

Nie muszę odpowiadać. Drzwi otwierają się i staje w nich, z obłędem w oczach, Gliksiusz Pogromca Smoków.

–Śmierć wszystkim magom! – wrzeszczy.

Skacze na mnie z podniesionymi rękami. Mam nadzieję, że mój magiczny obrońca jest dość silny, by oprzeć się jego zwariowanemu czarom.

Nie mam okazji tego sprawdzić, bo zamiast rzucić zaklęcie, Gliksiusz wali mnie w twarz. Przewracam się na podłogę, a szalenciec wprost pęka ze śmiechu.

–Lubię to – mówi i wyciąga miecz.

Makri skacze, żeby mnie osłonić, i rozpoczyna pojedynek z Gliksiuszem. W tej samej chwili do domu wpada duże stado pomylnych mieszczan, wymachując mieczami i płonącymi pochodniami. Uciekamy z Makri z pokoju, ciągnąc Gorsjusza Poszukiwacza Gwiazd i Lisutaris. Wpadamy do pracowni, gdzie znajdujemy nieprzytomnego Hazjusza Olśniewającego. Hanama wyrzuca dwóch intruzów, którzy wpadli tylnymi drzwiami.

Jesteśmy otoczeni. Barykadujemy drzwi meblami i patrzymy na siebie, zastanawiając się, co zrobić. Lisutaris, Kochanka Niebios, jęczy i powoli dochodzi do siebie. Szaleńcy walą w drzwi i zaczynają rąbać je siekierami.

–Czy wy, magowie, nie możecie nic zrobić? – pyta Makri.

Nie możemy. Nikomu nie pozostało ani jedno zaklęcie. Moje skończyły się dawno

temu, a zbiorowa moc pozostałych została wyczerpana na powstrzymywanie tłumu na ulicy. Nie mamy więcej mocy niż zwyczajni ludzie, a nawet mniej, biorąc pod uwagę stan Hazjusza, Gorsjusza i Lisutaris. Dym zaczyna przesączać się pod drzwiami. Szaleńcy podpalili dom.

Ktoś wrzeszczy:

–Zgasić ogień! Zgasić ogień!

To ja. Nikt nie wygasza ognia.

Nie mogę w to uwierzyć. Jestem tutaj, wśród najpotężniejszych magów w Turai, a czeka mnie śmierć w płomieniach.

–Nikommu nie zostało nawet jedno zaklęcie?

Gorsjusz Poszukiwacz Gwiazd kręci głową. Jego uczeń ma bezradną minę. Hazjusz Olśniewający jeszcze nie odzyskał przytomności. Lisutaris, Kochanka Niebios, nadal jest otumaniona. Dym gęstnieje. Płomienie liżą próg. Makri i Hanama próbują wyważyć drzwi, ale chyba zostały one zabarykadowane od zewnątrz.

Wychodzę z siebie. Łapię Lisutaris, podrywam ją na nogi i wymierzam policzek, który niemal odrywa jej głowę. Czarodziejka otwiera oczy i uśmiecha się głupawo.

–Halo! – wrzeszczę. – Jest tam kto? Słuchaj. Zaraz spalimy się na śmierć. Nikt inny nie ma mocy, wszystko więc zależy od ciebie. Zgaś ogień.

–Co?

–ZGAŚ OGIEŃ!

–Nie musisz krzyżeć – mówi Lisutaris, zdradzając pewne oznaki powrotu do rzeczywistości. Macha ręką. Ogień gaśnie.

–Ale zgłodniałam – dodaje.

Wybijam drzwi paroma potężnymi ciosami. Zaklęcie Lisutaris odrzuca wariatów od domu, ale z wrzaskiem przegrupowują się do następnego ataku. Wynoszę się stąd. Na nieszczęście jeszcze większy tłum obląkańców, łącznie z paroma ciężkozbrojnymi żołnierzami, otacza teraz dom, zajmując ogrody pretora jak niepowstrzymana armia. Znienacka w polu widzenia pojawia się szykowny landus. Woźnica rozpaczliwie walczy o panowanie nad końmi, gdy wszędzie wokół fruważą pociski, a płomienie strzelają w niebo.

Powóz z hukiem przetacza się przez fantazyjnie strzyżony żywopłot i grządki z kwiatami, a potem wycina sobie drogę przez tłum. Ktokolwiek nim jedzie, chyba świadomie kieruje się w naszą stronę.

–Niezła jazda – mruczy Makri, gdy powóz w szaleńczym tempie lawiruje między drzewami. Woźnica garbi się nisko, próbując uniknąć kamieni ciskanych przez rozwścieczony tłum. Landus zatrzymuje się niedaleko domu, gdy przednie koła grzęzną w ozdobnej sadzawce.

–To księżniczka!

–Wybrała złą porę na ucieczkę z więzienia.

Du-Akai wykazuje więcej hartu, niż bym ją o to posądzał. Zeskakuje z kozła, odpędza napastnika i śmiga w naszą stronę przed ścigającym ją tłumem. Kiedy dopada do drzwi, wciągamy ją do domu. Pada na podłogę, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami. Na nieszczęście ten azyl nie będzie zbyt długo bezpieczny. Rozwścieczony jej przybyciem tłum szarżuje na dom i zaczyna forsować drzwi razem z futryną. Lada moment wleją się do wnętrza. Z jękiem odwracam się do Lisutaris.

–Dokończ kontrzakęcie, piorunem! – głośno wołam, a potem ze znużeniem powracam do zadania, które polega na obronie własnego życia. Hanama i Makri dołączają do mnie przy drzwiach i bronimy ich najlepiej jak potrafimy. Widok trzech mieczy wystarcza, by odstraszyć trochę hałasty, ale żołnierzy chyba cieszy okazja walki. Atakują nas tak, jakbyśmy byli wrogimi Orkami. To ponura bitwa i pogarszają fakt, że jesteśmy zmuszeni zabijać niewinnych ludzi. Horm Martwy wywarł straszliwą zemstę. Makri nie powinna była rzucać w niego swoją gwiazdką.

Rozkładałam przeciwnika, kiedy Lisutaris, Kochanka Niebios, krzyczy z tyłu:

–Jak jest po orkijsku “pokój”?

Pytanie zbija mnie z tropu.

–O co ci chodzi? – wrzeszczę.

–Muszę przetłumaczyć kontrzakęcie, inaczej nie zadziała. A mój orkijski nie jest zbyt dobry. Jak to brzmi w ich języku?

–Vazey – woła Makri, kopniakiem odrzucając natarczywego obląkańca.

Walczymy.

–A “harmonijne współistnienie”?

Przetłumaczenie zabiera Makri parę minut, co nie dziwi, ponieważ jednocześnie zмага się z wielkim żołnierzem uzbrojonym w dwustronny topór.

–Chyba tenasata zadad! – głośno woła po zakończeniu pojedynku.

Ciała leżą teraz wszędzie, ale napastnicy nie zaprzestają walki. Ich szaleństwo narasta. W pokoju snuje się dym z domów płonących na ulicy. Mam poważnie zranioną twarz i rozharatane ramię. Zauważam, że Hanama nie porusza się zbyt zwinnie; została ranna w nogę.

–Jak jest po orkijsku “wszyscy ludzie powinni być braćmi”?

–Na miłość boską, Makri, idź do niej i przetłumacz to cholerne zaklęcie. Poradzimy sobie z Hanamą.

Makri rozumie, że mam świętą rację, i zostawia mnie samego z zabójczynią. W chwilach próżności twierdziłem, że jestem najlepszym w mieście ulicznym zabijaką. To przesada, ale jestem w tym dobry. Hanama też. Myślę również o absurdzie walki ramię w ramię z bezduszną zabójczynią, ale nie rozwodzę się nad tym zbyt długo, bo skacze ku mnie naprawdę groźny przeciwnik. To jeden z największych ludzi, jakich w życiu widziałem, i dzierży topór wielki jak drzwi. Jego zaciekły atak spycha mnie w tył i stwierdzam, że sparowanie ciosów topora jest niemal niemożliwe. Atakuje, zawzięty i silny, a ja jestem zbyt zmęczony, by to wytrzymać. Rzucam się na niego i przeszywam mu rękę mieczem, ale on jest bardziej skulony od szalonego maga i niczego nie czuje. Jego topór opada na moją wzniesioną w pośpiechu głownię. Ten cios rzuca mnie mi kolana. Uderza jeszcze raz i ręka mi drętwieje. Robi zamach, celując w moje gardło.

Topór zatrzymuje się przy samej skórze i facet pada na ziemię z nożem Hanamy w plecach. Wystękuję podziękowanie i podnoszę się, gotów stawić czoło następnej fali napastników. Z tyłu słyszę głosy Makri, Lisutaris i innych magów, którzy przerzucają się orkijskimi i elfimi określeniami, próbując dokończyć kontrzaklęcie.

Zraniona noga odmawia Hanamie posłuszeństwa i zabójczyni osuwa się na kolano. Księżniczka znów zbiera się na odwagę, wysuwa się do przodu i ogłusza pałką jej przeciwnika. Ogarnia mnie ślepa furia na myśl, że zginę w taki bezsensowny sposób. Nigdy nie przypuszczałem, że będę walczyć z tłumem obłąkanych turajskich sklepikarzy. Odwracam głowę i co sił w płucach ryczę:

–Jak nie skończysz tego zaklęcia, Lisutaris, zabije cię, zanim oni zabiją mnie!

–Wytrzymaj! – woła w odpowiedzi. – Jeszcze minutka.

Wytrzymujemy kolejną minutę. Gdy Lisutaris zaczyna intonować zaklęcie, padam pod ciężarem sześciu napastników uzbrojonych w pałki i tracę przytomność.

Kiedy się budzę, jest ciemno i cicho. Albo jestem martwy, albo powszechne szaleństwo dobiegło końca. Otwierają się drzwi, wpuszczając do pokoju światło i Makri. Moja towarzyszka ma obandażowaną głowę, ale wygląda zdrowo.

–Co się stało?

–Kontrzakłęcie Lisutaris zadziałało. Jakieś trzy godziny temu całe miasto zaczęło odzyskiwać rozum. Dosłownie w ostatniej chwili dla ciebie i Hanamy. Nawiasem mówiąc, dobrze się sprawiałeś.

–Dziękuję.

Stwierdzam, że wcale nie czuję się źle, zważywszy, przez co przeszedłem.

–Magowie was podreperowali. Oczywiście, po zajęciu się księżniczką. Wszyscy uczestnicy tumultu odeszli, by gasić pożary i lizać rany. Spłonęła połowa miasta, ale magowie chyba mają wszystko pod kontrolą. Straż Obywatelska pilnuje porządku.

–Gdzie jest Hanama?

–W sąsiednim pokoju. Uleczenie jej ran zabrało magom dużo czasu.

–Powinni pozwolić jej umrzeć.

Makri zauważa, że jestem raczej niewdzięczny. Bez Hanamy szalony tłum byłby nas pokonał.

–Może i tak. Może nie. Panowałem nad sytuacją. No cóż, pora wracać do pracy.

–To znaczy?

Kiwam głową.

–Odzyskałem akredytywę księcia i zebrałem dość informacji o handlu dwa, żeby Ceriusz nie stanął przed sądem. Ale nadal nie wiem nic pewnego w sprawie księżniczki. Miejmy nadzieję, że biskup Gzekiusz wyszedł z opresji cało i przekona władze, że to nie ona zabiła smoka. I jeszcze kwestia tkaniny... Długo nad tym myślałem... Chodźmy do Hanamy.

Makri odmawia. Chce wrócić “Pod Mściwy Topór” i sprawdzić, jak tam się rzeczy mają. Martwi się, że w czasie tych szaleńczych zamieszek ktoś mógł świsnąć pieniądze, które zbierała dla Ligi Kobiet Wyzwolonych.

–A jeśli spłonęły moje notatki z filozofii?

Wybiega w pośpiechu, sam muszę więc szukać Hanamy. Małej zabójczyni nie ma w sąsiednim pokoju, ale znajduję ją w piwnicy na wino, gdzie siedzi na polepie z butelką w dłoni. Jej czarny strój zwisa w strzępach, ale ona sama jest w niezłym stanie po kuracji magów.

–Proszę, proszę – powiadam. – Dwa zaskakujące odkrycia w ciągu jednego dnia.

–Jakie?

–Po pierwsze, wydarzenia mogą wstrząsnąć tobą do tego stopnia, że musisz się napić, aby ochłonąć.

–Nie muszę pić, żeby ochłonąć – mówi Hanama zimno.

–A ja tak. – Wybieram sobie butelkę, otwieram ją korkociągiem, który noszę na kółku z kluczami, i siadam przy niej na podłodze. – Pokonaliśmy tuziny szaleńców, co naprawdę przerasta możliwości dwóch osób. Wspaniały wyczyn, choć nie przystoi samemu się chwalić. Każdy po czymś takim zasługuje na butelkę wina, nawet zabójca, wyszkolony do zabijania bez emocji. Co wiecie mnie do drugiego odkrycia dotyczącego ciebie, Hanamo. Nie jesteś wyprana z ludzkich uczuć.

–Po co to mówisz?

–Uratowałaś mi życie. Jestem ci wdzięczny.

–Nie musisz. Uratowałam cię, bo byłeś mi potrzebny do walki z tłumem.

Nie drażę tematu. Prawdopodobnie mówi prawdę.

–Wiesz, Hanamo, ostatnio często się na ciebie natykałem. Jeszcze nie zastanawiałem się nad tym, z jakiego powodu. Jednakże muszę przyznać, że biorąc pod uwagę twoją wysoką pozycję w Cechu Zabójców, nie jesteś taka zła. Może trochę sztywna, ale jak na kogoś, kto niegdyś w czasie burzy wspiał się po pionowych murach zamku Menhasat, żeby zabić konsula Pawiusza, nie jesteś złym kompanem. Czy to prawda, że kiedyś jednego dnia zabiłaś maga, senatora i pana Orków?

–Cech Zabójców nie rozprawia o swojej pracy.

–Zdrówko – powiadam, podnosząc butelkę.

Odrobinę unosi swoją i pijemy. Wokół stoją półki pełne najprzedniejszych roczników, lecz nie dostrzegam piwa. Kończę jedną butelkę i otwieram następną, z

winem najlepszym, jakie mogę znaleźć.

Nie pytam Hanamy, dlaczego szukała tkaniny, bo wiem, że po prostu się wyprze. Ale wyrażam zdziwienie, że znalazłem ją nieprzytomną na plaży.

–Nawet jeśli byłaś na wpół utopiona, to nie pomyślałbym, że dasz się komuś zaskoczyć.

Jest nieco zakłopotana.

–Ja też nie. Przysięgam, że wyczułabym napastnika, na wpół utopiona czy nie.

–Może czary?

Potrząsa głową. Nie wyczuła czarów, a kobieta z jej zdolnościami i wykształceniem z pewnością by je wykryła. Ja też niczego nie wyczułem w toku wydarzeń. To zagadkowa sprawa. I zagadkowy zbieg okoliczności, kiedy się nad tym zastanowić, ponieważ wydaje się bardzo mało prawdopodobne, że ktoś mógłby podkraść się do Sarin Bezlitosnej po jej mnisio-wojowniczym treningu, a jednak to zrobił. Najwyraźniej jakiś typek bardzo dobry w podkradaniu się chodzi po Turai i wali ludzi w tył głowy. Czy to nie znaczy, zastanawiam się, że ta sama osoba, która sprzątnęła Hanamie Czerwoną Tkaninę Elfów, zabrała też Sarin dwa? Interesująca koncepcja.

–Było coś, ale...

Patrzę na nią pytająco.

–Nie potrafię tego określić. W chwili gdy oberwałam, pomyślałam, że wyczuwam... nie wiem... coś nie całkiem ludzkiego.

–Jak Ork?

Nie może powiedzieć. Wszystko odbyło się zbyt szybko, a ona była na wpół utopiona. Nachodzi mnie mgliste wspomnienie, które znika, zanim mogę je sprecyzować.

Hanama łyka jeszcze trochę wina i podnosi się z wdziękiem. Musi wracać i zobaczyć, co się dzieje w kwaterze głównej Cechu Zabójców. Jako numer trzeci w organizacji jest dość ważna, by nosić specjalny czar ochronny, ale to nie jest przywilejem wszystkich zabójców. Musiało być ciekawie, kiedy wielu z nich wpadło w szal pod wpływem Ośmiomilowego Terroru.

Odchodzi. Otwieram następną butelkę. W piwnicy panuje chłód i po raz pierwszy od wielu tygodni jest mi naprawdę przyjemnie. Zaczynam zapadać w drzemkę; nie mam najmniejszej ochoty wstawać i wracać do pracy.

–Ale przypuszczam, że to lepsze od wiosłowania na galerze – mruczę i z trudem zbieram się na nogi.

Księżniczka nosi nową szatę pożyczoną od Lisutaris. Włosy ma wyszczotkowane i splecione w warkocze. Jej kunsztowne naramienniki są pogięte, bo trafiono ją kamieniem, a w drodze zgubiła jeden kolczyk Mimo wszystko jednak nie wygląda źle, jak na kobietę, która musiała przedzierać się przez rozszalałe tłumy. Gdy wyłaniam się z piwniczki, aby wysłuchać od magów zasłużonych podziękowań i gratulacji, korzysta z okazji i dodaje parę słów od siebie. Co prawda nie przeprosza otwarcie za swe poprzednie grubiaństwo, ale daje mi do zrozumienia, że ma teraz o mnie lepsze zdanie. Odpowiadam z kurtuazją, jaką pamiętam ze swoich dni w pałacu.

Magowie usiłują ochłonać po dramatycznych przeżyciach przy stole zastawionym przysmakami i obfitością wybornych win z piwnicy Lisutaris. Zauważam, że Lisutaris jest trochę nie w sosie, zapewne dlatego, że brakuje jej fajki wodnej, a nie chce kurzyć thazis w obecności księżniczki. Nie sądzę, żeby księżniczka miała coś przeciw temu po tych zamieszkach i tak dalej, ale mag musi przestrzegać norm dobrego wychowania, jeśli chce się utrzymać na fali. Księżniczka Du-Akai zbiera się do odejścia. Lisutaris proponuje jej powóz i eskortę do pałacu. Chyba jednak księżniczka czekała na moje przybycie, bo odrzuca propozycję i chce wyjść ze mną. Chwytam ciasto ze stołu magów i idę za nią. Słudzy wyciągnęli powóz z sadzawki i zaprzęgli nowego konia. Wciskam się do landusa za księżniczką.

Słońce pali mocniej niż wczoraj. Wszechobecne śmierdziuszki kryją się na drzewach, a dokładniej na tym, co z nich pozostało. Po chłodzie piwniczki Lisutaris upał jest nie do wytrzymania.

–Gorąco jak w orkowym piekle. Co teraz zrobisz, księżniczko? Wrócisz do niewoli?

Taki ma zamiar. Kiedy wybuchł szaleńczy tumult i znalazła się w pułapce w płonącym skrzydle pałacu, doszła oczywiście do wniosku, że dobrze zrobi szybko się stamtąd wynosząc. Teraz, gdy nastał spokój, najlepiej będzie wrócić. Nie uciekłyby daleko, gdyby naprawdę chciała to zrobić. Wszyscy ją znają.

–Znów zostanę zamknięta w swoich komnatach. Przypuszczam, że to lepsze od więziennej celi.

Jedziemy powoli przez zniszczone miasto. Eleganckie płyty na ulicach są popękane i czarne od sadzy. Drzewa, specjalnie wyhodowane, żeby cieszyć oczy zielenią w środku skwarne lata, są połamane i popalone. Nagle zauważam dwie znajome postacie wychodzące chwiejnym krokiem z willi o zrujnowanej fasadzie. To Callis i Jaris, moi elfi klienci. Za nimi podąża paru młodych i raczej wstrząśniętych magów.

Zatrzymujemy się i witamy z nimi. Callis i Jaris opowiadają, że w chwili wybuchu ogólnego szaleństwa mieli szczęście: przebywali akurat w Alei Prawda jest Piękno i

schronili się u najbliższych magów. Ośmiomilowy Terror nie miał na nich bezpośredniego wpływu, ale przebywanie wśród tysięcy oszalałych ludzi paskudnie nimi wstrząsnęło. Mają dość miejskiego życia. Zamierzają wsiąść na pierwszy statek wypływający na południe z portu w Dwunastu Morzach. Przykro mi, że zawiodłem swoich klientów, i niewiele mogę powiedzieć na swoją obronę. Miałem tkaninę w rękach, lecz nie zdołałem jej zachować. Klienci nigdy nie są uradowani takimi wynikami. Ja też nie. Żegnamy się i rozstajemy.

Gdy jedziemy dalej, księżniczka wyraża rozczarowanie z powodu mojej porażki.

Próbuję podnieść ją na duchu.

–Nie odzyskałem tkaniny, ale odkryłem, kto wypatroszył smoka i ją wyjął.

Opowiadam o biskupie Gzekiuszu i Prawdziwym Kościele.

–Nie mogę tego udowodnić w sądzie, ale mam porządnego haka na biskupa i sądzę, że zrobi co trzeba, żeby wykazać twoją niewinność. Jeśli tak, wówczas wszystko zostanie wyciszone. W przeciwnym wypadku nie będę miał innego wyjścia, jak opisać obszernie jego niedawną działalność w “Słynnej i wiarygodnej kronice”. Gazeta uwielbia skandale w kręgach kościelnych.

Księżniczka jest mi wdzięczna. I słusznie. Dopóki nie podjąłem interwencji, czekała ją życie w klasztorze na szczycie góry.

–Proszę również podziękować Makri w moim imieniu.

–Nie omieszka.

–Ta tkanina sprawiła w Turai mnóstwo kłopotów, Thraxasie.

–Wszystko, co jest warte trzydzieści tysięcy guranów, ma tendencje do powodowania kłopotów.

–W czyich rękach się teraz znajduje?

W polu widzenia pojawia się pałac. Unosi się nad nim dym, ale nadal jest względnie cały.

Przyznaję, że nie wiem, kto może mieć tkaninę.

–Po raz ostatni widziałem ją w rękach zabójczyni, ale Hanama została przez kogoś ogłuszona. Nie przez człowieka.

–Nie człowieka?

–Właśnie. Co zawęźa możliwości. To z pewnością Orkowie albo agent pół-Ork. Albo...

Czuję, że spływa na mnie olśnienie. Zaraz na samym początku sprawy, kiedy strażnicy wywlekali mnie z ogrodu Attilana, wyczułem tam coś, czego nie potrafiłem rozpoznać.

–Albo ktoś bardzo dobry w podkradaniu się do ludzi. Ktoś słynny z tej sztuki.

–Na przykład?

–Na przykład Elf. Niech to wszyscy diabli! Elfy. Od samego początku! Nic dziwnego, że wszędzie się pojawiali! Wynajęli mnie do pomocy! Niech to szlag! Księżniczko, mogę pożyczyć twój landus?

Wyraża zgodę. Jesteśmy na terenach pałacowych i żołnierze i wartownicy biegną, aby ją otoczyć. Zawracam powóz i pędzę, co koń wyskoczy.

Miałem zamiar wstąpić do Cyceriusza i upomnieć się o zapłatę, ale to może zaczekać. Dziś czy jutro mam oddać dług Bractwu? Nie mogę sobie przypomnieć. Zbyt dużo wrażeń. Zbyt wielkie całonocne zamieszanie.

Elfów już nie ma w Alei Prawda jest Pięknem. Pędzę przez ozdobne ogrody i tłukę do drzwi Lisutaris. Bez słowa mijam służącego i znajduję czarodziejkę, która szuka ukojenia w objęciach fajki wodnej. Na szczęście jeszcze nie jest zbyt mocno zaćpana.

–Lisutaris, musisz wyświadczyć mi przysługę, i to szybko.

–Dobrze.

–Możesz mi powiedzieć, gdzie jest teraz dwóch Elfów?

Opisuję ich. Lisutaris na parę minut zamyka oczy. Na jej twarzy maluje się spokój. Krzywię nos, czując skondensowany zapach thazis.

Otwiera oczy.

–Są w porcie w Dwunastu Morzach. Wsiadają na statek.

Lisutaris, Kochanka Niebios, jest potężną czarodziejką. Szkoda, że tyle pali. Proszę o kolejną przysługę. Jest skłonna mi ją wyświadczyć, ponieważ wie, że uratowałem ich wszystkich. Parę minut później galopuję przez Turai na świetnym wierzchowcu z jej stajni. Spieszę, żeby odciąć drogę dwóm zdradliwym Elfom.

Na ulicach panuje chaos. Wszędzie leży gruz. Komunalne wózki zaczynają zbierać ciała, ale jest ich niewyobrażalnie dużo. Ulicami szoruje woda ze zniszczonego

akweduktu. Para wznosi się w palącym słońcu. Dotarcie do Dwunastu Mórz zajmuje mi mnóstwo czasu. Zlany potem, klnąc bez ustanku, zbliżam się do portu.

Potężna postać doskakuje do konia, chwyta za wodze i zmusza zwierzę do zatrzymania się. To Karlox. Tylko jego mi brakowało.

–Przeżyłeś zamieszki – warczy. – To dobrze. Masz jeszcze trzy godziny na uregulowanie długu.

–Karlox, jesteś głupi jak Ork i nie masz pojęcia, jak bardzo mnie wkurzasz.

Podrywam stopę obutą w ciężki bucior i walę go w twarz, aż nakrywa się nogami. Spinam konia i przedzieram się przez zrozpaczone tłumy, którym splanęły nędzne mieszkania. Ciąg domów w Dwunastu Morzach przypomina teraz szczękę z brakami w uzębieniu; liczne sześciopiętrowe kamienice przemieniły się w dymiące zgliszcza, które strażacy nadal polewają wodą. Mój wierzchowiec zaczyna protestować. W takim upale dźwiganie tłuściocha stanowi nie byle jakie zadanie. Zmagamy się.

–Thraxas!

To Makri, z mieczem w jednej ręce i workiem z manuskryptami w drugiej. Jest w drodze na wykład z matematyki.

–Makri, zwariowałaś? Dzisiaj nie będzie wykładów. Kolegium Gildii nadal płonie, a profesorowie zapewne kryją się w swoich piwnicach, o ile w ogóle żyją...

Wygląda na zawiedzioną.

–Jesteś pewien?

–Oczywiście. Słuchaj, jeśli chcesz wziąć udział w zakończeniu sprawy, wskakuj na konia.

Pakuje się za mną na siodło. Koń nasila protesty. Bez wątplenia Lisutaris będzie musiała się nim zaopiekować, żeby wrócił do formy.

–Dokąd jedziemy?

–Do portu. Ścigam Elfy. Oni mają tkaninę. Prawdopodobnie również dwa.

Makri trudno uwierzyć, że Elfy są przestępcami.

–Callis jest uzdrowicielem.

–Przyda mu się to, kiedy się z nim porachuję. Przychodzi ci na myśl ktoś inny, kto mógłby niezauważenie podkraść się do Hanamy i Sarin? I nie zapominaj o ich

tajemniczym pojawieniu się, kiedy Sarin trzymała nas w szachu za miastem. Śledzili nas. Wykorzystywali mnie od początku, Makri. Przedstawiciele Pana Elfów, a jakże. Chcieli zdobyć tkaninę dla siebie.

–Elfy-oszuści?

–Właśnie. Byłem głupi, wierząc w ich piękne słówka.

Makri pyta, dlaczego od razu ich nie sprawdziłem.

–Bo dali mi forszę, to jasne. I przestań zadawać głupie pytania.

Jesteśmy nad zatoką. Koń zdecydowanie odmawia posłuszeństwa. Zsiadamy i rozglądamy się. W porcie zatono kilka statków, a parę innych tli się przy kejach. W dobrym stanie jest chyba tylko jeden, a kapitanowi zapewne zależy na szybkim wypłynięciu, bo przygotowuje się do wybrania kotwicy.

Spogląda na nas z zaciekawieniem: wielki grubas, spocony, obszarpany i brudny, w towarzystwie dziewczyny o egzotycznej urodzie, w kolczugowatym bikini i z mieczem wystającym spod płaszczka.

–Daleko się wybieracie? – pyta.

–Wcale się nie wybieramy – odpowiadam. – Szukamy Elfów. Są jacyś na tym statku?

Gapi się na mnie pustym wzrokiem, co w Turai jest uniwersalnym i nieomylnym znakiem, że chce dostać w łapę. Podaję mu gurana.

–Właśnie wsiedli – powiada. – Kajuta na dziobie. Odbijamy za trzy minuty, z tobą czy bez ciebie.

Wpadamy z Makri między zdumionych majtków, którzy gotują się do wypłynięcia w morze. Większość jest posiniaczona po zamieszkach, ale krzątają się żwawo. Trzeba być twardzielem, żeby żeglować po tych morzach.

Na statku jest tylko jedna kabina – większość pasażerów na takim handlowcu po prostu zajmuje wolne miejsce na pokładzie. Otwieramy drzwi kopniakiem i wchodzimy. Nie jestem przygotowany na to, co widzimy, i dosłownie odbiera mi mowę.

Prawie odruchowo dobywam miecza, choć nie ma z kim walczyć. W kajucie są tylko dwa martwe Elfy, obaj z nożami wbitymi w serce. To znaczy, z nożami w piersiach; nie jestem absolutnie pewien, czy elfie serca są w tym samym miejscu co nasze. Nieważne, i tak nie żyją.

Przez twarz Makri przemyka cień smutku na widok młodego uzdrowiciela, ale jest zbyt zahartowana, by okazać większe emocje. Mnie tam nie jest smutno, lecz jestem diabelnie zaskoczony. Na pokładzie panuje spokój, nikt więc chyba nie wie, co się stało. Ciekawe, jak morderca rozprawił się z dwoma Elfami, nie powodując hałasu. Oglądam narzędzia zbrodni. Niewielkie noże do rzucania, ciśnięte z morderczą precyzją zanim ofiary zdały sobie sprawę, że coś się dzieje.

–Wygląda na to, że spotkali równego sobie w podkradaniu się – powiadam i zaczynam przeszukiwać kabinę.

Schowali dwa pod kojami. Po tkaninie nie zostało ani śladu. Mat woła, że zaraz odbijają. Chciałbym zabrać dwa, ale w sumie to nie jest konieczne i nie chcę zwracać na siebie uwagi, obładowując się workami. Widzę leżącą na podłodze kabzę uzdrowiciela. Wśród innych ziół jest parę liści lesady. Zabieram je i wkładam do swojej sakiewki.

–Szkoda, żeby się zmarnowały – wyjaśniam Makri. – Są doskonale na kaca.

–Nie musisz się tłumaczyć, Thraxasie. Nie sądzę, żebyś miał jakieś skrupuły, jeśli idzie o okradanie zmarłych.

Wychodzimy z kabiny i schodzimy ze statku jak gdyby nigdy nic.

–Może powinniśmy powiadomić kapitana, że jego pasażerowie nie żyją?

–Po co? Wynikną z tego same kłopoty. Z powodu dwóch martwych Elfów na statku zaroją się przedstawiciele władz. Miną tygodnie, zanim wyruszy w morze. A my przez miesiąc będziemy odpowiadać na pytania Straży. Jeśli nie puścimy pary z ust, kapitan wyrzuci ciała do morza zaraz po ich odkryciu. Spodziewam się, że zapłacili z góry za podróż. Zostanie mu sześć worków dwa jako nagroda za kłopot. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Jestem potwornie zmęczony. Mam trudności z dojściem do domu.

Ulica Kwintesencji zmieniła się nie do poznania. Z wielu domów pozostały wypalone szkielety. Wózki komunalne jeszcze nie przystąpiły do zbierania ciał z Dwunastu Mórz, dzielnica wygląda więc strasznie. “Mściwy Topór” jest paskudnie zdemolowany, ale nadal stoi. Kiedy Gurd oszalał i zaczął wymachiwać swoim orężem, niewielu było chętnych, żeby się z nim zmierzyć.

Wchodzę po schodach i zasypiam na resztkach kozetki.

Karlox ma paskudną szramę po moim buciorze. Wiem, bo stoi nade mną z mieczem w dłoni.

–Czy ty kiedy choć myślisz o pukaniu? – warczę.

–Drzwi nie były zamknięte – mówi.

Nadal leżę na kozetce. Czubek miecza Karloxa skutecznie utrudnia mi zmianę pozycji. Jest z nim pięciu ludzi. Przyszli po pieniądze, jakie jestem im winien. Nie mam forsy. Miałem nadzieję, że Makri wpadnie i wyratuje mnie z opresji.

–Orkowa suka wyszła – mówi Karlox, odczytując moje myśli. – Masz pieniądze?

–Są w drodze. Właśnie czekam na zapłatę.

To prawda. Cycleriusz zawdzięcza mi rehabilitację syna, i oczyszczenie z zarzutów księżniczki. Nie mogę tego wyjaśnić Karloxowi i wątpię, czy uczyniłoby jakąś różnicę, gdybym mógł. Jeśli nie zapłacę, tym większą będzie miał zabawę.

–Szykujesz zakłęcie? – pyta, doskonale wiedząc, że nie mam żadnego. – Nie? Niewiele w tobie z maga, co? Niewiele z czegokolwiek. Poza graczem. Marnym graczem. Bardzo pechowym graczem. A ten dzień jest najbardziej pechowy ze wszystkich, grubasie.

Jeden z jego pomagierów wybucha śmiechem. Wszyscy zbliżają się i stają wokół mnie z obnażonymi mieczami.

–Co tu się dzieje? – pyta znajomy głos. To Cycleriusz. Nigdy nie sądziłem, że tak się ucieszę na jego widok. Wchodzi do mojego zdemolowanego pokoju z ponurym marsem na szczupłej twarzy.

–I co? – pyta, podchodząc do Karloxa i patrząc mu prosto w oczy. Karlox natychmiast traci pewność siebie. Rzecz w tym, że Cycleriusz jest zbyt ważny, by potraktować go z góry, a ponadto Tradycjoniści korzystają z usług Bractwa w czasie wyborów.

–To prywatna sprawa, pretorze – duka niepewnie.

–Bez wątpienia chodzi o dług z wyścigów – powiada Cycleriusz.

Oczywiście. Zapomniałem, że wie o tym całe miasto.

Cycleriusz daje znak swojemu asystentowi. Asystent wyciąga trzos, odlicza parę

monet i podaje je inkasentowi Bractwa.

–Wyjść! – rozkazuje pretor.

Biedny Karlox. Wygląda żałośniej od niojskiej dziwki. Miał nadzieję, że mnie trochę poturbuje. Odchodzi ze swoimi ludźmi, niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

Wstaję, dla odmiany zadowolony z takiego obrotu sprawy, i dziękuję Cyceriuszowi. On patrzy na mnie z dezaprobatą i wygłasza krótki wykład na temat głupoty zawierania zakładów, zwłaszcza gdy nie jest się dość dobrym, by wygrywać.

–Te pieniądze zostaną potrącone z twojej zapłaty.

Pretor Cyceriusz, który w swojej wykrochmalonej białej todze wygląda naprawdę nedorzecznie na tle mojego pokoju, informuje mnie, że księżniczka została oczyszczona z zarzutów.

–Konsul uzyskał pewne informacje, że smok został zabity przez Orków z ambasady. Najwyraźniej w wyniku wewnętrznej walki o władzę. Strażnicy znaleźli ich ciała w Dwunastu Morzach. – Oczywiście, nic z tego nie jest prawdą. To tylko historyjka puszczona w obieg przez biskupa Gzekiusza, który obiecał oczyścić imię księżniczki. – Orkijscy ambasadorowie nie są zadowoleni, ale gdy paru Orków znaleziono w miejscu, do którego nie wolno im wchodzić, w kościele, nie mogą zbyt protestować.

Król z ulgą dowiedział się, że jego córka nie była zaangażowana w działalność sprzeczną z prawem. To zadowalający wynik. Nie sądzisz, że to prawda?

Mówię mu, że nie, to nieprawda, i wprowadzam go w szczegóły. Opowiadam wszystko, co wiem o postępkach biskupa. Pretor jest wstrząśnięty rozmiarem biskupich machinacji. Wyobrażam sobie, że wpływy Gzekiusza na dworze zaczną maleć. Oczywiście, być może biskup Gzekiusz zechce się na mnie odkuć, więc nie zaszkodzi nastawić Cyceriusza przeciwko niemu. Pretor jest zbulwersowany tym, co mu powiedziałem, lecz musi przyznać, że wywiązałem się ze swojego zadania. Księżniczka jest czysta. Wkrótce wszyscy w Turai usłyszą pogłoski, że cała sprawa była winą Orków, którzy próbowali ukraść tkaninę. Przypuszczam, że i jest w tym trochę prawdy. Oni zaczęli, kiedy wynajęli Gliksiusza do kradzieży tkaniny, choć wypadki szybko wymknęły się spod ich kontroli.

Pretor informuje mnie, że już dano znać niojskiemu ambasadorowi, iż jego attache został zabity przez Orków, gdy wpadł na trop ich przestępczej działalności. Pretorowi naprawdę nie brakuje oleju w głowie. Tym sposobem zapewnił Turai krótką chwilę wytchnienia. Wiadomo, że Nioj nie odstąpi od zamiaru starcia nas z powierzchnią ziemi, ale przez pewien czas będzie spokój.

Nie wiem, czy w domu Attilana widziałem pontyfika czy Elfów, którzy zabili attache. Elfów, jak sądzę. Teraz, gdy wina postąla zwalona na Orków, to nie ma większego znaczenia.

–Oczywiście, nasi elfi sprzymierzeńcy, którzy wysłali tkaninę, nie są w pełni usatysfakcjonowani. Możemy obwiniać Orlików, ale tkaniny jak nie było, tak nie ma. Wiesz, gdzie jest?

Potrząsam głową. Spodziewam się, że Cyceriusz będzie przypierać mnie do muru – jeszcze nie zapomniałem, jak konsul Kaliusz zarzucił mi kłamstwo – ale jest skłonny mi uwierzyć.

–Cóż, nie mogłem się spodziewać, że zrobisz wszystko. I tak wiele ci zawdzięczam. Mój syn nie stanie przed sądem i zachowa reputację. Uratowałeś też dobre imię księcia, choć być może na nie nie zasługuje.

Rusza do wyjścia i staje przy drzwiach.

–Księżniczka Du-Akai prosiła, bym przekazał ci wyrazy szczerzej wdzięczności – mówi. Gdy otwiera drzwi, do pokoju wpada swąd unoszący się z pogorzeliisk.

Rozmyślam nad słowami pretora. Nieźle. Księżniczka mnie lubi. Może dzięki temu dam radę przeskoczyć parę szczebli drabiny społecznej. Wszystko, byle wyrwać się z Dwunastu Mórz.

Makri mija się z pretorem za progiem. Wróciła w połowie jego wizyty i, oczywiście, podsłuchiwała pod drzwiami.

–Wygląda na to, że twój los się odmienia, Thraxasie. Wszyscy są z ciebie zadowoleni. Wyżsi urzędnicy miejscy, rodzina królewska, nawet Bractwo nie siedzi ci na karku.

Kiwam głową. Wszystko wygląda lepiej niż parę dni temu. Moi wrogowie są albo ułagodzeni, albo martwi. Poza Gliksiuszem Pogromcą Smoków – znając mojego pecha, musiał przeżyć nocny zamęt – i Towarzystwem Przyjaciół, które bez wątpienia wścieka się na mnie za popsucie im szyków. Mogę z tym żyć.

Potrącam coś nogą. Butelka piwa. Musiała być schowana pod kozetką. Otwieram ją i wypijam długi łyk, a potem patrzę przez okno na pobojobowisko ulicy.

–Nie jesteś zbyt uradowany – mówi Makri.

Odwracam się do niej.

–Chyba jestem.

–Wyglądasz żałośnie jak niojska dziwka.

Pociągam następny łyk.

–Nie lubię być robiony w konia, Makri. Zwłaszcza przez ciebie.

Makri unosi brwi. Mówię jej, żeby przestała zgrywać niewiniątko.

–Liga Kobiet Wyzwolonych ukradła tkaninę, prawda? Daruj sobie te zszokowane i zakłopotane miny. Nie żyjesz w cywilizowanym świecie dostatecznie długo, by wywieść w pole takiego doświadczonego łgarza jak ja.

Makri nadal wygląda na wstrząśniętą i zdumioną. Twierdzi, że nie wie, o czym mówię.

–Doprawdy? Od początku zastanawiałem się, skąd ten udział Hanamy. Zabójcy nie polują na kradzione dobra, oni zabijają ludzi. Wydawało się prawdopodobne, że chcieli zdobyć elfią tkaninę dla swojego cechu, może by urządzić własny pokój odporny na magię. Ale jeśli tak, to czemu wszędzie pokazywała się Hanama? Dlaczego nie jakiś inny zabójca? Jest ich mnóstwo. Szczerze mówiąc, o wiele za dużo. To zawsze była ona. A jej się trudno pozbyć. Elfy przekonały się o tym zeszłej nocy.

Makri milczy. Ja mówię dalej.

–Gdy tylko ich zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to robota Hanamy. Rzut nożem w serce, zanim zdążyli się ruszyć. Bardzo skuteczne. Trudne do wykonania, oczywiście zważywszy, że zaskoczenie Elfów jest praktycznie niemożliwe. W niebezpiecznych sytuacjach poruszają się naprawdę szybko. Ale nie ponad możliwości Hanamy. Wcześniej podeszli ją tylko dlatego, że była na wpół utopiona. Początkowo zastanawiałem się, skąd wiedziała, że to Elfy – przecież sam wpadłem na to dopiero niedawno i przysięgłbym, że nikt mnie nie uprzedził – a potem zrozumiałem. Wspomniałem o tym księżniczce, zanim za nimi popędziłem. I Lisutaris. Jedna z nich błyskawicznie powiadomiła Hanamę. Niczego sobie grupa, ta Liga Kobiet Wyzwolonych, Makri. Księżniczki, zabójczynie, czarodziejki. I barmanki.

Przeszywam ją spojrzeniem.

–Sugerujesz, że przekazywałam informacje? – mówi Makri. W jej głosie wcale nie pobrzmiwa zadowolenie.

–A przekazywałaś?

–Nie. I to, że Liga Kobiet Wyzwolonych poszukiwała elfiej tkaniny, jest dla mnie nowiną. No bo po co?

–Z tego samego powodu, z jakiego wszyscy inni w tym mieście uganiają się za różnymi rzeczami. Dla pieniędzy. Powiedziałaś mi, że potrzebujecie pięćdziesięciu tysięcy na zakup przywileju. Chodząc z puszką po Dwunastu Morzach daleko nie zajdziecie. Za to śliczna sumka trzydziestu tysięcy otwiera zupełnie nowe możliwości.

Makri zdecydowanie zaprzecza.

–Nie wierzę nawet w to, że Hanama należy do Ligi Kobiet Wyzwolonych. To zabójczym.

–Tak? Może czuje, że nie radzi sobie tak dobrze, jak powinna. Mężczyźni z Cechu Zabójców blokują jej awans. I gdy się nad tym zastanowić, kiedy pojawiła się na plaży, nazwała cię po imieniu. Wówczas pomyślałem, że to dość przyjaźnie jak na kogoś, kogo widziałaś tylko raz podczas walki. Księżniczka też przekazuje jej wyrazy uznania...

Patrzemy na siebie z przeciwległych stron pokoju. Makri podchodzi i niemal dźga mnie nosem w twarz.

–Thraxasie – mówi urywanym, wrogim głosem. – Możesz mieć rację co do Ligi. Może Hanama porwała dla nich tkaninę. Mam taką nadzieję. Potrzebujemy pieniędzy. Ale ja nie brałam w tym udziału. Nie przekazałam za twoimi plecami żadnej informacji o twoich sprawach, ponieważ jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam w tym śmierdzącym mieście.

Patrzy na mnie z wściekłością. Nie pozostaje jej dłużny. Mijają sekundy wrogiego milczenia. Uderza mnie myśl, że ja także nie mam zbyt wielu przyjaciół w tym śmierdzącym mieście.

–Pracowałaś zbyt ciężko, Makri. Chodźmy na dół. Postawię ci coś do picia.

Po krwawym żniwie unicestwiającego zaklęcia przemoc, która jest plagą w Turai, schodzi na dalszy plan. Czekają nas wybory, a Bractwo i Towarzystwo Przyjaciół nadal walczą o kontrolę nad rynkiem dwa. Jednak w obliczu niedawnego nieszczęścia otwarta wrogość jest albo stonowana, albo całkowicie zawieszona. Wszyscy są zbyt zajęci odbudową miasta i własnego życia. Cierusz nie stanął przed sądem dzięki dowodom, jakie zaprezentowałem konsulowi. Wieści o podjętej przez księcia Frisen-Akana próbie importu narkotyków na większą skalę nie dotarły do uszu ogółu. Cyceriusz jest zadowolony. Dzięki mnie zachował swoją reputację. Co więcej, każda społeczna katastrofa zwiększa poparcie dla rodziny królewskiej, co prawdopodobnie zadecyduje o sukcesie Tradycjonalistów. Cyceriusz jest zbyt dobrym politykiem, żeby marnować okazję, wygłasza więc płomienne mowy w senacie, wzywając do zjednoczenia się we wspólnym wysiłku odbudowy miasta. To na pewno nie pogorszy jego szans wyborczych.

“Słynna i wiarygodna kronika wszystkich wydarzeń światowych” donosi, że ofiarą ostatniego zamętu padł jeden z najpotężniejszych magów, Tas ze Wschodniej Błyskawicy, znaleziony w zaułku z bełtem w plecach. Gazeta ubolewa nad faktem, że taka broń dostała się w ręce szalonego uczestnika tumultu. Jak widać, Sarin Bezlitosna nie traciła czasu, żeby pozbyć się współnika.

–Przypuszczam, że skoro już się wymusiło dziesięć tysięcy guranów, to lepiej się nimi nie dzielić – komentuje Makri tę wiadomość. – Nadal palisz się do spotkania z nią?

–Jak najbardziej. Im szybciej Sarin wróci do Turai, tym lepiej. Miałbym co zrobić z pieniędzmi z nagrody. Pokażę jej, kto jest tutaj najlepszy w swoim fachu.

Tawerna “Pod Mściwym Toporem” wraca do poprzedniego stanu. Tutaj, jak w reszcie Dwunastu Mórz, architekci i budowniczowie uwijają się w dzień i w nocy, żeby przywrócić porządek. Wszędzie pracują robotnicy, pocąc się w upale. Stada śmierdziuszek, przepędzone przez pożar ze starych siedlisk, walczą o miejsca na gniazda na dachach nowych budynków. Król wspaniałomyślnie otworzył skarbiec, żeby pokryć większą część kosztów, choć cynicy mogliby powiedzieć, że w ten sposób kupuje swoim poplecznikom zwycięstwo w wyborach.

Jestem w zadziwiająco dobrej kondycji finansowej. Mam okrągłą sumkę od Cyceriusza i ekstra premię od księżniczki, nie wspominając o cennym podwójnym unikornie, który Elfy dały mi jako zaliczkę. Do tego dochodzi solidna reputacja człowieka, który potrafi załatwić różne rzeczy.

–Wracasz do Thamlina? – pyta w przelocie Makri. Ma więcej pracy niż zwykle.

Trzydziestu murarzy, cieśli, kaflarzy i architektów przez cały dzień woła o napoje.

–Jeszcze nie, Makri. Tradycjoniści mogą myśleć, że jestem dobrym detektywem, ale nie chcą mieć mnie za sąsiada. Upłynie trochę czasu, zanim zostanę zaproszony z powrotem do pałacu.

–Kto wygra wybory?

–Najpewniej Cycleriusz. Dla mnie to korzystne. Niestety senator Lodiusz i Popularzy teraz naprawdę mnie nie lubią. Co jest mniej korzystne. Nigdy nie miałem problemów z robieniem sobie wrogów.

Między zmianami Makri uczy się ciężko i spędza długie godziny w swoim pokoju, zamknięta z księgami i zwojami. Nie zniechęcona doświadczeniem na Czarownej Polanie, kazała Kaby ponownie przekłuć sobie nos. Jest uszczęśliwiona.

Wyjmuję dwa naszyjniki i podaję jej jeden. Patrzy na niego podejrzliwie.

–To Czerwona Tkanina Elfów. Owinęliśmy nią sobie szyje w noc Ośmiomilowego Terroru. Sprawiała się doskonale, poprosiłem więc Astratha Potrójnego Księżyca, żeby wzmocnił ją zaklęciem. Teraz mamy silną ochronę przeciwko czarnoksięskim atakom. Posiadanie nawet kawałków tkaniny jest nielegalne, ale paski są wplecione w naszyjniki i nikt nie będzie nic wiedział.

Makri zakłada naszyjnik.

–W zasadzie go nie potrzebuję – mówi. – Jestem gotowa postawić swoje miecze przeciwko każdej magii. Ale tobie może się przydać. Tylko postaraj się nie zastawiać go tym razem.

–Postaram się.

Wchodzą zmęczeni Kaby i Palax. Znów grają na ulicy. Nie zazdroszczę im. Jest zbyt gorąco, żeby pracować. Na szczęście ja nie muszę. Przynajmniej przez pewien czas.

–Gurd, następną “radość mistrza cechu”, jeśli łaska.

Gdy podaje mi kufel, dostrzegam, że jest ponury.

–Tanrose się na mnie krzywi – skarży się. – Powiada, że nie poświęcam jej należytej uwagi. Co mam zrobić?

–Na miłość boską, Gurd, nie znasz nawet najprostszych sposobów? Daj jej kwiaty.

Podstarzały barbarzyńca robi zdumioną minę.

-Kwiaty? To pomoże?

-Jasne – zapewniam z przekonaniem.

I pomaga.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/